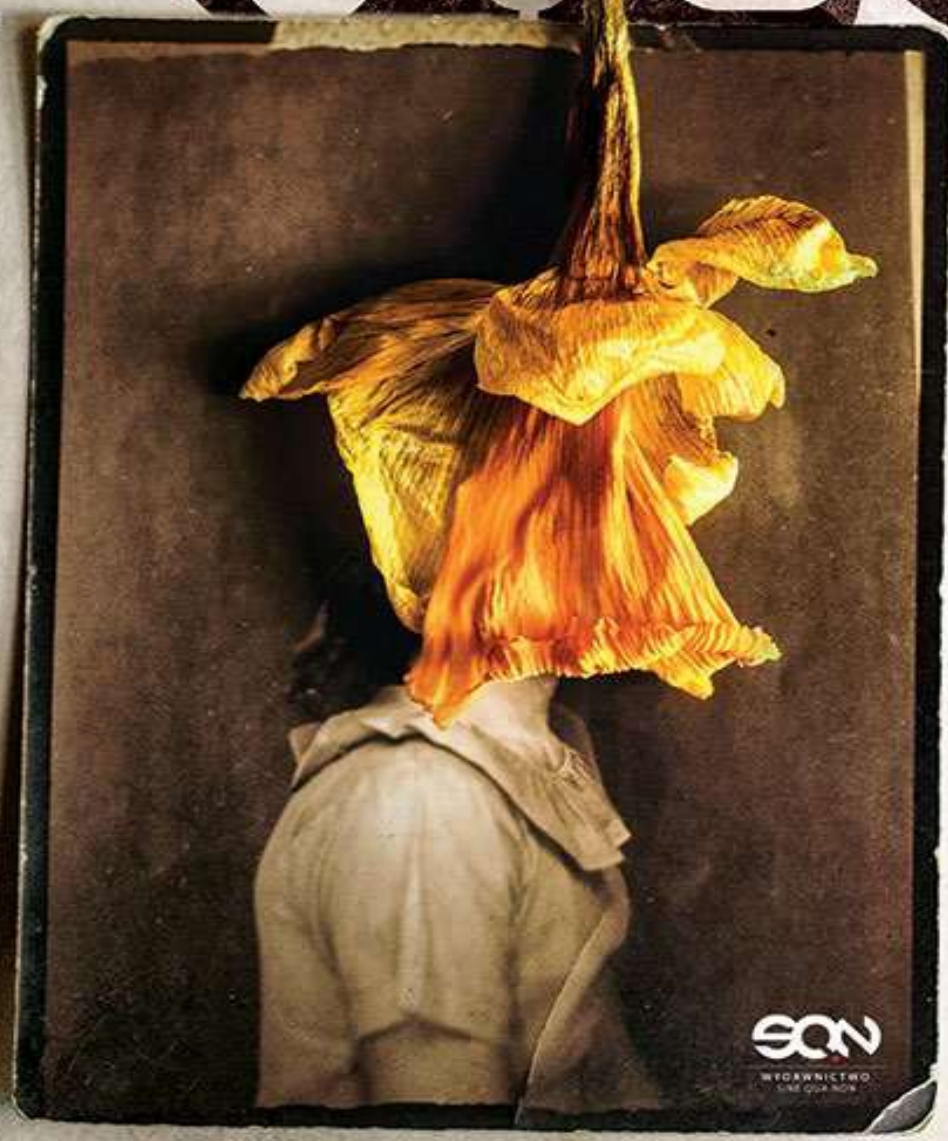


E.S.
T.B.

rodzina



JAKUB
małeckki

Autor „Dygotu” i „Śladów”

209080



Jakub
małecki

rdza

Kraków 2017

Niewidzialnemu Stachowi

ROZDZIAŁ PIERWSZY

2002

Tamtego dnia, kiedy wszystko się skończyło, pochylał się nad torami. Palce miał brudne od pyłu. Monety ułożył w rzędzie, tak żeby zachodziły jedna na drugą. Tylko trochę. Poprawił jeszcze dwie środkowe, oszedł kawałek, wrócił, poprawił znowu. Podniósł głowę i osłonił oczy. Pociąg zbliżał się od strony Miasta. Towarowy, czyli dobrze.

– No chodź – powiedział Budzik gdzieś z tyłu.

Cofnął się i otrzepał dłonie. Chwasty sięgały mu do kolan, trawa falowała powoli. Wrócił na wydeptaną ścieżkę i założył ręce za głowę. Kark miał gorący od słońca.

– Może nie odskoczą za daleko.

Budzik pokiwał głową. Stali tak i patrzyli w milczeniu. Stara lokomotywa ciągnęła za sobą jednakowe brązowe wagony. Duszno. Ciepło. Coraz głośniej.

Budzik oświadczył w końcu, że on w chwastach nie szuka. Ostatnio miał bąble od pokrzyw i w ogóle. Szymek kucnął przy nim i oparł ręce na kolanach. Słyszał tylko brzęczenie trzmieła wirującego w trawie i turkot ciężkich kół.

Przychodzili tu prawie zawsze, kiedy zostawał w Chojnach. Przynosili metalowe przedmioty, które udało im się znaleźć lub ukraść. Gwoździe, śruby, monety. Niektórych nie mogli później odszukać – pod ciężarem pociągu strzelały daleko w trawę albo w krzaki. Większość znajdowali. Szymek miał dwa zawiasy przypominające motyle, kilkanaście pozlepianych monet o różnych kształtach, zgniecione śruby i gwoździe, przecięty równo obuch młotka, kleksy zlepionego drutu i fantazyjnie rozerwany brzeszczot. Najbardziej lubił łańcuszek, znaleziony na parkingu przed blokiem i przetopiony przez lokomotywę w pełznącego węża o chropowatej skórze. Czasami wyobrażał sobie, że ma dziewczynę i że daje jej ten wyjątkowy prezent, a ona z wdzięczności zakochuje się w nim do szaleństwa. Chował to wszystko w pustej dziupli, w sadzie u babci. Babcia nie wiedziała, może nie chciała wiedzieć. Nieraz pewnie przywazyła, jak gmerał przy starej jabłoni, z ręką po łokieć w grubym pniu.

Tym razem szczęście miał Budzik. Pod ciężarem lokomotywy jego gwoździe

zmieniły się w podłużną, grubą pajęczynę. Część od razu się odłamała, została siatka nie większa niż dłoń. Budzik unosił zdobycz pod słońce i ze szczerbatym uśmiechem patrzył przez drobne prześwit. Po monetach nie było śladu, poleciały daleko w stronę lasu. Szymek zaczął ich szukać, ale szybko zrezygnował. Zlepka to tylko zlepka, uda się następnym razem. Na zlepkach świat się nie kończył, zwłaszcza w taki dzień, kiedy mama obiecała przywieźć z Warszawy nowego *Asterixa*: komu w taki dzień chciałoby się grzebać w trawie i w ostach. Starych monet miał jeszcze pół słoika. Wzruszył ramionami i poszedł za Budzikiem.

Wracali powoli, na przemian podając sobie płaski przedmiot o postrzępionych brzegach. Budzik twierdził, że kiedyś wszystkie swoje zlepki przyniesie z kryjówki w kurniku i ułoży na półce w pokoju. Ojcem się nie będzie przejmował. Kiedyś tak zrobi.

Minęli wyjazd na Trasę i Szymek zwolnił, wypatrując niebieskiego uno. Przystanął i odczekał chwilę, spodziewając się, że rodzice zaraz skręcą z głównej drogi. Nie skręcali. Tylko Hołowczyc pruł po swojemu w przeciwnym kierunku, blisko pobocza, potężny i straszny. Popychał koła grubymi ramionami, mrucząc coś w gęstą brodę.

Szymek miał nadzieję, że rodzice wrócą szybko, tak jak obiecali, chociaż z obietnicami rodziców to wiadomo: nic nie wiadomo. Lubił zostawać u babci Tosi, ale tym razem wieczorem leciał *Diabelski Młyn* z Królikiem Bugsem, a on miał jeszcze dużo pracy. Po powrocie do domu czekał go nudny rytuał z rybkami: żywy pokarm z zamrażarki, trochę suchego z torebki, przetarcie grzałki i filtra, dolewanie wody. No i najważniejsze: malowanie krów.

Krowy przywoził z pracy tata. Stały na dużych kartach, w niewielkiej ramce w lewym górnym rogu. Jeden bok, drugi i sam trójkątny łeb przodem. Duchy krów, cienkie obrysy bez łat, bo łaty należało zrobić samemu. Tata szybko nakreślał je w pracy i zaznaczał krzyżykiem tam, gdzie miało być czarne. Szymek siadał przy swoim biurku, włączał lampkę z czerwonym metalowym kloszem i uważnie zamalowywał plamy pisakiem. Gdyby się pomylił, trzeba by przepisywać całą kartę krowy od nowa. Zdecydowanie poruszał końcówką pisaka po skórze kolejnych zwierząt, ożywiając je, jedno po drugim. Prawie nigdy nie wyjeżdżał za kontur: miał siedem lat i pokolorował już w życiu setki krów.

Królik Bugs leciał o osiemnastej, najlepiej byłoby więc krowy pomalować wcześniej. Żeby po *Bugsie* opowiedzieć mamie w kuchni najfajniejsze momenty. Ona krzątała się przy garnkach, umywalce i prodiżu, a on siedział na

małym narożniku, za kwadratowym stołem, obok sterty gazet, i opierając głowę o boazerię, szczegółowo relacjonował przygody bohaterów kreskówki. Mama zawsze się śmiała, nawet jeśli wcale nie były bardzo fajne.

Mogło się jednak okazać, że krów będzie za dużo i że nie da się ich ożywić przed *Bugsem*. Wtedy będzie musiał zostawić trochę na później, co oznaczało, że po kąpaniu będzie mniej czasu na *Asterixa*, a każdy wie, że *Asterixa* trzeba czytać na raz. Wszystko zależało od tego, ile krów przywiezie tata. Najwięcej zwykle było w środy, bo wtedy miał największy teren, ale w piątek też potrafił wrócić z grubym plikiem. Te były właśnie z piątku: rodzice pojechali do Warszawy na koncert od razu po pracy. Szymek postanowił, że jeśli krów będzie dużo, to zaryzykuje i spróbuje dokończyć *Asterixa* już w łóżku, pod kołdrą – miał lampkę w kształcie długopisu, którą dostał od wujka Rocha i której rodzice nie pozwalali używać do czytania w nocy, ale *Asterix* to *Asterix*, przecież nie będzie z nim czekał do rana.

Minęli staw, zardzewiałą przyczepę Doktora, kapliczkę i sklep spożywczy pani Duszej. Jak zawsze obszczekał ich zza metalowej siatki mały pies Nagórnych.

Słońce grzało, daleko z przodu świat rozmazywał się nad asfaltem. Budzik coś mówił. Długo i głośno, jak to on. Później Szymek całymi latami próbował sobie przypomnieć, co to dokładnie było i czy może zrobili coś nie tak. Kojarzył tylko, że trochę jednak był zły na stracone monety. Mógł dłużej ich poszukać. Może leżą gdzieś tam, wcale niedaleko od torów, i wystarczyło trochę bardziej się postarać?

Pamiętał, że pożegnali się zwyczajnym kiwnięciem głów. Pomachał jeszcze tacie Budzika, przeganiającemu z podwórka tłustą kocicę z wielkim, napęczniałym brzuchem. Chwilę później był już przed domem babci. Wzdłuż drogi stały trzy samochody. Jeden należał do wujka Rocha – niebieski i błyszczący, a w środku zawsze pachniało wanilią. Pozostałych Szymek nie znał. Otworzył furtkę i założył drucianą pętlę na słupek.

Szedł wolno, szurając butami o ścieżkę z chodnikowych płyt. Potarł prawą rękę, wciąż pokrytą rudymi smugami. Złapał za kłamkę i tak skończyło się to wszystko, całe to siedem lat, z których poza torami i malowaniem krów pamiętał później niewiele. Tego dnia nie usiadł za stołem w kuchni i nie nakarmił rybek. Nie przeczytał ani jednej strony nowego *Asterixa*. Obejrzał tylko kreskówki, ale nie w domu, nie na ulubionym miejscu na wersalce, oparty o wzgórze mniejszych i większych poduszek. Obejrzał je u babci, nikomu nie opowiedział później najfajniejszych momentów i nikt się z nich nie

śmiały, nawet jeśli nie były bardzo fajne.

Złapał za klamkę i powoli wszedł do środka. W domu było dużo ludzi. Rozpoznał pana Nagórnego, rozmawiającego z kimś w rogu pokoju przez telefon. Zwrócił uwagę, że pan Nagórny ma na sobie buty, mimo że babcia każdemu kazała je zdejmować.

Zamknął drzwi i wszyscy przestali mówić. Jakiś mężczyzna w białej koszuli uśmiechnął się do niego i nic nie powiedział. Z kuchni szybkim krokiem wyszła babcia Tosia. Miała taką minę jak wtedy, kiedy podczas zabawy w żółwie ninja niechcący rozbił jej z Budzikiem trzy wytłaczanki jajek. Podeszła do Szymka, pochyliła się i zacisnęła mu długie palce na ramionach.

– Szymuś, posłuchaj.

Z pogrzebu nie pamiętał prawie nic.

Tylko raz zapytał, gdzie są rodzice, on chce do rodziców, gdzie jest mama, tylko raz, szybkim i nieprzerwanym ciągiem słów: gdzie jest mama rodzice ja chcę do rodziców gdzie rodzice, a potem już tylko płakał, krzyczał, odpychał babcię, kopał, wyrывał się, krzyczał jeszcze więcej, bolały gardło i głowa, ktoś go mocno trzymał za ręce, wujkowie, ciotki, sąsiedzi, wszyscy pochyłali się nad nim, dłonie na głowie, przytulanie, całowanie, Szymuś, Szymuś, kochany Szymuś.

Odpowiedzieć nikt nie chciał. Dopiero kiedy się trochę uspokoił, ciocia Ala spod trójki, która mu kiedyś zrobiła taki dobry omlet z miodem, przytknęła mu czoło do czoła i z zamkniętymi oczami powiedziała cicho:

– Bozia wzięła ich do siebie, kochanie. Są już u Bozi.

Potem znowu wył. Babcia Tosia zabrała go sprzed kaplicy i z cmentarza, nic nie mówiła, jak to ona, ścisnęła go tylko za rękę i patrzyła przed siebie. Wsiadli do samochodu, pojechali pod budkę z lodami, zapytała, czy chce wanilię, czy kakao.

Siedzieli na ławce przed ratuszem i jedli lody, ona małe, on średnie, mieszane, bo w średnich i dużych pan z budki godził się łączyć smaki. Szymek jadł średnie po raz pierwszy w życiu.

Wrócili do domu babci, a wieczorem ktoś przywiózł mu jego zabawki i komiksy o Asteriksie, Lucky Luke’u i Tytusie. Nie opuszczali go ani na chwilę, jak nie babcia to ciocia Ala, jak nie ciocia to wujek Michał albo któryś z sąsiadów, wszyscy krążyli wokół niego, pytali, przytulali czasem, był

nawet tata Budzika, i tylko on jedyny nie krążył, nie pytał ani nie przytulał, jak to tata Budzika.

Kiedy wreszcie zostawili go samego, bo uznali, że śpi, zebrał najcenniejsze zabawki i zaniósł je do łazienki. Babcia zapytała przez drzwi, czy się dobrze czuje i czy wszystko w porządku, a on odpowiedział, że czuje się dobrze, bo w porządku przecież nie było nic. Otworzył pralkę i schował wszystkie zabawki do środka. Przykrył ręcznikiem, zamknął okrągłe drzwiczki i wrócił do pokoju, gdzie już czekali: babcia, wujek, sąsiadka babci. Potem zasnął naprawdę, a później było już to drugie życie, bez Miasta, sterty poduszek na wygniecionej wersalce, bez rybek, komiksów i rodziców.

Następnego dnia rano babcia poprosiła, żeby poszedł z nią do królików i przepiórek. Powiedziała, że dobrze będzie, jeśli nauczy się wszystkiego. Przyda jej się pomoc. Chciałby pomóc, prawda?

Nie chciał, ale skinął głową. Przepiórek nie lubił, królików nie cierpiał. Były wielkie, gwałtowne, jeden go kiedyś ugryzł. Chodziły po swoich drewnianych klatkach, czasem tupwały dziwnie, czasem uciekały. Nie rozumiał, po co je babcia trzyma, po co je karmi i w ogóle po co to wszystko: wymienianie wody, zgarnianie bobków, sypanie ziarna – bez sensu. Ale poszedł i stał tak przy niej, patrząc, jak robi to wszystko, i słuchając, jak mówi do nich, chociaż bardziej chyba do siebie.

Nagle się rozplakał i usiadł na ziemi. Babcia podniosła go i poprowadziła do domu, króliki stały się nieważne. Zrobiła mu kakao, sobie też, usiedli na kanapie, włączyli telewizor.

– Musisz być teraz bardzo odważny – powiedziała tylko, a potem patrzyli na teleturniej. Szymek pił powoli kakao, spoglądał to na ekran, to na babcię, i czekał, aż coś się stanie, bo przecież coś się musiało stać. Ale nic się nie działo: ani tamtego poranka, ani wieczorem, ani następnego dnia i po tygodniu też nic. Minął miesiąc i dalej nic, tylko babcia Tosia, odwiedziny różnych wujków i ciotek, sąsiedzi, cmentarz, króliki, przepiórki, targ, zakupy w Mieście, nic więcej, nic. Czasami dość już miał tego czekania. Potrafił wówczas przez cały dzień płakać i wyc, nic wtedy nie pomagało. Chciał, żeby go mama zawołała na oblizywanie drewnianej łyżki po mieszaniu ciasta na murzynek. Chciał, żeby tata pozwolił mu usiąść obok siebie przy stole w dużym pokoju i patrzeć, jak robi to, co ludzie nazywali „najbardziej

niezwykłym hobby na świecie”, a w czym on sam widział jedynie kolumny cyferek.

Bywało też, że nie miał już siły i czuł, jakby w ogóle go nie było: siedział przed domem albo w swoim pokoju, który przecież wcale nie był jego, bo jego pokój zniknął razem z rodzicami i ze wszystkim innym, więc siedział w swoim – nie swoim pokoju w domu babci, patrzył za okno, patrzył na dywan albo po prostu przed siebie i zniknął, ale szybko zrozumiał, że na długo tak zniknąć się nie da.

Tamtego dnia babcia zostawiła go przed telewizorem i wróciła do królików. Później krzątała się po domu, gdzieś dzwoniła, coś gotowała, jakby się bała choć na chwilę nic nie robić. W końcu wzięła się do prania, to znaczy chciała, bo nagle zawołała Szymka, a kiedy nie przyszedł, przyszła sama.

– Szymuś, a dlaczego schowałeś zabawki do pralki?

Zerwał się wtedy z kanapy i pobiegł do łazienki, otworzył pralkę. Na pewno już ich nie ma, na pewno już zabrane, ale nie, jednak były.

Usiedli na schodach, babcia od strony balustrady, on przy ścianie, i długo rozmawiali. Powiedział jej, że już tak nie chce, że niech już wróć, bardzo prosi, będzie grzeczny, powiedział też, dlaczego i przed kim ukrył zabawki.

Doktor leżał w ubraniu, w dłoniach gniótł wymiętą książkę. Nogi zwieszane za łóżko, łóżko prawie na pół powierzchni przyczepa, przyczepa jak to przyczepa: dawno się przyzwyczył.

Najbardziej na świecie chciał zasnąć, zemdleć albo przynajmniej zalać się w trupa. Od pogrzebu Elizy i Telka nie napił się ani razu, choć dziś właściwie przecież mógłby, dziś były jego urodziny. Sześćdziesiąte piąte, wszystkiego najlepszego, dziękuję. Myślał, czy by nie pójść pod sklep, ale nie miał po co. Hołowczyc pewnie już czeka, ale Hołowczyc zawsze czeka, nic już w życiu nie ma prócz czekania pod sklepem.

To jeszcze poleży, może poczyta, każdy fragment znał na pamięć, od kilku lat pożerał w kółko tę samą książkę, tę cholerną, przepiękną, niebezpieczną, cudowną, niepozorną i słodką książkę, od której wszystko się zaczęło.

Po raz kolejny pomyślał, że gdyby nie ta książka i gdyby nie jego idiotyczne marzenie o wyjeździe do Berlina, może Eliza i Telek wciąż by żyli. Wyjechać miał tego samego dnia, kiedy oni... Nie, to było niemożliwe, absurdalne, niedorzeczne i niemożliwe, ale już dawno temu przyzwyczył się przecież do

rzeczy niemożliwych. Mógł tłumaczyć to sobie, jak chciał, lecz w środku bezsennej nocy i tak przypomniał sobie znowu: rodzice Szymka zginęli w wypadku przez niego. Odłożył książkę na podłogę i wcisnął ręce pod głowę. Myślał, co by było, gdyby jednak pojechał tamtego dnia do Berlina, gdyby spełnił to jedyne marzenie, które miał w życiu, gdyby ten jeden raz zrobił coś innego niż to, co robić trzeba.

Myślał o tym, kim mógłby się wtedy stać, i o tym, kim stał się dawno temu. Nie zawsze był Doktorem. Kiedyś miał na imię Michał i nikt nie nazywał go inaczej. Michał, a matka mówiła nawet Michaś, parę dziewczyn zresztą też. Teraz już tylko Doktor, przez tamten jeden cholerny wieczór.

Usłyszał pukanie do drzwi.

Podźwignął się, nałożył okulary, otworzył.

Tośka.

Chyba po raz pierwszy od wypadku. Stała przed nim, niecierpliwa, jakby już ją zdążył czymś zdenerwować, a przecież nie zdążył.

– Wejdiesz? – Odsunął się, robiąc jej miejsce. I zaraz, trochę ciszej, zagadnął: – Jak ty się czujesz, co? Pomóc ci jakoś?

Nic nie powiedziała, patrzyła na niego tym swoim wzrokiem, który dobrze znał.

– Co robisz? – zapytała.

– A co ja mogę robić?

Znowu cisza i dalej ten wzrok, aż miałby ochotę się uchylić.

– Bo potrzebuję, co byś ze mną do Miasta pojechał.

– Teraz?

– Pralkę muszę kupić.

Wyjechali na obwodnicę kilkaset metrów od miejsca wypadku, tak jak już zawsze będzie się wyjeżdżać z Chojen: kilkaset metrów od miejsca wypadku. Za wiaduktem skręcili do Miasta. Odezwała się, dopiero kiedy mijali stację benzynową.

– On się boi, że mu Bozia zabawki zabierze.

– Słucham?

– Szymek się boi. Bo mu zabrała rodziców, to się boi, że i zabawki zabierze. I pochował je w pralce. Co mam zrobić, przecież mu nie każę ich wyciągać, niech sobie je tam trzyma.

Minęli drogę dojazdową do Wood-Mizera, na rondzie skręcili w prawo. Za cmentarzem wojennym popatrzył na nią i powiedział:

– Kurwa, Tośka, gdybym ja ci mógł jakoś...

Machnęła ręką, opędzając się od niego, od tej sytuacji, a może od wszystkiego innego również, i przez resztę drogi już nie rozmawiali.

Nową pralkę ustawili w korytarzu na górze, między łazienką a pokojem, który przeznaczyla dla Szymka. Wnieśli ją we trójkę: ona, Michał i Andrzej Budzikiewicz. Kupiła ją w promocji, podobna była do tej starej, trochę jakby bardziej zaokrąglona z przodu. Andrzej długo majstrował przy odpływach, mówił że takie podłączenie to trochę prowizorka, ale na parę tygodni wystarczy, potem by trzeba fachowca, żeby kiedyś nie zalało. Podziękowała mu, Michała ucałowała w policzek, nie dziękując. Michałowi się nie dziękowało, bo za co. Michał to Michał.

Zabrała się do prania. Przyniosła z łazienki ubrania, rzuciła je na podłogę. Same czarne. Zakryła twarz rękoma i oddychała głęboko. Nie wolno ci, Tośka, ani mi się waz: machnęła ręką, tą bez dwóch palców, i upchnęła wszystko w nowej pralce. Spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej. W pokoju obok Szymek leżał już w łóżku, może spał, może jeszcze nie, zajrzała: jeszcze nie.

Miał na sobie niebieskie spodnie od pidżamy i koszulkę z wizerunkiem bohaterów jakiejś bajki, których imion będzie się musiała nauczyć, tak jak będzie się musiała nauczyć wielu innych rzeczy, o których nie miała pojęcia. Patrzył w okno, jedną rękę opierając o kaloryfer. Nie chciała mówić do niego, nie chciała go przytulać, najchętniej zamknęłaby drzwi bez słowa i nastawiła pranie. Stała w progu i patrzyła na to drobne, siedmioletnie ciało.

Tylko jednego człowieka naprawdę w życiu kochała. Niewidzialnego Człowieka, który od dawna miał czterdzieści trzy lata i więcej już mieć nie będzie. Elizkę kochała, owszem, ale tak, jak się kocha córkę, Andrzeja Budzikowskiego kochała przez jakieś piętnaście minut, tego dnia, o którym oboje niby zapomnieli i o którym oboje pewnie zawsze będą pamiętać. I to wszystko. A teraz on, ten mały chłopiec, którego chyba bardziej żałowała, niż kochała, chociaż chciałaby inaczej, przecież powinna, przecież wnuk.

– Nie śpisz, Szymek?

Pokręcił głową.

– Bo wiesz, nową pralkę kupiłam, ale tamtą oczywiście zostawię, to

sobie... no, jak tam chcesz. Chciałam ci się zapytać, czy nie będzie ci przeszkadzać, jak teraz nastawię pranie. Mniej więcej na godzinę.

Myślała, że nie odpowie. Wciąż patrzył za okno, jakby jej tu w ogóle nie było; jakby to, że się ma siedem lat, oznaczało, że już się nie słyszy tych, co mają ponad siedemdziesiąt.

– Chyba nie – powiedział.

– To nastawię. Jakby ci przeszkadzało, zawołaj mnie, to wyłączymy. Nie musimy być tacy aż znowu czysti.

Od razu pożałowała, bo ani to nie zabrzmiało śmiesznie, ani nic, zresztą nigdy nie miała poczucia humoru. On jednak pokiwał głową i uśmiechnął się lekko, chyba po raz pierwszy, od kiedy zostali we dwoje. Odwzajemniła uśmiech, zeszła na dół i zamknęła się w małym pokoju obok schodów. Potem szybko: wersalka, poduszka. Ryczała, sama się siebie wstydząc. Wróciła na górę i zrobiła pranie. Kiedy wreszcie położyła się do łóżka, policzyła dni na palcach i uświadomiła sobie, że Michał miał dzisiaj sześćdziesiąte piąte urodziny.

Sześćdziesiąt pięć lat. Przecież nie może mieć tyle, bo sama go prowadziła na spacer, kiedy dopiero uczył się mówić, sama straszyla go stróżem, kiedy był niegrzeczny, i sama smażyła z nim placki, kiedy nie było rodziców. Pamiętała jego jasną czuprynę i to, jak na każde stuknięcie w okno wzruszał ramionami i stwierdzał, zamyślony:

– Może motyt, może ptapta.

Taki chłopiec nie może mieć sześćdziesięciu pięciu lat, to po pierwsze jest niedorzeczne, a po drugie niesprawiedliwe. Ona sama miała siedemdziesiąt jeden, to też niesprawiedliwe, siedemdziesiąt jeden lat to mają starsze panie, nie ona. Ona przecież jest dzieckiem i biegnie po łóżku w czasie bombardowania; jest dziewczyną i ucieka do domu Starego Górala Kłody, a później wraca, schowana w sianie na wozie; jest kobietą i leży naga obok tego jedyne go człowieka, którego kocha w życiu, i któremu szepcze na ucho: z tobą to bym mogła umrzeć.

Ale nagle wszystko się wywraca: Niewidzialny Człowiek znika, pojawia się za to Elizka, pojawiają się zmarszczki, problemy i asfalt na drodze w Chojnach, kolejni ludzie odchodzą, odchodzą siły, zdrowie i płat tynku na ścianie w salonie, odchodzi w końcu również Elizka i zostaje tylko ten kruchy, drobny siedmiolatek.

Wieczorami Bozia krążyła wokół domu. Słyszał ją, jak szeleści w drzewach, jak szura po dachu, jak droczy się z małym psem Nagórnych. Nie przychodziła codziennie. Unikała długich, ciepłych wieczorów. Lubiła niepogodę. Wiatr, deszcz, najlepiej burzę. Wtedy szalała. Kręciła się wokół domu, szarpała za rynny, łamała gałęzie i biła w parapet. Wiedziała, gdzie jest pokój Szymka. Czasami słyszał, jak próbuje wepchnąć okno do środka. W złości miotła deszczem.

Po raz pierwszy przyszła po pogrzebie rodziców. Usłyszał ją już po zmierzchu. Nie spał, a ona chodziła przy murze. Delikatnie pociągnęła za parapet, jakby na próbę, a potem zaszurała po dachu. Bał się wyjść spod kołdry, krzyknąć, zawołać babcię. Leżał bez ruchu i próbował nie oddychać. Zaciskał powieki i słuchał. Kiedy dźwięki ustały, chwycił kaloryfer i trzymał się go mocno, dopóki nie zasnął. Następnego ranka wziął z garażu biały sznurek od snopowiązałki i od tamtej pory przed snem przywiązywał sobie nogę do jednego z grubych, chłodnych żeber. Zdarzało się, że budził się przez to w nocy, kiedy sznurek wpijał mu się w ciało – zamroczony odczepiał go i wracał pod kołdrę – najczęściej jednak całą noc przesypiał bezpieczny, przywiązany.

Bozia nigdy nie pokazała mu się wyraźnie. Widywał ją kątem oka albo w oddali, jak przemyka pomiędzy czarnymi drzewami w sadzie. Była ciemna i nie miała wyraźnego kształtu. Czasami przypominała krzak agrestu, innym razem wiała się tuż przy ziemi, schowana w falującej trawie.

Rano już jej nie było. Rano budził go dźwięk młynka do kawy. Babcia siadała z tym młynkiem w fotelu, nieopodal schodów, i kręciła wściekle, a terkot niósł się po całym domu. Tę pierwszą kawę piła zawsze na zewnątrz, na niewykończonym od wielu lat tarasie. Stała wyprostowana na betonowym prostokącie i patrzyła na brzozy, grządki warzyw, klatki z królikami. Czasami stawiała kawę przy drzwiach i brnęła powoli przez trawę, by przyjrzeć się którejś z powykęcanych jabłoni. Wracała i piła dalej, tak codziennie.

Później jedli śniadanie. Musiał wstawać, to nic, że wakacje. Wstawał, ale do śniadania trzeba było siadać ubranym, nie tak jak w domu – w domu mógł być w pidzanie i jeśli chciał, a chciał zawsze, to dostawał chałkę z nutellą. Tutaj mógł sobie chcieć, nutelli nie było, bo niezdrowa, były co najwyżej konfitury, okropne i kwaśne, więc jadł kanapki z pasztetem albo z wędliną, okropne prawie tak samo.

Po śniadaniu jechali na cmentarz. Przed bramą babcia kupowała dwa znicze. Stawiała je w miejsce poprzednich, nawet jeśli tamte jeszcze się

paliły. Zawsze poprawiała jakiś wieniec czy wstęgę, choćby o centymetr, ale poprawiała. Nie modliła się – zamykała oczy i stała tak, nic nie mówiąc. Szymek patrzył na dwie białe tabliczki, na których widniały imiona Eliza i Telesfor, odwracał wzrok i szybko, w nieoczekiwanym momencie spoglądał raz jeszcze, ale imiona na tabliczkach wciąż były te same. Eliza. Telesfor. Na odchodne, prowadząc go przed sobą, babcia mówiła pod nosem, jakby do siebie:

– Przyjedziemy jutro.

W drodze powrotnej czasami zatrzymywali się na lody. Rozmawiali niewiele. Z wielu podsłuchanych rozmów Szymek wiedział już wtedy, co się stało. Wiedział, że wracając z Warszawy, rodzice uderzyli w drzewo tuż przed zjazdem z Trasy i że nie wiadomo dlaczego. Wiedział, że to wielka tragedia, że tacy młodzi, że jedyna z Chojen, co się za granicą kształciła, że o słodki Boże i że takie jest życie.

Kończyli lody, wracali do domu. Babcia przebierała się i szła do królików. On z nią, bo kazała. Musisz się nauczyć, mówiła, kiedy próbował tłumaczyć, że nie chce, że nie lubi. Stał za nią i patrzył, jak wykonuje te same czynności: kupy, ziarno z karmą, woda, siano, czasami pół główki sałaty, czasami przesadzanie królika z klatki do klatki i zaraz wyciąganie go z powrotem.

Dopiero kiedy skończyła, mógł robić, co chciał. Miał czas do obiadu. Po obiedzie musiał jeszcze pójść z nią do kotłowni, gdzie mieszkały przepiórki, a potem wreszcie miał spokój. Aż do następnego dnia, kiedy śniadanie, cmentarz, króliki – wszystko od nowa.

Dni tygodnia też były uporządkowane. W piątki jeździli do miasta po zakupy. On prowadził wózek. Czasami w dziale z gazetami pozwalała mu wziąć „Giganta” z komiksami o Sknerusie McKwaczu i całej reszcie. Najczęściej nie. W sobotę była godzina gimnastyki i wieczorne czytanie książki, w niedzielę programy dokumentalne o zwierzętach na Dwójce, deser po obiedzie i uroczyste oglądanie *Na dobre i na złe*. W poniedziałki wieczorem przychodziły dwie panie na karty, we wtorek trzeba było jechać do pana Romka, który kupował od babci jaja. W środę wieczorem Szymek wieszał na ogrodzeniu pusty worek po karmie, bo w czwartek rano przyjeżdżała Naturka. Słysząc ją było z daleka. Skoczna melodia płynęła przez Chojny, wywabiając ludzi z domów. Żółty, ubłocony samochód z głośnikiem na dachu zatrzymywał się przy wywieszonych workach i taczkach ustawionych przy drodze. Melodia cichła na moment, drzwi otwierały się na całą szerokość i zza kierownicy wysuwał się zwinnie pan Jurek, całe jego sto kilogramów,

okrągła twarz i szyja niczym pień. Wokół głowy kręciły mu się rude włosy. Szymek zbiegał po schodach, wsuwał buty i zaraz był przy furtce. Pan Jurek zawsze podawał mu rękę, jak dorosłemu, Szymek ścisnął ją mocno. Zwrócił uwagę, że pan Jurek, w przeciwieństwie do innych ludzi, nie zadaje mu żadnych pytań, nie pochyla się nad nim, nie opowiada zabawnych historii, tylko opiera się o samochód i czeka.

Babcia kupowała paszę dla przepiórek i karmę dla królików, którą mieszała później z ziarnem. Pan Jurek zanosił worki do kotłowni i stawiał je w wyznaczonym miejscu. Wręczając mu pięćdziesiąt złotych, babcia mówiła zawsze:

– Za tę resztę to sobie, synek, jaką bułkę kup czy coś.

Czasami Szymek jechał z nim do sklepu, bo pani Duszna nie obsługiwała rudych. Na widok rudego klienta odwracała się nagle i znikła na małym zapleczu: podobno tak od zawsze.

Szymek wchodził sam. Kupował coca-colę, wafelki, czasem bułkę z parówką. Płacił pieniędzmi pana Jurka, na zewnątrz przekazywał mu zakupy, oddawał i pan Jurek jechał dalej, a on wracał do babci, noga za nogą, dom za domem, wszystko coraz bardziej znajome. Złotówkę, którą dostawał zwykle na lizaka albo na co tam chcesz, zazwyczaj kładł później na torach.

Z Budzikiem widywał się codziennie. Najczęściej umawiali się jeszcze przed obiadem – szli na huśtawkę, do lasu lub pokopać piłkę. Czasami próbowali podglądać przez okno Werę Matusiak albo upolować jakąś kuropatwę z procy. Po południu najczęściej chodzili na tory. Rozkładali na szynach kolejne przedmioty, a potem szukali ich w trawie. Machali maszynistom i liczyli wagony. Budzik kilka razy pytał o wypadek, o pogrzeb i czy było strasznie. W końcu przestał, były ciekawsze tematy. Na przykład czy są duchy. Budzik uważał, że są.

– W krzakach za Ochyra stała kiedyś stodoła i na nią zrzucili bomby i tam się spaliło chyba ze sto osób i umarli wszyscy i teraz straszą – oświadczył któregoś dnia, kiedy siedzieli na drzewie i strzelali z procy do ptaków.

Szymek celował z przymrużonymi oczami. Wystrzelił, chybił, jak zwykle. Mruknął, że duchów nie ma.

Budzik zapewniał, że są, że wie to na sto procent i przecież by nie kłamał. Zeszli z drzewa i ruszyli w stronę zaniedbanego gospodarstwa Ochyry. Budzik prowadził. Szedł szybko, wymachując rękoma. Chude przedramiona opalone miał na brąz. Nad postrzępionym ściągaczem koszulki widać było blade płatki odchodzącej skóry.

Minęli kilka domów i łąkę z bramką zbitą kiedyś z listew przez starszych chłopaków. Kawalek dalej Budzik zatrzymał się i wskazał zachwaszczony zagajnik.

– To tu.

Podeszli trochę bliżej, krok za krokiem, powoli. Młode drzewa, trawa do kolan, osty. Stodoły i duchów ani śladu. Szymek obgryzał paznokcie przy kciuku. Rozglądał się na boki. Budzik patrzył prosto przed siebie i tłumaczył:

– Wszyscy spaleni. Sto albo i może więcej ludzi. Może dwieście nawet. Ojciec mówił, że w nocy tu lepiej nie przychodzić, bo straszą. I co, ojciec by kłamał?

Szymek upierał się, że nie wierzy, Budzik nazywał go boidudkiem, w końcu zaczęli się licytować, kto jest odważniejszy.

– A ja to mogę nawet tam iść i normalnie nasrać – oświadczył Budzik.

Szymek twierdził, że tego nie robi. Założyli się. Ustalili, że przegrany daje zwycięzcy drugą najlepszą zlepkę ze swojej kolekcji: zawias sprasowany w motyla albo pajęczynę z gwoździ. Uścisnęli sobie dłonie i Budzik ruszył między krzaki.

Uśmiechał się tym swoim szczerbatym uśmiechem. Przystanął na środku zarośniętego placu, ściągnął spodnie do kostek, ukucnął.

Po południu Szymek wręczył mu swojego metalowego motyla z zawiasu.

Następnego ranka babcia zobaczyła sznurek.

Usiadła na łóżku i przykryła Szymka pod szyję. Nie spał już, udawał, że śpi. Nagle potrząsnęła nim, czuł, jak zamyka mu na ramieniu swoją mniejszą dłoń. Zapytał ją kiedyś, czemu na jednej ręce ma pięć palców, a na drugiej tylko trzy, ale nie chciała powiedzieć. Mruknęła, że odpadły jej przez głupotę. Teraz głos miała poważny:

– Szymek.

Mocniej zacisnęła powieki.

– Szymek!

Popatrzył na nią, nic nie powiedział.

– Co to jest? – zapytała, pociągając za sznurek.

Chciał przykryć odsłoniętą stopę kołdrą, ale babcia już go odwiązywała: długo męczyła się z supłem na kaloryferze, wreszcie się udało, zwinęła sznurek w kulkę i znów wbiła wzrok prosto w niego.

– No słucham.

Powiedział jej wtedy wszystko – o dźwiękach, o Bozi, o tym, jak chce mu w nocy wejść do pokoju, i o tym, że się jej boi.

Długo zaciskała mu rękę na ramieniu i oddychała głęboko. Pachniała karmą dla królików. W końcu zabrała dłoń, schowała sznurek do kieszeni w kamizelce i pochyliła się bliżej.

– To jest bardzo dobrze, że ty się boisz. Jak byłam mała i wracałam po ciemku ze szkoły, to też się zawsze bałam, że coś na mnie z krzaków przy drodze wyskoczy. Tak już mi na zawsze zostało. Starczy dźwięk, to podskoczę. Ale to dobrze, Szymuś. Bo co to jest za wielka sztuka chodzić po ciemku, jak się ciemności nie boisz? Sztuka jest chodzić po ciemku, jak się od tego cały człowiek trzęsie. To jest wielkie szczęście, bać się, Szymuś. Tylko wtedy można pokazać, że się jest odważnym.

Patrzył na nią bez słowa, otulony kołdrą. Chciał, żeby przytuliła go i już nie puściła.

– Ale wiesz co? – powiedziała nagle, prostując się. – Jak ta Bozia wejdzie nam do domu, to ja ją zastrzelę.

Długo się nie odzywał. Przenosił wzrok z okna na nią i z niej na okno. W końcu zapytał:

– A czym? Przecież, babcia, nawet nie masz pistoletu.

– Mam pistolet. I ją zastrzelę tym pistoletem, jak tu wejdzie. Rozumiesz? Zastrzelę. Nikogo się ze mną nie musisz bać.

Wstawała już, kiedy poprosił, żeby mu pokazała. Podniósł się wyżej i oparł głowę o ścianę. Westchnęła i zamknęła oczy. Słyszał, jak szepcze coś sama do siebie. Potem zostawiła go i wróciła z blaszonym pudełkiem po kawie. Wyjęła pistolet, obróciła go w dłoniach:

– Prawdziwy i strzela. No, widziałeś, to się przestań przywiązywać do kaloryfera. Jakby przyszła, to krzyknij po babcię, a babcia przybiegnie i tę francę zastrzeli.

W jednej palce trzymał zabawki, drugiej słuchał wieczorami. Szumiała co kilka dni w korytarzu, tuż obok drzwi do jego pokoju, odstraszać Bożę rytmicznymi obrotami bębna. Wtedy był bezpieczny, zasypiał spokojnie.

Wcześniej, w pierwszym życiu, pranie było po południu, robiła je mama. Wracała z pracy, włączała muzykę, wkładała zakupy do szafek i lodówki,

kręciła się po mieszkaniu i znikła w łazience. Zanim rozlegał się znajomy bulgot pralki, Szymek słyszał jeszcze zgrzyt otwieranego okna i trzask zapalniczki. Mama paliła jednego papierosa dziennie, zawsze w łazience, zawsze sama. Czasami chciał do niej wejść, zapytać ją o coś bardzo ważnego albo opowiedzieć jakąś strasznie śmieszną historię z bajki, ale prosiła, żeby z tym poczekał.

– To jest czas dla mnie – mówiła i z powrotem zamykała drzwi.

Na te kilka minut znikła naprawdę. Nie było jej wtedy przy nim, nie było jej w mieszkaniu, być może nie było jej w ogóle. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Cisza stawała się coraz bardziej drażniąca, kreskówki wydawały się głupie, komiksów nie chciało mu się nawet przeglądać. Wreszcie drzwi łazienki się otwierały i mama istniała znowu: otwierała gazetę, zmieniała płytę w wieży, piekła ciasto. Wszystko wracało na swoje miejsce, Szymek też.

Któregoś razu, kolorując krowy, poplamił na czarno swoją ulubioną koszulkę ze Splinterem z *Żółwi ninja* i pobiegł do mamy, roztrzęsiony, bo przecież to była koszulka ze Splinterem, z szefem żółwi ninja, koszulka najlepsza na świecie. Położyła mu wtedy dłonie na ramionach i poważnym głosem oświadczyła:

– Nic się nie bój. Włożymy koszulkę do pralki i uratujemy Splintera.

Chciał, żeby mu obiecała, że w pralce Splinter się nie zniszczy ani że nie utonie, że te czarne krechy zjedzą i że wszystko będzie dobrze. Odparła, że w jej pralce Splinter będzie bezpieczny. Pralka ratowała już Lilo i Stitcha, Papę Smerfa, Mike'a Wazowskiego z *Potworów i spółki*, Lucky Luke'a oraz jego konia. Żadnemu z nich nic się nie stało, a koń Lucky Luke'a wyglądał po praniu nawet na bardziej zadowolonego niż wcześniej. Tak, w pralce mamy wszystko było bezpieczne.

Teraz, mieszkając u babci, Szymek żałował, że pralka nie była większa i że nie wszedł do niej razem z rodzicami przed tym ich wyjazdem do Warszawy. U babci było nudno, dziwnie i czasami strasznie smutno, szczególnie wieczorami, szczególnie kiedy wszystko milczało, a rodzice wciąż nie żyli. Leżał wtedy z otwartymi oczami i słuchał sunących w oddali pociągów.

W jego pierwszym życiu pociągi były znacznie głośniejsze. Mieszkali w sześciopiętrowym bloku przy ulicy Opałki, niedaleko dworca. Miał pokój z oknem od strony ulicy i wieczorami, przykryty kołdrą po szyję, wsłuchiwał się w tajemnicze szумы oraz gwizdy dochodzące zza ogródków działkowych. U babci pociągi ledwie było słychać. Czekał, aż któryś zagwizdże, rzadko gwizdały. Jeździły daleko, przy lesie, tam, gdzie chodził z Budzikiem.

Na torach miał zresztą ostatnio mało szczęścia. Cztery razy z rzędu nie znalazł swojej zlepki, cztery razy z rzędu słuchał radosnych pisków Budzika, cztery razy z rzędu wracał do domu z niczym. Leżał teraz z rozkopaną kołdrą w rogu łóżka, zastanawiając się, co i jak zrobić, żeby było dobrze. Opcji było wiele, wybrał najbardziej ryzykowną z nich: ułożył stosik z czterech lub pięciu nieważnych starych monet, które miał w słoiku, a na wierzchu dał otrzymaną od pana Jurka złotówkę. Taka wysoka konstrukcja była bardzo niebezpieczna, ale czuł, że jutro będzie miał szczęście. Z tą myślą zasypiał.

Rano obudził się na dźwięk młynka do kawy i dalej było to, co zawsze: śniadanie, króliki, zakupy w Mieście, babcia nieczuła na prośby o nowy numer „Giganta”, potem obiad, bardzo dobry, bo z marchewką, potem jeszcze przepiórki i dopiero wolne. Był piątek, ciepło, cztery dni pecha na torach już za nim, dzisiaj będzie miał szczęście, dzisiaj to jego dzień. Budzik niósł metalową płytkę, zwędzoną z warsztatu ojca tak jak prawie wszystko, z czego robił zlepki. Zamierzał położyć ją na szynie lekko ukosem, żeby ucięło dwa rogi i rozprasowało ją wzdłuż. Szymek pozostał przy ryzykownej wieży z monet.

Ułożyli wszystko i usiedli w piachu na skraju ścieżki. W lesie szumiało. Wiatr potrząsał gałęziami drzew, chmury zbierały się daleko nad Miastem. Szymek gwizdał na żdźble trawy i nie myślał o niczym. Pociąg pojawił się kilka minut później, osobowy i szybki, czyli szanse małe. Przejechał, wypełniając sobą cały świat. Zaraz zaczęli przetrząsać krzaki i chwasty.

Tym razem szczęście znowu miał wyłącznie Budzik. Pod ciężarem lokomotywy jego płytkę zmieniła się w długi i lśniący język. Po monetach nie było śladu, poleciały gdzieś daleko w stronę lasu. Szymek szukał ich, przetrząsając kolejne znajome kępy, pięć, dziesięć minut, dwadzieścia. Budzik z początku pomagał, później usiadł z powrotem przy drodze i oglądał nowy element kolekcji. Wiało coraz bardziej, zaczynało mżyć. Szymek, czerwony na twarzy, wyrywał trawę garściami. Kopnął młodą brzozę, odskoczył, jęknął z bólu. Wyprostował się i spojrzał na kolejny nadjeżdżający pociąg. Oddychał powoli. Nie wiedział, kiedy zaczął płakać. Stał tak, rozczochrany, drobny, opalony, z wypiekami na twarzy i rękoma opuszczonymi luźno wzdłuż tułowia, a potem wszedł na tory i zamknął oczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY LATA WCZEŚNIEJ

Huk. Zatrzęsło się wszystko: szafa, błyszczący zegar, talerze w kredensie i łóżko, na którym leżała. Śnił jej się pierwszy i ostatni dzień w szkole: siedziała trochę zmęczona, trochę śpiąca i trochę dumna, bo to już druga klasa, ale pani nagle mówi, że mają wszyscy wracać do domów, że najlepiej razem, natychmiast. Otworzyła oczy, ale wszystko jeszcze mieszało jej się w głowie i nie wiedziała, czy wychodzi ze szkoły, czy leży u państwa Nagórnych. Przypomniała sobie, że w szkole była kilka dni temu, a teraz jednak leży, śpi, spała: łóżko, ślad śliny na poduszce i gorący pasek słońca na odsłoniętej łydce. I jeszcze ten hałas. Obróciła się na plecy, walnęło drugi raz. Za trzecim już biegła: po wielkiej, miękkiej pierzynie, potem przez pokój i pachnącą racuchami kuchnię, dalej po schodach i po trawie, przecinając cień domu Nagórnych. Stała obok studni, zadzierając głowę.

Płynęły po niebie równo, jeden obok drugiego, piękne, błyszczące. Co najmniej kilkanaście. Od Kłodawy w stronę Miasta. Widziała maleńki przecinek odrywający się od jednego z nich. Opadał powoli, zniknął za drzewami. Trafił chyba w podwórko Drewsów. Zakryła uszy i czekała. Tym razem cicho. Długo przyciskała dłonie do głowy. Słyszała tylko swój szybki oddech.

Ktoś krzyczał, gdzieś dalej rżały konie. Nagórni przybiegli chwilę później, znowu huknęło.

– No chodź – powiedziała pani Nagórna, przytulając ją do pachnącej wędzonką koszuli. – Już wszystko dobrze.

Tośka myślała o tych trzech słowach, które tak często ostatnio powtarzano. Pierwszego dnia szkoły wygonili ją do domu, potem młodego Cabałę zabił w ogrodzie odprysk bomby, mama dwa razy płakała w kuchni, a tata chyba całe noce nie spał, ale i tak od kilku dni zewsząd słyszała, że już wszystko dobrze. Przygłęła mocniej do brzucha sąsiadki.

W milczeniu patrzyli w niebo, nieruchomi. Pan Nagórny osłaniał oczy dłonią. Stwierdził, że lecą bombardować dworzec.

– Ale dworzec przecie w sobotę już zbombardowali. – Jego żona gładziła Tosię po szyi, dłoń miała twardą i suchą.

Pan Nagórny nie odpowiedział, bo zaraz zobaczyli je znowu. Wracały od strony Miasta, coraz większe. Nagórny podniósł Tośkę i pobiegł do domu, żona za nim. Kiedy zamknęli drzwi, budynkiem zatrzęsło. Ściana w kuchni pękła zygzakiem, ze stropu opadła chmura kurzu. W pokoju szafa runęła na podłogę. Drewno trzasnęło, potem znowu huk z zewnątrz. W ciszy pomiędzy wybuchami usłyszeli, jak za oknem ktoś krzyczy, że przyszedł diabeł i żeby się modlić. Tośka doszła do wniosku, że to

pewnie pan Budzikiewicz albo stary Duszny, o którym tata mówił, że jest wariat. Zatrzęsło domem jeszcze raz i znowu cisza. Wszystko trwało ledwie kilka minut.

Mama przybiegła z Michasiem, we łzach, jak to mama, i od progu, że jak ja cię tu dziecko mogłam zostawić, ścisnęła ją, odsuwała od siebie, ścisnęła znowu. Chodźcie, ojca trzeba znaleźć, czy go co w kuźni nie przywaliło, Chrystusie przenajświętszy, idziemy.

Ojciec stał już na drodze, ze wszystkimi. Cały w pyłe, a koń jak nie ich, z białego nagle szary. Większość ludzi spoglądała na podwórko u Ochyrów, gdzie płonęła stodoła i skąd dobiegały wrzaski. Bugaj popatrzył w niebo i ruszył biegiem. Ojciec też pobiegł, razem z kilkoma innymi.

Tośka pamiętała ludzi, którzy spali w stodole. Zjechali z szosy tego samego dnia rano. Wybiegła wtedy na drogę popatrzeć. Wielu ich było, jechali od strony Miasta, sześć wozów załadowanych ludźmi i wszystkim, co można załadować na wóz. Zatrzymali się przed domem Ochyrów i kilku zeskoczyło na drogę. Ten, który mówił najwięcej, był bardzo młody. Długo rozmawiali ze starym Ochyrą, twierdzili, że chcą odpocząć. Przespać noc pod dachem, rano już ich nie będzie, obiecują. Uciekali przed Niemcami trzecią dobę, rodzina pod Warszawą, tam bezpiecznie. Ochyra powiedział, że mogą zostać, ile chcą, i że trzeba sobie teraz, psiakrew, pomagać.

Ściągnęli z wozów skóry, koce i kożuchy, rozłożyli to wszystko w stodole. Jeden z mężczyzn, starzec z bielmem na oku, dziękował Ochyrze na kolanach. Ochyra drapał się po głowie i robił głupie miny, jak to on. Nie minęła godzina, a prawie wszyscy przyjezdni już spali.

Teraz Tośka patrzyła, jak dach stodoły się zapada, a ze środka wybijają płomienie. Wrota przywalone były płatem dymiącej strzechy. Coraz mniej ludzi krzyczało, ale ci, którzy jeszcze krzyczeli, krzyczeli jakby głośniej. Tośka nie rozpoznawała słów, to już nie były słowa, ogień strzelał przez dziury

w dachu i rozpościerał się coraz bardziej na boki, płonęły kurnik i większość wozów na podwórzu, śmierdziało czymś ostrym, słodkim.

Podeszła do mamy i złapała ją za rękę. Mama jak kamień, nawet na nią nie popatrzyła. Kiedy kolejny kawał dachu z hukiem runął do środka stodoły, przylgnęła mocniej do Tośki.

Na podwórku robiło się coraz goręcej, żar bił po twarzach. Ojciec stał przy studni w szerokim rozkroku i wyciągał wodę, szarpiąc łańcuch. Przelewał do innego wiadra, a pan Ochyra biegał do stodoły i lał prosto w ogień. Dużo ronił. Bugaj z innymi próbowali odsunąć kijami ciężki kawał strzechy. Ochyrowa stała za mężem i modliła się głośno.

Coś wyważyło od wewnątrz przywalone wrota. Nikt już nie krzychał. Ciemny kształt człowieka wyszedł chwiejnym krokiem i upadł na kolana obok jednego z wozów. Ojciec puścił łańcuch, chlupnęło. Pan Ochyra zastygł, zgięty nad wiadrem. Kształt milczał. Trzymał się za to miejsce, gdzie powinna być twarz. Płonął cały oprócz nóg, nogi miał nagie. Kiedy pochylił głowę, Tośka widziała, jak coś się od niej odrywa. I zaraz jeszcze jedno. Z otwartych ust szła para. Zanim ojciec przybiegł i ugasił go wielką, zdjętą ze sznura pierzyną, kształt leżał już płasko, rozciągnięty na ziemi.

Tośka nigdy się nie dowiedziała, jak kształt miał na imię, skąd przyjechał, ile miał lat i co czuł, kiedy w płonącej stodole przestał być człowiekiem. Po ugaszeniu stodoły załadowali go razem z pozostałymi na wyłożony słomą wóz drabiniasty. Było ich dwudziestu sześciu. Ochyrowa dała prześcieradła, żeby ich przykryć. Razem z nimi wzięli ciała sześciu mieszkańców Chojen, którzy zginęli od bomb, i następnego dnia wszystkich zawieźli na cmentarz w Grzegorzewie.

Ojciec pomagał ich zakopywać. On, Ochyra i Drews, tak pojechali. Opowiedział o tym tylko raz, tamtego dnia wieczorem, kiedy wrócił i się upił, choć alkoholu nie lubił. Siedział w fotelu i mówił do siebie, mama patrzyła sobie na ręce, a oni jedli w kuchni przy okrągłym stole, po cichu, ani łyżka nie zgrzytnęła. Chłopaka od Duszných ułożyli tuż przy krawędzi grobu, z lewej strony, jak się będą modlić za niego, to trzeba pamiętać, że od samej lewej leży, i twarz mu było widać, i wszystko, nie tak jak tamtym. Od lewej, Sabcia, pamiętaj, z samego brzegu. Napił się, przeczesał włosy. Mówił już trochę głośniej: taki był zdobyty chłopak, wszystko umiał naprawić, ile on mógł mieć lat, Sabcia, co? Dwadzieścia pięć przecie nie miał, dwadzieścia prędeej. Ładnie wyglądał, spokojnie. Tych ze stodoły położyli jak szło, najwięcej to nie wiedzieli nawet, czy kobieta czy mężczyzna. Wielu rozerwało, układali

ich, jak mogli, ręką z brzuchem, nogi w dole, śmierdziało potwornie, Sabcia, żeby już nigdy w życiu takiego smrodu nie poczuć. Palonego człowieka. Ochyra tak wył, że go nie mogliśmy uspokoić. „W mojej stodole – gadał w kółko – a mówiłem, niech se wrota uchylone chociaż zostawiają, przecie gorąco tak było, że Boże, a gdyby zostawili, toby i uciekli, dach by tego nie przywalił, pewnie nie wszystkie by zmarli”.

Następnego dnia Tośka znalazła rękę. Szła do Nagórnych po serwatkę, kopiąc przed sobą małego, pomarszczonego ziemniaka. Obgryzała paznokcie i myślała o pierwszym dniu w szkole, który się skończył, zanim naprawdę się zaczęła. A przecież tyle czekania. W pierwszej klasie bardzo jej się podobało, a druga podobno miała być lepsza, dużo lepsza, wszyscy tak mówili. Może za kilka dni wszystko będzie znowu zwyczajnie, może zamiast chodzić w pole z rodzicami albo z Nagórnymi będzie mogła ładnie się ubierać i słuchać pani. Zapytała wczoraj tatę, ale powiedział, że to wszystko jest na razie nieważne, jakby to miało jej jakoś pomóc.

Ziemniak potoczył się w lewo i zniknął w płowej trawie. Poszła za nim i zobaczyła rękę. Była szarozółta, w łokciu postrzępiona. Palce ani wyprostowane, ani zaciśnięte, coś pomiędzy. Na jednym obrączka. Chyba złota.

Ręka leżała przy płocie Ochyrow, obok dużego kamienia, przysłonięta kępą ostów i niewidoczna z drogi. Gdyby nie odbłysek słońca na obrączce, może do samej zimy nikt by jej nie znalazł. Tośka podeszła bliżej, nachyliła się i podniosła ją za środkowy palec. Sztywna. Ciężka. Dziwnie duża, jak nie ręka, jak coś nieżywego. Uniosła ją wyżej, żeby lepiej się przyjrzeć tej luźnej skórze przy łokciu, i wtedy rozległ się krzyk.

Krzyczała Ochyrowa. Stała kilka kroków od niej, z kobiałką malin w dłoni i w nieodłącznej chustce na głowie. Krzyczała, że Chryste, że rzuć to, Bogdan, chodź, Chryste Maryjo!

Tośka patrzyła na nią, nieruchoma. Próbowwała zrozumieć, co się stało. Przyszło jej do głowy, że coś przeskrobała.

– Tośka, rzuć to! – Ochyrowa była już przy niej.

Tośka rzuciła. Opuściła głowę, wzruszyła ramionami, rozplakała się. Łzy odrywały jej się od nosa i zostawiały maleńkie dołki w piasku. Ochyrowa przytuliła ją, pocałowała w czubek głowy i powiedziała szeptem to samo co

wszyscy inni:

– Już wszystko dobrze.

Po południu kilku mężczyzn przeszukało podwórko Ochyrów, fragment pola za spaloną stodołą, niewielki sad młodych jabłoni i pas trawy wzdłuż drogi. Chodzili ramię w ramię, pochyleni, uważni. Podobno nic nie znaleźli.

Podobno, czyli nie wiadomo.

W Chojnach nic już nie było wiadomo. Nagle jakby wszystko się zmieniło. Ludzie ciągle rozglądali się wokół siebie, wieczorami gromadzili się wspólnie w którymś z domów, niektórzy mówili szeptem, niektórzy ciągle się modlili. Wszyscy często spoglądali w niebo. Przez kilka dni po bombardowaniu prawie nikt nie wychodził w pole. Tośka się nudziła. Większość czasu spędzała z mamą albo spacerowała drogą, w tę i we w tę: czasem z Genią od Budzikiewiczów, czasem sama, najczęściej z Michasiem, który wiercił jej się na rękach jak robak. Kiedy na torach kolejowych za Chojnami zobaczyła dwie bomby, wiedziała, że trzeba zawrócić, pójść po tatę, najlepiej szybko, ale stała w miejscu i tylko patrzyła.

Bomby były małe i podłużne. Jedna leżała w niewielkim zagłębieniu w ziemi, druga pomiędzy szynami. Gładkie, błyszczące. Wyglądały jak coś, co się stawia na kredensie do ozdoby, a nie zrzuca na ludzi, żeby ich rozrywało i paliło żywcem. Michaś wrzeszczał i wił jej się w uścisku, bomby bardzo go interesowały. Ona sama też chętnie by ich dotknęła. Patrzyła na nie długo, zastanawiała się, czy są chłodne, czy ciepłe, czy ciężkie, czy nie bardzo, czy wybuchłyby, gdyby je podniosła. W końcu zawróciła i szepcząc do Michasia, żeby już się zamknął, ruszyła z powrotem w stronę domu. Ojciec z kilkoma innymi poszli zaraz we wskazane miejsce i więcej tych bomb nie widziała. Podobno przyjechało po nie kilku żołnierzy, ale nie miała pojęcia, czy to byli żołnierze dobrzy, czy źli.

Wielu rzeczy w tamtym czasie nie wiedziała i wszystko wokół wydawało się coraz dziwniejsze, a do tego przez cały czas miała wrażenie, że wkrótce wydarzy się coś ważnego. Ważniejszego niż samoloty na niebie, płonąca stodoła i błyszczące pociski na torach.

Dwa dni po tym, jak znalazła bomby, do rodziców przyszedł młody pan Nagórny. Usiadł za stołem, podziękował za mleko, podziękował za podpłomyki, oparł się łokciami o blat, splótł dłonie i powiedział:

– Majówkę z chłopakami ze straży chcemy zrobić.

Ojciec patrzył na niego ze swojego miejsca pod oknem. Przygryzał wargę i lekko skubał wąsy, jak to ojciec. Mama usiadła obok, okrągła i zarumieniona na twarzy. Wokół głowy sterczały jej pojedyncze, błyszczące w popołudniowym świetle włosy.

– Majówkę we wrześniu? – zapytała.

Bugaj przesunął żyłastymi dłońmi po stole i odparł, że właśnie tak, że właśnie we wrześniu, bo kto im zabroni: Niemcy? Samoloty im zabronią? Bomby? Pomilczał, jakby się sam zastanawiał, czy to dobrze zabrzmiało, po czym spokojnie wyjaśnił co, gdzie, kiedy i przede wszystkim dlaczego.

– Trza pokazać, że się Chojny nie boją – stwierdził na koniec, podziękował, przeprosił i zniknął za drzwiami.

Z początku nikt w tę wrześniową majówkę nie wierzył. Ludzie mieli inne rzeczy na głowie, na przykład coraz dziwniejsze pogłoski z Miasta, popękane ściany w domach i trzydzieści dwa trupy na cmentarzu w Grzegorzewie. W tym sześć chojnowskich, a trup chojnowski to jakby dwa zwyczajne. Nagórny i reszta chłopaków ze straży uparli się, chodzili po domach, zapraszali, zachęcali i zbierali fanty na loterię, choć niewielu chciało dawać. Ojciec Tośki oświadczył, że mu się pomysł majówki bardzo podoba, i na loterię dał swojego najlepszego koguta. Inni też zaczęli się przekonywać.

W niedzielę 17 września 1939 roku na łące za gospodarstwem Budzikiewiczów pojawiły się stoły, na stołach jedzenie, za stołami ławy, a pod topolą trzyosobowa orkiestra: jeden z harmonią, jeden z fletem i jeden z tamburynem. Żaden nie umiał dobrze grać, ale zapału mieli, jakby ich było dziesięciu. W wiadrach z zimną wodą chłodziły się butelki wina i gonichy. Ludzie schodzili się powoli, grupkami, zebrali się wszyscy, nawet ci w żałobie. Tośce wydawało się, że to oni najwięcej tańczyli, jakby się ani na chwilę nie chcieli zatrzymać.

Przyszła z rodzicami i Gienią, którą czasami lubiła, a najczęściej niezbyt. Najpierw stała z boku, przy stołach, jak reszta. Potem, kiedy wszyscy pili, śpiewali i tańczyli, usiadła z Gienią i patrzyła na ojca, na mamę, na sąsiadów.

Niewidzialnego Człowieka zobaczyła podczas krótkiej przerwy pomiędzy tańcami, kiedy muzykanci odpoczywali przy stołach, a pozostali podrygiwali, szukali swoich naczyń, ocierali pot z twarzy. Był inny niż wszyscy chłopcy i mężczyźni, których widziała w życiu, bo nie był ani chłopcem, ani mężczyzną – był kimś innym, jakby go tam, na łące, było zaledwie pół. Wszyscy, których znała, zawsze coś robili, nawet jak odpoczywali, to jakby

zajęci, a on wydawał się nic nie robić, niczym nie interesować, niczego nie chcieć. Trzymał kubek, ale tak, jak się trzyma liść, który się zerwało nie wiadomo po co i już o nim zapomniało. Nie był ani szczególnie wysoki, ani szczególnie niski, nos miał lekko zadarty, włosy czarne, brwi czarne, ręce i twarz opalone, w plecach był raczej szeroki. Oczy takie, że miałoby się ochotę wsadzić w nie palce, żeby sprawdzić, czy naprawdę tam są, czy to tylko dziury w głowie, przez które można gdzieś sięgnąć. Stał sam, nie uśmiechał się, nie zagadywał, nie śpiewał. Chyba nie tańczył wcześniej, przynajmniej nie widziała. Nie znała go z Chojen – może był z Grzegorzewa albo z Tarnówki, może przyjechał w odwiedziny, a może był po prostu znikąd. To jej się wydawało najbardziej prawdopodobne.

Później dowiedziała się, że to kuzyn pana Drewsa, nazywa się Karol Lipiec, ma dwadzieścia pięć lat i pracuje w lasach. Ale teraz nic nie wiedziała – teraz patrzyła na niego i czuła, że do tej pory wcale nie istniała, nie było jej, jest dopiero teraz.

Siedziała za olbrzymim stołem, z Gienią za rękę, z kwiatkiem we włosach, bo mama wpięła i powiedziała, że ładnie. Nie czuła zapachu mięsa i nie słyszała śmiechu ani rozmów, zniknęły przyciasne buty, dłoń Gieni i trawa kłująca w nogi. Był wyłącznie ten dziwny człowiek znikąd.

Później zginął w tłumie. Tańczył jakby od niechcenia, jakby go wszystko śmiertelnie nudziło, a kobiety najbardziej. Kiedy orkiestra zarządziła kolejną krótką przerwę, Tośka poderwała się z ziemi i podeszła. Sięgała mu brodą do brzucha.

– A ty co? – zapytał.

Patrzył na nią, na nikogo innego, tylko na nią, i nie śmiał się, nie unosił głupio brwi jak inni, nic nie robił, po prostu patrzył, a ona topniała, wsiąkała w ziemię i czuła, że się zaraz zsika.

– Ja bym zatańczyć chciała – powiedział ten ktoś, kto teraz był nią.

Niewidzialny Człowiek pokiwał głową, nie odrywając od niej wzroku. Z bliska widać było różową bliznę ściekającą mu spod ucha na szyję.

– Zatańczymy, jak dorośniesz – stwierdził z taką powagą, że sprzedałaby za dorosłość dusze matki, ojca i brata. Chciała wiedzieć, ile to jest dorosłość. Dziesięć lat? Chyba nie piętnaście? Chciała być dorosła teraz, natychmiast, chciała tańczyć. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwrócił się i odszedł kilka kroków. Znowu stanął obok stołu, sam, z nieważnym kubkiem w rękę, i dalej sobie w najlepsze nie był.

W nocy kiepsko spała. Rano nie mogła się wygrzebać spod pierzyny. Czowała się inaczej, gorzej, lepiej, ale jednak gorzej. Jakby ktoś wyprowadził jej się z głowy i zamieszkał w brzuchu. Chodziła otepiała, mdliło ją, na nic nie zwracała uwagi. Zastanawiała się, czy może jest już dorosła, a jeśli nie, to kiedy. Ile trzeba mieć, żeby być dorosłą: metr trzydzieści? Metr pięćdziesiąt?

Nie była głodna, nie była najedzona, zmęczona ani wypoczęta, wesoła nie była, ale smutna też nie, tak jakby nie była żadna. Tak jakby nie była w domu, ale wciąż tam, na łące, naprzeciwko Niewidzialnego Człowieka, z głową na wysokości jego brzucha, wpatrzona w jego bliznę na szyi. Stała tak przez cały dzień, a on co jakiś czas powtarzał, że zatańczy z nią, jak dorośnie. Dopiero wieczorem zaczęła być trochę bardziej w domu niż na łące, nie miała wyboru, bo ojciec.

Od rana pracowali przy kapliczce: ojciec, Drews, Nagórny i kilku innych. Podczas bombardowania wyrwało ją z ziemi i od tamtej pory leżała w krzakach, twarzą Maryi do dołu. Od rana padało. Kałuże powoli rozpełzały się na wszystkie strony, a błoto błyszczało na drodze. Ktoś stwierdził, że z Maryi leżącej twarzą w błocie to może być tylko kolejne nieszczęście, spróbowali więc Maryję podnieść. Ciężka była i śliska, ale za trzecim razem się udało. Tośka co rusz musiała im coś przynosić – a to sznur z szopki, a to chleba ze smalcem, a to wreszcie jakąś suchą koszulę dla ojca i najlepiej też kapelusz, ten, co go nigdy nie nosił. Padało coraz mocniej i mama prosiła ich, żeby tę robotę odłożyli na jutro, bo się wszyscy przeziębiecie i tyle z tego będzie, ale nikt jej nie słuchał, a ojciec to już najmniej. Późnym wieczorem ustawili Maryję na swoim miejscu, ludzie się zeszli, podziwiali: kapliczka po bombardowaniu, a jakby niedraśnięta.

– Patrzajcie, Bozia nie pozwoliła Niemcom kapliczki zrujnować! – powiedziała pani Nagórna do Tosi i innych dzieci.

Tośka patrzyła na smutną minę zmokłej Maryi i ciemne serce namalowane na jej piersiach.

– To nie mogła lepiej kapliczkę dać zrujnować, a tych ludzi w stodole zostawić? – zapytała, ale nikt jej nie odpowiedział.

Ojciec przeziębził się przy przenoszeniu kapliczki, tak jak mówiła mama, bo

mama zawsze miała rację. Rano kaszał, aż w nim dudniło. Upierał się, że nic mu nie jest, ale było. Wieczorem wreszcie skapitulował, wpełzł do łóżka, zasnął. Leżał w tym łóżku przez dziewięć dni, a dziesiątego umarł.

Miał gripę – tak przynajmniej twierdziła Ochyrowa, która się trochę znała na chorobach i uważała, że to nie od tego deszczu i zimna przy kapliczce, że takie coś to się w człowieku łęgnie dłużej. On sam sprawiał wrażenie, jakby wiedział wszystko, co trzeba. Wydawał rozporządzenia, tłumaczył, co z końmi, co z kuźnią, co z sadem. Przez większość czasu spał.

Co kilka godzin budził się z płytkiego snu i gwałtownie kręcił głową. Po raz pierwszy rozpląkał się w nocy, spocony i półprzytomny. W poniedziałek te kurwy z Wehrmachtu podobno wymordowały w Sochaczewie trzysta osób, w tym wielu cywili, a on leżał w łóżku i umierał na gripę. We wtorek jakiś pułkownik Dębek, czy też Dąbek, walczył ponoć na Kępie Oksywskiej jak szalony, do ostatniego tchu, i na koniec własnoręcznie odebrał sobie życie, a on leżał w łóżku i umierał na gripę. W środę, czwartek i piątek to już był prawdziwy koszmar, bomby rozdzierały domy, stodoły i ludzi, krew wsiąkała w ziemię, ludzie walczyli, ludzie zmieniali się w tchórze, w bohaterów, w zdrajców i w męczenników, a on leżał w łóżku i umierał na gripę.

Po raz drugi rozpląkał się przy wszystkich: nic już nie mówił, nie patrzył na nikogo, tylko raz uderzył słabymi rękoma w pierzybę, potem oddychał ciężko. Tośka po raz pierwszy w życiu widziała, jak ojciec płacze, i w pierwszej chwili wydało jej się to śmieszne, bardzo śmieszne, ale później już nie. Później patrzyła w jego wielkie oczy i dziwnie chudą twarz i sama płakała, bo nie rozumiała, dlaczego tata tak wciąż kaszle. Umarł w sobotę, przed świtem, chyba we śnie.

Zastanawiała się, czy Niewidzialny Człowiek przyjdzie na pogrzeb i czy ją pozna. Przyszedł, ale nie poznał. Zresztą trudno było powiedzieć. Stał z Drewsami, dalej jakby sam, dalej jakby znudzony tym wszystkim, a ona miała ochotę podbiec do niego i krzyknąć, że to jej ojciec umarł i że to jest dla jej ojca pogrzeb, to proszę się smucić, a on by się wtedy bardzo przejął i przytulił ją na oczach wszystkich ludzi i powiedział, że już jest dorosła i że mogą tańczyć.

Ostatecznie nie podbiegła, robiła to co inni: zęgnęła się, modliła, śpiewała. Tylko płakać nie potrafiła tak przy wszystkich. Michaś potrafił. Po pogrzebie

wrócili do domu i nie było z nimi ojca, ale pomyślała, że może po pogrzebie tak trzeba, że może jest w kuźni, może pijany, bo mama mówiła, że tak mu się zdarza, a mama zawsze miała rację.

Tośka snuła się po domu, wszyscy przytulali ją, głaskali po głowie i było bardzo miło, a kiedy już zrobiła się bardzo senna, usłyszała, jak pan Drews mówi Ochryze, że kuzyn Karol wprowadził się do nich, że dobry chłopak, że pomoże w polu, bo co tak sam będzie, człowiek to musi z ludźmi. Powtarzała szeptem imię Karol, aż zasnęła z myślą, że teraz wszystko będzie dobrze.

Ojciec nie wrócił już po pogrzebie, ale kuźnia stała dalej i konie żyły, i jakoś wszyscy dalej mieli o czym rozmawiać. Przez pierwsze kilka tygodni mama była trochę bardziej senna i trochę bardziej miła, ale w końcu znów zaczęła się zachowywać normalnie. Pół roku później Tośka dziwiła się, że kiedyś w ogóle mogło być inaczej. Że był ojciec, szkoła i bomby. Teraz nie było nic – ani jego, ani płonących stodół, ani lśniących przedmiotów na torach, torami też nic już nie jeździło tak jak dawniej. W ciągu dnia nikt jej nie pokazywał, jak podkuwać konia, żeby go nóżki nie bolały, a przed spaniem nikt jej nie grzał poduszki na piecu i nie wołał dudniącym, straszno-śmiesznym głosem, żeby wskakiwała do łóżka, póki ciepłe.

Prawie codziennie wieczorem siadała z mamą i sąsiadami przed domem Nagórnych, opierała się o szorstkie deski płotu i patrzyła na grę w karty albo słuchała nudnych opowieści o frontach, wojskach, manewrach. Nic się nie działo.

Niewidzialny Człowiek, który miał na imię Karol, mieszkał w Chojnach od kilku miesięcy, ale prawie go nie widywała. Jeździł do pracy swoim lśniącym czarnym rowerem, wracał po zmroku. Nie przychodził na karty ani na opowieści, nie upijał się z młodymi mężczyznami z Chojen i nie śpiewał z nimi po nocach piosenek, których mama jej nie kazała słuchać. Mówili, że opiekuje się lasami w Chełmnie, chociaż Tośka nie bardzo wiedziała, jak to można się opiekować lasem.

I nic nie było przez wiele miesięcy, przez całą jesień, zimę i wiosnę, aż do czerwca. Dziesiątego czerwca, w poniedziałek, niedługo po dwunastej, przyszło dwóch panów w mundurach, jeden bardzo przystojny. Mama zaczęła stawiać na stole, co miała, a miała chleb, masło, smalec, kluski i kaszanke. Kiedy panowie zjedli, ten przystojny wstał, uśmiechnął się pięknie, uderzył

mamę pięścią w usta i szeleszczącą polszczyzną kazał wszystkim wypierdalać.

ROZDZIAŁ TRZECI

2002

Wszedł na tory i zamknął oczy.

Czuł ciepło słońca na karku i drzenie szyny, której dotykał butem. Ciemny świat wokół niego grzmiał znajomo. Uderzenie poczuł w tej samej chwili, kiedy do huku dołączył wiercący gwizd lokomotywy. Uderzenie z boku, twarde i miękkie jednocześnie. Upadł w trawę. Gdy otworzył oczy, świat był bladą twarzą przerażonego Budzika.

Poczuł cios. W policzek, pięścią, niedokładnie. Budzik trafił go jeszcze w ucho i w łuk brwiowy, potem wstał, ale zaraz skulił się w podmuchu huczącego pociągu. Dyszał bezgłośnie i zaciskał pięści.

Pociąg przejechał, zniknął. Szymek kulił się w trawie, obolały, poparzony przez pokrzywy. Patrzył na leżący obok cień Budzika. Wczołgał się w ten cień, obrócił twarzą do ziemi i zaczął głośno płakać.

Wrócili do domów bez słowa, nie pożegnali się, nie umówili na następny dzień jak zazwyczaj. Babcia zapytała go o coś, kiedy zajrzał do kuchni, ale nie wiedział o co. Wszedł po schodach na piętro i położył się na łóżku twarzą w dół, tak jak leżał w cieniu Budzika. Zamknął oczy. Szybko zasnął, rano obudził się w pidżamie. Dźwięk młynka do kawy wyrwał go ze snu o bombach spadających z nieba.

A potem wszystko przyspieszyło. Nie chciał chodzić na tory ani myśleć o torach. Ciągłe szukał zajęcia, ciągle coś robił, czytał, oglądał. Coraz częściej pomagał babci i z czasem polubił pracę przy przepiórkach. Małe, ruchliwe i głupie wydawały się nie mieć o niczym pojęcia. Tłoczyły się w niskiej klatce, gadały do siebie, czasami dziobały się po plecach. Dolewał wody do plastikowej butelki o odciętym dnie, którą babcia powiesiła na ścianie kotłowni. Wsypywał ziarno do długiej metalowej rynny. Układał małe kropkowane jaja w wytłaczankach. Gówna wnosił do sadu.

Królików nie polubił. Były ospałe i patrzyły na niego w taki sposób, jakby wiedziały wiele więcej niż on. Udawały, że są równie głupie jak przepiórki,

ale czasami zakradał się do nich po ciemku i wtedy zachowywały się inaczej. Były ruchliwe, głośne, tupały w drewniane podłogi klatek.

Budzik przychodził codziennie. Wołał z podwórka albo z drogi, zawsze w jednej ze swoich dwóch koszulek o postrzępionych ściągaczach, zawsze ze skórą odchodzącą z karku i z ramion, zawsze roztargniony. Szymek wychodził do niego i czasem szli pokopać piłkę, czasem strzelali z procy do kuropatw na polu. Najczęściej tłumaczył, że musi pomóc babci. Nigdy nie rozmawiali o tym, co się stało i co się nie stało na torach. Budzik sprawiał wrażenie, jakby o tym zapomniał.

Przyspieszyły dni i tygodnie, wszystko wchodziło sobie na głowę, jedno po drugim, bez odstępów, bez przerw: zwierzęta, zakupy, cementarz, dwusmakowe lody przy ratuszu, czwartkowa Naturka, pan Jurek i znajome już „za tę resztę to sobie, synek, jaką bułkę kup czy coś”, więc i wizyty w sklepie pani Duszej, a za sklepem Doktor z Hołowczycem, dwa posągi przyrośnięte do prowizorycznej ławki wśród krzewów, jedynie oni w tym wszystkim spokojni i niezmienni.

Czasami jeździł na zakupy z Budzikiem i jego tatą. Samochód brali od babci. Pan Budzikiewicz jeździł szybko i można było nie zapinać pasów. Wchodzili we trójkę do Kauflanda, wózek prowadził zwykle Budzik. Jego tata czytał na głos z kartki, wtedy obaj rzucali się do półek po odpowiedni produkt, kto pierwszy. Za którymś razem przy kasie podszedł do nich wysoki i chudy człowiek o nabrzmiałej twarzy. Śmierdział wieloma rzeczami. Pan Budzikiewicz przywitał się z nim, zamienił parę słów. Mężczyzna przeklinał głośno i drapał się po przedramieniu z rozmytym tatuażem. Szymek widział, jak Budzik łapie ojca za rękę. Sam stanął po jego drugiej stronie. Kolejka do kasy posuwała się powoli, jak to w Kauflandzie, jak to o tej porze.

Mężczyzna mówił, że kopę lat, że trzeba na piwo, że sklepów nie lubi w chuj. Nagle pochylił się, oparł ręce na kolanach. Patrzył na Szymka z uniesionymi brwiami. Miał ciemny strup nad wargą. Na nosie krzyżowały mu się czerwone żyłki. Przeniósł wzrok na Budzika, i znowu na Szymka. Wyprostował się i skrzywił.

– Który to twój? – zapytał.

Szymek wsunął rękę w dłoń pana Budzikiewicza. Ścisnął mocno. Pan Budzikiewicz spojrział na niego i z powrotem podniósł głowę.

– Oba – powiedział, patrząc w twarz wysokiemu mężczyźnie. – Oba są moi.

Nazajutrz po wizycie w Kauflandzie Szymek zjadł dwa naleśniki z konfiturą, pomógł babci przy królikach i przeczytał jedną historię z nowego „Giganta”, a potem się zakochał.

Zakochał się kilka minut przed dwunastą, na poboczu drogi, ziewając. Szedł po Budzika i myślał o komiksie. Ręce trzymał w kieszeniach, chociaż babcia mówiła, że tak robią tylko ludzie nic nie warci. Zastanawiał się, czy następnym razem też pojedzie do miasta z panem Budzikiewiczem i czy następnym razem też uda mu się wyprosić u niego „Giganta”. Podniósł wzrok i już.

Wera Nagórna miała siedem lat, długie włosy i zdarte lewe kolano. Widywał ją już wcześniej, ale zwracał na nią uwagę tak samo jak na inne dziewczyny, czyli nie za bardzo. Nagórni mieszkali naprzeciwko Budzikiewiczów, w dużym i ładniejszym domu. Był biały, przykryty ciemnobrązową dachówką. Wyglądał, jakby ktoś go mocno przycisnął od góry i rozpląszczył na równo przystrzyżonym trawniku. Kostka brukowa prowadziła łukiem do ciężkiej bramy zdobionej zawijasami w kształcie liści. Obok furtki wyrzuszała się kwadratowa skrzynka na listy. Obok skrzynki na listy stała Wera Nagórna.

Miała na sobie dżinsowe spodnie do kolan i bluzkę z nadrukiem *Atomówek*. W jednej ręce trzymała klucze na kolorowej smyczy, w drugiej plik ulotek. Jedną nogą stała na trawie, drugą na asfalcie. Podniosła wzrok i spojrzała na Szymka.

Przyspieszył, przełknął ślinę, zwolnił.

– Cześć.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby zdziwiło ją, że potrafi mówić. Przekrzywiła głowę, a wiatr zaszeleścił ulotkami.

– Cześć.

Minął ją, przekonany, że dostał z karabinu w brzuch. Patrzył przed siebie i starał się iść prosto. Zorientował się, że minął dom Budzika. Przeszedł jeszcze kilka kroków, a kiedy zawrócił, wsiadała już do samochodu. Pomachała mu i zniknęła za szybą.

Od tamtej pory było tylko gorzej.

To znaczy lepiej.

Czyli gorzej.

Było mu smutno, wesoło i nijak, czuł się głodny, ale nie chciało mu się jeść, miał dużo energii i najchętniej by leżał. Czasami próbował o czymś myśleć i nie mógł. Czasami wpadał na pomysł, że coś zrobi, i nie robił. Najczęściej czuł się tak, jakby ktoś mu wyłączył prąd w głowie.

Przed snem, wsłuchany w odgłosy pralki, wyobrażał sobie, jak ratuje Werze życie. Wyciągał ją z płomieni, bronił przed bandytami, osłaniał przed wybuchem granatu, przed wściekłym psem, przed kulami. Wiózł ją na rowerze, uciekając przed mafią. Przedstawiał ją żółwiom ninja. Najczęściej pod koniec wręczał jej swoją najlepszą zlepkę, tę w kształcie węża. W końcu ginął, a ona przez resztę życia go opłakiwała.

Budzikowi nic nie powiedział.

Bał się przechodzić obok jej domu i bardzo chciał przechodzić obok jej domu. Z reguły patrzył prosto przed siebie albo udawał, że jest czymś bardzo zajęty: zadrapaniem na dłoni, ulicą, zachmurzeniem. Potem zerkał szybko, czy nie ma jej przed drzwiami albo w ogrodzie. Nie mógł znieść myśli, że Budzik ma widok na jej dom.

Nie obchodziło go, że od września już szkoła – szkoła, o której marzył i o której tyle mówili rodzice, szkoła z zeszytami, kolegami i tym wszystkim, o czym nie miał pojęcia. Mama chodziła do szkoły daleko, w innej krainie, i opowiadała o tym rozmaite historie, bo wszystko tam było inne, nawet mówiło się tam inaczej. Śmiesznie.

A teraz wszystko na nic, szkoła nieważna, zeszyty nieważne, koledzy i koleżanki też. Ważna tylko Wera. Czy ona chodzi do szkoły? Czy może teraz dopiero pójdzie? Jeśli tak, to może z tej szkoły jednak coś będzie?

Któregoś wieczoru usłyszał, jak babcia rozmawia z kimś przez telefon o rodzicach, ale nawet to nie rozwiało mu szarej chmury w głowie. Leżał na łóżku z rękoma wyciągniętymi wzdłuż tułowia i słuchał coraz donośniejszego głosu:

– Tak, proszę pana. Tak. Ale to nie ja jestem policjantem, a pan.

– To ja rozumiem, ale przecie ludzie nie wjeżdżają na drzewo tak po prostu, bez powodu! Nie mam racji? Ale nie... Ale nie, niech pan mi powie: nie mam racji?!

– Słuchaj mnie, gówniarzu, ja bym mogła być twoją babką... Nie, ty mnie słuchaj. To jest tak dużo, że ja chcę wiedzieć, dlaczego mi córka... Co? To jest tak dużo? Wypadek, ja rozumiem, ale mi chociaż powiedzcie, czy to przez oponę, czy to przez jakieś, nie wiem, hamulce!

Szczęk odkładanej słuchawki i ciche, ale jednak nie aż tak ciche:

– Durniu pierdolony jeden.

Ulęgę poczuł dopiero kilka dni później, kiedy babcia przyniosła do domu plik krów. Siedział przed telewizorem i oglądał *Laboratorium Dextera*. Kiepski odcinek. Ostatnio wszystkie były kiepskie.

Babcia weszła do pokoju, usiadła obok niego.

– Masz.

Położyła przed nim gruby plik znajomych kart. Nie patrzyła na niego, tylko w telewizor, jakby *Laboratorium Dextera* nagle stało się najciekawszą rzeczą na świecie.

Szymek spoglądał na niepokolorowaną krowę w lewym górnym rogu karty leżącej na wierzchu. Wziął ją do ręki. Wszystko było takie samo. Rubryki, tabele, opisy.

– Od takiego Ambroziaka z Grzegorzewa, co jego matkę dobrze znałam – powiedziała babcia, patrząc w telewizor. – Też jest zootechnikiem. Miał trochę zapasowych, to wzięłam.

Szymek spoglądał na kontury krowy. Jeden bok, drugi bok i trójkątny łeb przodem. Oddychał powoli. Kart było dużo, na kilka wieczorów. Może na dziesięć. Zrzucił babci ręce na szyję i wtulił się w sweter pachnący trochę mydłem, trochę dymem. Siedzieli tak w milczeniu, a później poszedł na górę kolorować.

W tym samym czasie, kiedy Szymek kolorował krowy, Budzik leżał u stóp ojca na podłodze w kuchni i ostrożnie dotykał językiem obłuzowanego zęba.

Ojciec nigdy go nie bił. Tego dnia kazał mu powyciągać liście topoli z rynien, żeby się nie zatkały. Budzik odparł, że przecież jeszcze nie ma jesieni, to liści w rynnach mało, prawie nic. Pierwszego ciosu nie widział, tylko ucho nagle zapłonęło. Potem zobaczył twarz ojca wyłaniającą się gdzieś z boku i padł drugi cios, ten, który go posłał na ziemię. Przewrócił się i poczuł krew na języku. Jeden z zębów ruszał się w dziąśle. Pewnie wypadnie. Matka była w kurniku.

– Przepraszam, już idę – powiedział i podniósł się z podłogi.

Przy drzwiach zwolnił, obrócił się, przystanął. Ojciec tkwił między stołem a kuchnią, wysoki, nieruchomy. Nie patrzył w jego stronę. W ogóle nie patrzył.

– Jacek, przepraszam – szepnął.

Budzik wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Topola rosła na podwórku, od kiedy pamiętał. Podobno bardzo dawno temu pomiędzy pnem a ścianą domu dało się przejechać z taczka i jeszcze było miejsca. Teraz on sam ledwie potrafił się tamtędy przecisnąć. Pan Nagórny powiedział kiedyś przy świniobiciu, że drzewo im na palcach do chałupy wchodzi, i wszyscy się śmiali, wszyscy oprócz ojca, który stał w progu z bladą miną, jakby mu się zrobiło niedobrze.

Kilka dni później się upił i był inny niż zwykle: czujny, nerwowy, niespokojny. Drapał się po szyi i rozglądał na boki. Matka mówiła, żeby szedł spać, bo się tylko wygłupia.

Budzik pamiętał dotyk jego palców na ramieniu, kiedy chwycił go mocno, jak nigdy wcześniej, i poprowadził przed dom. Stanęli naprzeciw grubego pnia topoli. Miał powiedzieć, co widzi. Zdezorientowany, odwrócił głowę, ale ojciec szarpnął nim i rzekł prosto do ucha ciepłym oddechem:

– Nie na mnie patrz!

Budzik powiedział wtedy, że przeprasza i że widzi topolę, i po raz pierwszy w życiu dostał od ojca z otwartej dłoni w skroń, aż zadzwoniło. Upadł na kolana, ale zaraz ojciec kazał wstać. Wstał.

Ojciec zaczął mówić. Że to drzewo jest tu od zawsze. Że patrzy, ale nie tak, jak patrzą ludzie. To drzewo słuchało wszystkich rozmów pięciu już pokoleń Budzikiewiczów. To drzewo zna dotyk skóry twojego dziadka, pradiadka i prapradziadka, który je posadził. W to drzewo wsiąkał ich mocz. W tym drzewie jest cała historia twojej rodziny i tego drzewa się należy bać.

– Boisz się, Jacek?

Bał się, ale nie topoli. Przytaknął. Ojciec poklepał go po ramieniu i pocałował w czubek głowy.

– Tylko ostrożny bądź – mruknął i wrócił do domu.

Tym razem gadania nie było. Tym razem był obluzowany ząb. U góry, z przodu. Będzie widać. Budzik pomacał językiem dziąsło, oparł drabinę o dach i powoli wszedł na górę. W rynnach ani śladu liści. No, może ze dwa, trzy. Wygarnął je ręką i zrzucił na dół. Ślizgały się w powietrzu z boku na bok.

Odstawił drabinę do stodoły i długo kręcił się po podwórku. Do domu nie chciał wracać, ale wrócił. Umył ręce i porozkładał talerze. Kolacji prawie nie ruszył. Przed snem się nie pomodlił, na złość. Rano w pościeli znalazł ząb.

Spotkali się przed furtką babci Tosi: Szymek zakochany, Budzik z wybitym zębem, obaj uśmiechnięci. Pierwszy odezwał się Budzik. Że ojciec jest pojeb i że on mu jeszcze kiedyś. Tylko niech dorośnie. Szymek kiwał głową. Budzik zaproponował, żeby może na tory, bo ma fajną długą śrubę. Zwędził ojcu i wcale się nie boi. Ruszyli poboczem, jeden obok drugiego. Z naprzeciwna nadciągali Doktor i Hołowczyc. Doktor wyprostowany, w spodniach na kant, wyblakłej koszulce i białej czapce z daszkiem. Hołowczyc jak kula ubrań i zarostu, z muskularnymi ramionami opartymi na kołach wózka.

Szymek mruknął „dzień dobry”, bo babcia powtarzała, że to bardzo ważne, żeby mówić sąsiadom, nawet takim, a może zwłaszcza takim. Doktor musnął palcami daszek czapki, Hołowczyc po prostu patrzył spod obfitych brwi.

Po lewej dom Nagórnych. Gorąco. Szymek rzucił okiem na podwórko, na okna, na samochód. Nic. Odetchnął.

– Kiedyś też taki będę – stwierdził Budzik, oglądając się za mężczyznami. – Nikt mi nie będzie nic kazał.

Szymek przytaknął, nie słuchając.

Śruby nie znaleźli. Budzik przysięgał, że widział, jak upada niedaleko drogi, i szukał, garbił się, rwał chwasty. Miotał się i obracał w kółko. Taka ładna śruba.

W końcu dał spokój i poszli z powrotem. Szymek próbował sobie przypomnieć, jak się skończyła ostatnia historia z „Giganta”, ale nie potrafił. Wydawało mu się, że pamięta tylko klucze na kolorowej smyczy, plik ulotek, dzinsowe spodnie do kolan i bluzkę z nadrukiem *Atomówek*. Nagle był już u babci, w swoim – nie swoim pokoju, z głową na poduszce, trochę senny. Potem obiad, przepiórki, a później Budzik w korytarzu. Uśmiechnięty. Błady.

Przed domem Szymek chciał zapytać, piłka czy strzelanie z procy do kuropatw, ale Budzik podszedł do niego bardzo blisko i powiedział:

– Takie coś by trzeba zakopać.

– Ale co?

– Chodź.

Wyszli na drogę, okrążyli kurnik Budzikiewiczów i przeszli przez siatkę przerwana kilka lat wcześniej w czasie burzy. Przy murze leżał brązowy karton, taki jak te, które widywało się czasem w rogu sklepu pani Dusznej. Budzik przystanął i popatrzył na Szymka.

– Ojciec kazał.

Szymek podszedł bliżej, kucnął. Zerknął na nieruchomego Budzika i znowu na karton. Uchylił go ostrożnie. W środku ospale poruszały się kuleczki puchu. Sześć, może osiem. Nie widać było oczu ani pyszczków, gdzieś tam tylko spod futerka wystawała drobna łapka.

– Ale jak?

Budzik wzruszył ramionami.

– No normalnie, tak się robi. Nie wiesz?

– Aha.

Z kartonu dobiegało ledwie słyszalne szuranie. Szymek wyciągnął rękę i zaraz cofnął. Wyciągnął jeszcze raz. Przesunął palcem po miękkim, ciepłym życiu.

– Jak się kocicha koci, to tak trzeba robić, bo inaczej toby w Chojnach było sto razy więcej kotów niż ludzi, tak mówi ojciec, a mama też powiedziała, że tak jest. Normalnie, trzeba tak robić, wszyscy to wiedzą. No nie?

Stali nad nierównym dołem.

Kopali na zmianę, Budzik trochę więcej, był mocniejszy. Później otworzyli kartonowe pudło i kolejno wyjęli ze środka kocięta. Siedem. Ułożyli je ostrożnie na dnie wykopanej dziury. Teraz stali obok siebie, trochę niepewni i trochę spoceni, aż w końcu Budzik powiedział:

– Najpierw trzeba... No wiesz. Ty pierwszy.

Szymek podniósł szpadel i zbliżył się do dołu. Odwrócił głowę, zamknął oczy, zacisnął dłoń na gładkim trzonku. Stał tak, czekając, aż ręka sama wykona ruch i ostrze szpadla opadnie.

Słońce paliło go w kark i głowę o krótko przystrzyżonych włosach. Koszulka lepiała się do pleców.

– Chyba nie chcę – powiedział, nie otwierając oczu.

Słyszał swój oddech i oddech Budzika, który musiał stać teraz bardzo blisko. Uniósł powieki, odrzucił szpadel na bok i pobiegł przed siebie: na drogę, drogą w lewo, prosto do babci. Przed furtką przykucnął i oparł się o siatkę. Czekał. Babcia otworzyła drzwi i zapytała, czy chce kompotu. Albo coś.

Nie chciał. Mijały kolejne minuty. Drogą przejechało łącznie siedem samochodów. Gruby chłopak na skuterze śmignął w jedną i w drugą stronę.

Budzik pojawił się chwilę później. Stukał ostrzem szpadla o nagrany asfalt.

Szymek chciał się podnieść, ale został na ziemi. Podkurczył nogi i objął je ramionami. Próbował nie patrzeć na szpadel.

– I co?

Sam się zdziwił, jak bardzo płaczkliwie to zabrzmiało. Wydawało mu się, że gorące powietrze oblepiło wszystko dookoła, tak że już nie puści, i że zawsze będzie tak cicho.

– Obiad mam zaraz – usłyszał.

Kiwnął głową i nic nie powiedział. Budzik stał przed nim jeszcze przez parę minut, wielki i nieruchomy, wreszcie odwrócił się i bez słowa wrócił do domu.

Wieczorem przyszła Bozia, padało. Nowa pralka milczała w korytarzu, babcia oglądała teleturniej, Szymek leżał, słuchał i patrzył na komiksy na szafce. Nie mieściły mu się już w starej pralce, więc te najstarsze, przeczytane kilka razy, wyjmował, robiąc miejsce cenniejszym, ale kiedy tylko przynosił któryś do pokoju, natychmiast dochodził do wniosku, że nie, źle wybrał, ten jeszcze na pewno będzie chciał przeczytać, bo tu ta fajna historia była, albo okładka, albo jeszcze co innego fajne. Zawracał więc, upychał komiks z pralce i wyjmował inny, wydawałoby się: zaczytany już na śmierć, niepotrzebny, jednak w pokoju, z dala od bezpiecznego bębna pralki, każda rzecz nagle okazywała się taka bardzo ważna. Wracał znowu.

Teraz leżał, słuchał i patrzył. Oprócz tego, co ukrył, wszystko mogła mu zabrać. Jedynie w pralce było bezpiecznie. Nie rozumiał dlaczego, ale czuł to, tak jak się czasem w życiu czuje.

Zamknął oczy. Słuchał.

Bozia chodziła wokół domu. Czasem weszła na drzewo, czasem zaszurała w trawie, trochę poszarpała za ogrodzenie i trochę postukała w rynny. Wiedziała, co dziś zrobił i czego nie zrobił, bardzo była zadowolona. Nie przyszła do Budzika, ale właśnie do niego, który uciekł. Do ludzi, którzy nie uciekają, żadna Bozia nie przychodzi. Ludzie, którzy nie uciekają, śpią spokojnie i nie muszą się przywiązywać sznurkiem do kaloryfera.

Szymek obiecał sobie, że już nigdy przed niczym nie będzie uciekał. Bo chyba to od człowieka zależy, czy ucieka, czy nie?

Najpierw trzeba było zabić Bozię. Dłużej nie wytrzyma.

Rano, przy śniadaniu, zastanawiał się, jak powiedzieć o tym babci. Może mogłaby poczekać przez kilka dni gdzieś w krzakach i zastrzelić ją, zanim ta w ogóle spróbuje wejść do domu? Przetykał owsiankę z miodem i układał w myślach słowa. Babciu, a czy babcia mogłaby. Bo wie babcia, ta Bozia to znowu. Bo z tym pistoletem, co babcia obiecała, no to. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek na głos, babcia odezwała się pierwsza. Podeszła do niego. Nic nie postawiła na stole, nic ze stołu nie zabrała. Czyli będzie mówić. Patrzyła gdzieś ponad jego głową: nie na niego, ale też nie za wysoko, żeby oboje mogli myśleć, że jednak na niego. Powiedziała, że po południu sprzedaje mieszkanie.

Zastanawiał się, jakie mieszkanie i dlaczego mu o tym mówi. Co go w ogóle jakieś sprzedawanie miesz...

– Jak chcesz, możesz jechać ze mną – dodała i wzięła się do zmywania.

Siedział w samochodzie, bał się wyjść. Patrzył na piorunochron, po którym wszedł kiedyś na wysokość pierwszego piętra i potem stchórzył. Patrzył na betonowe płyty parkingu, na których z Jarkiem i Maćkiem z bloku naprzeciwko grał czasami w kwadrata. Patrzył na daszek ponad wejściem do klatki schodowej, na który wspiął się, a mama zobaczyła to z okna w kuchni. Na samo okno nie patrzył. Za oknem było mieszkanie z rodzicami i z nim samym, i teraz ktoś chciał to mieszkanie wyczyścić, pomalować.

Ktoś chciał wyczyścić i pomalować jego pokój, w którym miał biurko, łóżko z pościelą w samochodzie i plakat ze Splinterem. Ktoś chciał wyczyścić i pomalować łazienkę, gdzie być może mama zamykała się właśnie z papierosem, i pokój, w którym tata być może siadał teraz z kawą przy stole. Wszyscy mówili o nim, że ma najbardziej niezwykłe hobby na świecie, Szymek nie widział w tym nic niezwykłego.

Rytuał zawsze wyglądał podobnie: kawa, paczka papierosów i popielniczka ustawione na środku stołu, otwarty zeszyt w kratkę, dwa kolorowe cienkopisy i mały kalkulator. Tata zapalał lampkę i siadał na krześle przy oknie. Szymek mógł usiąść obok, pod warunkiem że będzie cicho. Przez następną godzinę słychać było wyłącznie oddechy i szuranie cienkopisu o papier. Szymek bez słowa wpatrywał się w drobne kształty na stronach zeszytów. Mama poruszała się po mieszkaniu jak duch. Tata wyglądał, jakby zasnął z otwartymi oczami.

Nieruchomy, wpatrywał się w białą kartkę. Co jakiś czas dopisywał słowo

i ciąg cyferek, wstukiwał coś w kalkulator, sięgał po papierosa. I znowu bezruch. Kiedyś wytłumaczył, że tworzy fikcyjne rozkłady jazdy pociągów, ale Szymek niewiele z tego rozumiał. Wiedział tylko tyle, że tata dla przyjemności robi coś ważnego i że być może bez niego pociągi za oknem przestałyby w ogóle jeździć.

A teraz ktoś chciał wyczyścić i pomalować mieszkanie. Z mamą, tatą i „fikcyjnymi rozkładami”.

Babcia wróciła niecałą godzinę później. Bez słowa wsiadła za kierownicę i uruchomiła silnik. Kiedy wrzucała pierwszy bieg, Szymek zauważył, że trzęsie jej się ręka.

– A zeszyty taty to gdzie są?

– Jakie zeszyty? – zapytała babcia w zamyśleniu.

– No te z pociągami w środku.

Skręcili w ulicę Blizną, babcia spojrzała w lusterko, na drogę, na niego. Przełknęła ślinę.

– Przepraszam cię, Szymek...

– No ale gdzie są? – upierał się.

Myślał, że mu nie odpowie. Jechali w milczeniu. Przecięli Włocławską, przepuścili kilku pieszych i minęli Biedronkę, do której jeździł czasem z rodzicami w tamtym życiu. Babcia odchrząknęła i powiedziała:

– Już dawno je wyrzuciłam.

Przez dwa tygodnie prawie się do niej nie odzywał, a później poszedł do szkoły, do swojej pierwszej szkoły, do pierwszych meczów w piłkę na asfalcie, do pierwszych wymian żetonami z *Gwiezdnych wojen*, do tłoku na korytarzach, do lodów Algida na przerwie, do skoków ze schodów i do ciepłego chleba kupowanego przez starszych na spółę. Babcia zapewniała, że szkoła jest bardzo fajna, pan Budzikiewicz twierdził, że trochę fajna, a trochę taka sobie, Budzik powtarzał, że na pewno do dupy. Wszyscy mieli rację.

Najpierw było rozpoczęcie roku, a na rozpoczęciu roku pani dyrektor zepsuł się mikrofon i jakiś wesoły chłopak z tyłu szeptem ją udawał. Było to bardzo zabawne, przynajmniej dla Szymka, ale dla innych chyba również, bo używał brzydkich słów. Szymek nie wiedział, że następnego dnia ten wesoły chłopak okaże się straszniejszy niż sama Bozia i że jeszcze straszniejszy okaże się on sam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

SZEŚĆDZIESIĄT DWA LATA WCZEŚNIEJ

Najpierw były wozy.

Wszystko szybko, w pędzie, w krzyku. Tośkę usadzili na środku, obok wielkiego worka z jakimś ziarnem, bardzo żałowała, że jednak nie przy brzegu, bo tam i widoki by były, i wiatr, i świat. Na środku było duszno i ciasno. Mama powiedziała, żeby nie marudzić.

Mężczyźni biegali z workami, z ubraniami, tylko pan Drews stał samotnie, z rękoma założonymi na piersiach, z przygryzioną wargą. Kilka razy próbował coś tłumaczyć ładnym panom w mundurach, ale odsunęli go, szczekając. Pan Drews pokręcił głową, podszedł do wozu, na którym siedziała Tośka, i powiedział, żeby koniecznie do niego pisać.

Wyrywane z rąk torby i walizki układano na stercie pod akacją. Dużo było krzyków, a najwięcej, kiedy pan Nagórny próbował wpakować na wóz cielaka. Zaraz podeszło do niego dwóch ładnych: jeden coś szybko mówił, a drugi aż podskakiwał z nerwów. W końcu Nagórny wdrapał się na wóz, przytulił kogoś i usiadł. Cielak został, tak jak wszystko inne.

Po dwóch godzinach jazdy zrobiło się niewygodnie. Po trzech bolały plecy. Ludzie modlili się, płakali. Michaś spał. Mężczyźni zaczęli śpiewać piosenkę, której Tośka nie знаła, ale szybko przestali. Pachniało rzepakiem. Na czystym niebie bujało się kilka drobnych chmur.

Tośka zapytała mamę, dokąd jadą. Mama, przyciskając chustkę do spuchniętego nosa, pogłaskała ją po głowie. Pani Ochyrowa nachyliła się z drugiej strony i tym swoim ciepłym, trochę ochrypłym głosem powiedziała:

– Wszystko będzie dobrze.

Po obydwu stronach wozu przesuwaly się wolno obce krajobrazy. Obce pola, obce domy i obcy ludzie przed nimi, wpatrzeni w milczącą karawanę. Tośka machała im, niektórzy odpowiadali tym samym. Szybko przestała: za

dużo było tych obcych domów i ludzi.

Okazało się, że jadą do Łodzi. Powiedział tak podobno jeden z ładnych panów w mundurach, którzy jechali na motocyklu. Tośka nigdy jeszcze nie była w Łodzi, ale słyszała, że to wielkie miasto, tak wielkie, że mogłoby się w nim zmieścić kilka całych Chojen. Siedząc na wozie, zastanawiała się, jak będzie wyglądać. Czy da się do niego normalnie wejść? Czy otacza je woda? Wyciągała głowę, wypatrując żagli i masztów.

Masztów nie było. Zapadła w sen, a kiedy się obudziła, był mur, i drut z kolcami. Wielki budynek porośnięty bluszczem. Mężczyźni mówili, że wcześniej działała tu fabryka. Tośce bardzo się podobał, wyglądał trochę jak z bajki.

Trzeba było wejść do środka i gdy weszli, ktoś zaryglował drzwi. Czekali w ciemnościach. Godzinę albo dwie. W końcu przyszło kilka kobiet z wiadrami i wielkim workiem, z którego unosił się zapach pieczywa. Rozdały kawę i chleb. Tośka jadła szybko, łykała bez gryzienia. Potem trzeba było iść spać: wszyscy w jednym pomieszczeniu, na ziemi, w wilgotnym czymś, co kiedyś było słomą. W nocy robaki chodziły po rękach i po twarzy, co rusz ktoś się budził, dziewczynki piszczały.

Na drugi dzień rano ustawili się w rzędzie. Tośka słyszała, jak Ochyrowa z przejściem szepcze do matki jakieś magiczne słowo:

– Rewizja.

Dwaj panowie podchodzili do każdego po kolei, kazali oddawać pieniądze, biżuterię, kosztowności. Niektórych okładali cienkim kijem, innych rozbierali do naga. Kobietom obcinano obszyte sukнем guziki od płaszczy i włosy zawinięte w wałki. Jeden z Niemców podszedł do mamy i kazał jej oddać złotą obrączkę, którą miała na palcu. Mama przycisnęła dłoń do brzucha, tłumacząc, że to jedyna pamiątka po zmarłym mężu, że przecież już jej wszystko zabrali, więc niech chociaż to. Mężczyzna kręcił głową, wysoki, rozkraczony, uśmiechnięty. Zabrał obrączkę, obrócił ją pod światło. Inny, starszy od niego, zbliżył się, zapytał o coś matkę. Podszedł do swojego kolegi, bardzo blisko, i zaszczekał do niego, a młody oddał mamie obrączkę, popatrzył jeszcze na nią i powoli się oddalił.

Po rewizji były kawa i chleb. Parę godzin po kawie i chlebie kazano wyjść z budynku. Szli przez miasto, w pełnym słońcu, poganiani. Poprowadzono ich

na dworzec i załadowano do wagonów towarowych. Drzwi zamknięto, znów ciemność.

Godzinę później pociąg ruszył, nikt nie wiedział dokąd.

Tłoczno. Duszno. Smród.

Kilka kobiet płakało, mężczyźni śpiewali *Kto się w opiekę*, ale po kolei milkli, aż zrobiło się zupełnie cicho. Tośkę ustawiono pod niewielkim okienkiem. Szły od niego chłodne powietrze i mdły zapach rzepaku. Co jakiś czas podawali jej miskę, w którą się po kolei załatwiali; wylewała jej zawartość przez okienko i oddawała z powrotem. Mama stała obok, z Michasiem przyciśniętym do piersi.

Po kilku godzinach ucichł turkot kół. Odsunięto Tośkę od okienka, ktoś wyrzwał, za nim następny i jeszcze kilku. Stali w polu.

Tośka chwyciła mamę za rękę i przysunęła się bliżej. Pamiętała, jak kiedyś pociąg stanął w środku pola. Pamiętała to bardziej pamięcią innych niż swoją, choć swoją trochę też. Miała wtedy trzy lata. Wagony zatrzymały się za drogą, między Chojnami a cmentarzem w Grzegorzewie. W Mieście zawyła syrena fabryki fajansu. Nikt nie wiedział, co się dzieje, wszyscy wybiegli z domów, wreszcie ktoś, skądś, przez kogoś: nie żyje Pan Piusucki.

Tośka pamiętała, że bardzo wtedy trzeba było płakać z powodu Pana Piusuckiego i wszyscy tak się smucili, że nawet pociągi musiały stanąć. Świat stanął, powiedział wtedy tata. Teraz też musiało się stać coś złego, skoro tak nagle, nie wiadomo dlaczego, w lesie jakimś.

Czekali pięć, dziesięć minut, godzinę. Kilku umundurowanych mężczyzn przeszło obok, szczerkając. Zaraz potem otwarto wagon, a do środka wlało się białe światło. Wokół żandarmi z karabinami. Szczerkanie. Mężczyzna, który znał niemiecki, krzyknął, że można się załatwić. Pięć minut.

Kucali wszyscy jeden obok drugiego, nikt na siebie nie patrzył. Zaraz rozległy się krzyki:

– Los! Los!

I trzeba było z powrotem do wagonów. Znowu ciemno. Szarpnęło i pociąg ruszył dalej. Po jakimś czasie drzenie ukołysało Tośkę do snu.

Obudziła się zdrętwiała, wyziębiona, przylepiona do mamy.

– Wychodzimy.

Wagon był otwarty, ludzie skakali w poranny półmrok i chłód. Ruszyli równą kolumną, popędzani przez panów w mundurach. Miasto wokół nich spało, gdzieniegdzie szemrały tylko niewidoczne miotły. Szli niedługo, może dziesięć minut, dotarli na szkolny dziedziniec, tam stanęli, nikt się nie odzywał. Niebo nad dachem budynku rozrzedzało się powoli, gdzieś wysoko śpiewał ptak.

Każdy otrzymał kartę uchodźcy *Flüchtlingsschein* z numerem. Tośka długo powtarzała swój w pamięci: sześć, siedem, trzy, pięć. Później był długi marsz, a potem drewniane baraki, w których można się było wreszcie położyć, po kilka osób na jednym sienniku. Tośka zamknęła oczy i zniknęła, wtulona w ciepłą mamę.

Obudziła się wyspana, zdziwiona i głodna. Rozglądała się po wnętrzu baraku, próbując zrozumieć, gdzie jest i dlaczego nie w domu. Sienniki stały jeden obok drugiego, ze sznurów zwisały pieluchy i bielizna.

Większość dorosłych zebrała się w jednym końcu pomieszczenia: dyskutowali, podnosili głosy, wzywali imię Pana Boga nadaremno. Okazało się, że miejscowość, do której przyjechali, nazywa się Nowy Sącz. Ponad czterysta kilometrów od domu.

Tego samego dnia Tośkę, mamę, Michasia i kilka innych osób załadowano na góralską podwodę jednokonną i zawieziono do wsi pod Nowym Sączem, której nazwy Tośka nigdy nie potrafiła zapamiętać. Coś na M. Albo na K. Ale raczej na M. Dotarli tam w nocy. Sołtys zaprowadził ich do gospodarstwa mężczyzny, który był Starym Góralem i nazywał się Kłoda.

Stary Góral Kłoda wcale nie był stary, tylko tak wyglądał: niski, wąsaty, pomarszczony jak kozuch na mleku. Miał pięćdziesiąt dwa lata, wdowcem był od czterech. Mieszkał z synem i dwiema córkami. Wyściskał czwórkę przybyłych i natychmiast zabrał się do parzenia herbaty, podczas gdy jego syn, Józek, zbijał łóżko i mościł je słomą. Znalazły się prześcieradło, gruby koc i wypchana sianem poduszka z kawałka płótna. Po wszystkim Józek stanął przy piecu i długo patrzył na mamę. Był wysoki, szczupły, czarne włosy zaczesane miał do tyłu na brylantynie. Oczy duże, utkwione w mamie, nieruchome. Zapytał, w czym może pomóc, bo pomoże bardzo chętnie. Starczy powiedzieć.

Mama odparła, że to wszystko to i tak zbyt wiele. Pochyliła się nad parującą herbatą, podniosła wzrok:

– A list by możliwe było wysłać?

Józek Kłoda już szukał papieru, już chciał do sąsiada lecieć po atrament, ale ojciec położył mu rękę na ramieniu, westchnął pod siwym wąsem.

– Jutro.

Mama dopiła herbatę, podziękowała Staremu Góralowi Kłodzie, jego synowi i córkom, a potem zasnęła, w ubraniu, tuląc Tośkę i Michasia. Dom skrzypiał cicho pod łagodnymi dotknięciami wiatru. Tośka odsunęła się na skraj łóżka i gdy zasnęła, śniła o tym, że wspólnie z Niewidzialnym Człowiekiem płynie przez kraj w wielkiej, rozkołysanej łodzi.

Rano na stole czekały dzbanek mleka, papier i atrament. Sabina zaadresowała list do Antoniego Drewsa, który, tak sądziła, jako jedyny pozostał w Chojnach. W krótkich, uważnie kaligrafowanych zdaniach opisała podróż i miejsce, do którego trafili. Prosiła o wieści. Co w Chojnach? Co w Mieście? Co z ich gospodarstwem?

Zastanawiała się, co by było, gdyby taki list wpadł w jakieś niepowołane ręce, i czy jest możliwe, aby wpadł. Zastanawiała się, co się dzieje z listami zagubionymi, błędnie zaadresowanymi, wysłanymi przez pomyłkę. I czy jest takie miejsce, do którego cała ta korespondencja trafia, i czy jest ktoś, kto tę całą korespondencję przegląda. Miała nadzieję, że nie.

Józek zaoferował, że sam wyśle list: i tak wybiera się w tym kierunku, bo idzie, no, nieważne, zresztą, chciałby, coby mówić na niego Józek, bo Józef to kapkę dorosłe, a przecież on nie taki aż, zresztą... no.

Sabina podała mu list i razem wyszli przed dom. Słońce przeciskało się przez postrzępione chmury, w trawie jeszcze błyszczała rosa. Józef-Józek nie przestawał mówić: kończył jeden temat i zaczynał kolejny, śmiał się, gestykułował, chrząkał. Kiedy tłumaczył, czym się dokładnie różnią kierpce od trzewików, wiatr wyrwał mu list z dłoni. Oboje rzucili się za trzepoczącą kartką. Biegli, machając rękoma: on przeklinał po swojemu, ona głośno się śmiała. W końcu wiatr szarpnął w drugą stronę i zderzyli się, z listem uwieczonym gdzieś pomiędzy. Józek przeprosił, odwrócił twarz i całą resztę siebie, mruknął coś jeszcze, że roboty dużo, i ruszył z kartką w stronę drogi. Sabina odprowadzała go wzrokiem.

Po śniadaniu Stary Góral Kłoda pokazał im okolicę. Wieś leżała nad potokiem, domy budowano jeden przy drugim, wzdłuż drogi. Po obydwu jej stronach wznosiły się brzuchy zielonych potworów. Wszędzie było w górę albo w dół. Tośka zadzierała głowę i z niedowierzaniem wpatrywała się w szczyty najęzione drzewami.

Ludzie mówili głośno i śmiesznie, używali słów, których nigdy nie słyszała. Pozdrawiali, zagadywali, pytali o Niemców. W oddali ktoś grał na skrzypcach melodię, od której aż kręciło się w głowie.

Stary Góral Kłoda niósł Michasia na rękach. Opowiadał o tym, co na prawo i lewo, śmiał się z min Tośki. Mama raz po raz pokazywała coś palcem, a on cierpliwie tłumaczył.

Szli pod górę, dysząc i ślizgając się w błocie. W lesie spuszczano właśnie drzewo: potężne bele sunęły w dół, a huk odbijał się echem od okolicznych grzbietów. Kłoda przysiadł na kamieniu, stęknął głośno, zapalił. Pogładził się po wąsach i oświadczył, że dziesięć sagów będzie dla nich. Płacić nie trzeba. Mama rozryczała się wtedy, powiedziała, że tak nie można i że ona, że ona... Stary Góral Kłoda śmiał się jak z dobrego dowcipu.

Kilka dni później na podwórku pojawiło się czterech młodych juhasów. Porznęli i porąbali drewno, na osobnym stosie ułożyli to przeznaczone dla „nowych”. Stawni sypiali już wtedy w osobnej izbie: Sabina z Michasiem na jednym łóżku, Tośka sama na drugim. Mieli okrągły stolik, dwa krzesła i obraz z Jezusem na ścianie. Tośka stwierdziła, że Jezus wygląda na nim trochę jak pan Niemiec, który ich wygonił z Chojen.

Pierwszy list od Drewsa przyszedł niecałe dwa tygodnie później.

Drews dziękował za to, że się odezwali; był przekonany, że wszystkich ich gdzieś pozabijano. Pisał, że u nich wszystko dobrze, tylko do wsi nowych ludzi sprowadzili, Niemców, rodziny całe, z dziećmi. Normalni, pisał, normalni ludzie, nawet mili. Zakończył wzmianką, że ci, których przesiedlono na miejsce Ochrów, po trzech dniach spakowali się z powrotem na wóz i odjechali bez słowa. Podobno dowiedzieli się o tych spalonych w stodole i nocami budziły ich jęki i westchnienia. Na koniec Drews obiecał, że wkrótce napisze znowu i że wszystko będzie dobrze.

Żywili ich górale, co tydzień inna rodzina. Dostawali siedem litrów mleka na tydzień, do tego fasolę i bochenek chleba z mąki owsianej. Tośka dwa razy w tygodniu chodziła na pocztę w Starym Sączu. Pan Drews przysyłał listy i paczki. Kielbasę, trochę marek niemieckich, kilogram słoniny.

Ksiądz z pobliskiego klasztoru sfotografował ich wszystkich na długiej

wiklinowej kanapie. Mama co kilka dni wyjmowała zdjęcie i całą czwórka oglądali je uważnie, odkrywając coraz to nowe szczegóły. To u księdza na poddaszu co kilka dni ludzie z okolicy zbierali się, żeby przez tajny radiodbiornik słuchać wieści z kraju i z Europy. Generał de Gaulle został zaocznie skazany na śmierć. Niemcy zatopili jedenaście brytyjskich statków. W ciągu jednego dnia strącono nad Londynem sto osiemdziesiąt pięć niemieckich samolotów. Dwa tysiące osób aresztowanych w Warszawie. Rozmawiali o tym wszystkim do późnej nocy, w chmurze papierosowego dymu, rozgrzewani herbatą i śliwownicą. Większość nie wierzyła, że to wszystko naprawdę.

Ksiądz dał Sabinie kartkę do Rady Głównej Opiekuńczej, za którą odebrała dwa duże worki mąki. Drews przysyłał kolejne listy i paczki. Każdy powrót z poczty był jak Wigilia Bożego Narodzenia. Siadali wokół przesyłki, powoli odwijali szary papier, mama wyjmowała osobno każdą rzecz i deklamowała na głos:

- Szynka.
- Kaszanka.
- Miód.

Tośka chodziła wyspana i najedzona. Pomagała Staremu Góralowi Kłodzie, a przede wszystkim dwóm jego córkom, które, choć jedna starsza od drugiej o dwa lata, trudno było od siebie odróżnić. Doiła kozy, ubijała masło, lepiła pierogi. Kolejne miesiące mijały powoli i tylko krajobraz się zmieniał: deszcz padał częściej i dłużej, stalowe chmury przysłaniały niebo, wzgórza rdzewiały.

Biel przyszła zniecka: wieczorem jej nie było, a rano gruba, puszysta, rozpościerała się po ziemi i dachach chałup, wspinała się na ściany, oblepiała pnie. Było jej więcej niż w Chojnach i ciągle jej przybywało. Tośka zjeżdżała z Michałkiem na sankach i robiła orły tak często, że jej się znudziły.

Razem z bielą przyszły święta, święta dziwaczne, zabawne. Choinka nazywała się podłazniczka i zwisała z sufitu, do góry nogami. Józek ozdobił ją orzechami i suszonymi jabłkami, opasał łańcuchami z lnu. Na stole wśród talerzy leżał owies, pod stołem – siekiera. Stary Kłoda kazał wszystkim po kolei opierać na niej stopy, bo w ten sposób nabierało się siły. O północy, ciężki od wielogodzinnych przyjemności, począpał z wiadrem do studni.

Zanurzył w nim monetę, a potem każdy musiał obmyć twarz w czarnej, lodowatej wodzie, żeby być twardym i zdrowym jak ten pieniądz. Michałek ryczał, Tośka się śmiała.

Biel zniknęła z nienacka: wieczorem była, rano już jej nie było. W marcu Drews napisał, że z Chojen uciekli już prawie wszyscy Niemcy. Twierdził, że to zasługa zmarłych ze stodoły, ale też i jego, bo im trochę pomógł. List zakończył trzykrotnie powtórzonym słowem: „wracajcie”.

Stary Góral Kłoda wiadomość o ich wyjeździe przyjął ze spokojem, jak to Stary Góral Kłoda. Józek najpierw milczał, później nie spał, a później nie dawał spokoju. Pytał, czy to na pewno bezpieczne, doradzał, aby jeszcze trochę zostali, ostrzegał przez podróżą.

W niedzielę po mszy Sabina zaprosiła go na spacer. Szli ścieżką wijącą się po zboczu, mówiła głównie ona. Że spędziła tu cudowne miesiące. Że nigdy tego nie zapomni. Że on, Józek, także jest cudowny.

Józek milczał. Co jakiś czas kiwał głową, co jakiś czas uśmiechał się smutno. W końcu podszedł blisko, chwycił ją za rękę, pocałował. Pachniał skórą i dymem. Przycisnął ją do drzewa i chwycił w pasie. Szeptał jej do ucha to wszystko, czego bał się powiedzieć na głos, a ona kręciła głową, próbowała nie słuchać. Kiedy przed nią klękał, zamknęła oczy. Pociągnął ją za sobą. Plecy miała na jego kurtce, nogi na zimnym mchu i liściach. Józek wciąż szeptał, całował, gryzł, powtarzał jej imię. Miał białe, bezwłose ciało. Poruszał się gwałtownie, jakby się bał, że za chwilę się obudzi albo że oboje znikną. Później długo leżał obok niej, przesuwał palcami po jej piersiach i brzuchu. Prosił, żeby została.

Pocałowała go i podniosła się z ziemi.

– Chodź. Muszę rzeczy spakować.

Tośka bała się jechać. Pytała, czy znowu będzie pociąg i ciemność, czy znowu będzie trzeba wylewać smród przez okno, czy znowu robaki i Rewizja. Sabina uspokajała, tłumaczyła, że to zupełnie co innego, bo teraz jechać będą sami i pomogą im ludzie. Wszystko będzie dobrze.

Dzień przed wyjazdem Tośka po raz ostatni poszła ze Starym Kłodą w góry. Nagle wszystko wydawało się ładniejsze. Ciekawsze. Bardziej jej. Oblepione

śniegiem szczyty błyszcząły w ostrym słońcu. Zapach drzew uderzał do głowy. Rosa wyglądała jak srebro. Z początku oboje milczeli i słychać było jedynie szum strumienia. Szli stromo pod górę, potem stromo w dół, chwytając się drzew, ślizgając na mokrych kamieniach.

Stary Kłoda mówił. Że tak to już w życiu bywa. Nic nie jest na zawsze. Ale nie trza się gnębić, bo może będzie lepiej. Na pytanie, czy jeszcze się kiedyś zobaczą, powiedział, że raczej nie.

Ona nie mówiła nic. Nie chciała jechać w ciemnym wagonie. Bała się pływających miast bez żagli i słów, które dorośli wymawiają wyłącznie szeptem. Wolałaby, żeby mama pojechała sama, a ona tu zostanie: z nim, z górami, najedzona.

Wiedziała, że tak się nie da.

Stary Góral Kłoda przykucnął nagle i chwycił ją za ramię. Stali obok grubego pnia, zapadnięci po kostki w dywanie z liści i mchu. Tośka pomyślała, że może to jakieś żarty, że może chodzi o to, żeby ją rozweselić przed wyjazdem.

Chwilę później zaszeleściło, zadudniło, a z krzaków wyszedł diabeł.

Był brązowy i mokry. Nie dało się powiedzieć, jaki dokładnie ma kształt. Wyglądał, jakby ktoś naciągnął na niego zbyt dużo skóry, jakby tam, pod nią, było jeszcze dużo miejsca. Miał podłużny pysk i małe czarne oczy. Szedł szybko, na czworakach, a pozlepiane futro błyszcząło mu na grzbiecie.

Tośka wstrzymała oddech. W brzuchu rósł jej ciężki kamień. Wszystko nagle stało się ciche i nieważne, ważne było tylko to, co wyszło z krzaków i stało teraz odwrócone tyłem do nich.

– Co to? – zapytała, z jedną ręką opartą o pień, drugą zaciśniętą na materiale koszuli Kłody.

Stary Góral nachylił się powoli i wyszeptał jej do ucha swoim nosowym, miękkim głosem:

– Niedźwiedź.

Długo czekali, aż sobie pójdzie, i w końcu poszedł. Ale i tak czekali. W tym czasie Stary Góral Kłoda opowiadał. Niedźwiedzie nie są groźne, chyba że się je rozwścieczy, ale wtedy kto by nie był. W zimie śpią, przebudziły się niedawno, jakiś miesiąc temu. Opowiadał, co jedzą, co lubią robić i czy trzeba się ich bać. Trochę trzeba.

Wreszcie uznał, że można już wracać. Kiedy wyszli z lasu, Tośka rzuciła się biegiem. Wpadła na mamę, zanurzając twarz w bezpiecznym fartuchu.

Mówiła przez łzy. W lesie widziała straszego Niedźwiedzia i nie chce wracać, nigdzie nie chce, bo co, jeśli spotkają takiego po drodze?

Mama pogłaskała ją po twarzy, uśmiechnęła się słabo.

– A pamiętasz, co ci opowiadałam o dziadku?

Tośka pamiętała, ale na wszelki wypadek pokręciła głową.

– Chodź.

Usiadły na schodach przed domem: mama na derce, Tośka na mamie. Znała tę opowieść, słyszała ją już dwa razy, ale głos mamy był jak gruby koc w kratę, który mieli jeszcze w Chojnach: można się było w nim zagrzebać, trochę schować przed wszystkim.

Dziadek nazywał się Lucjan Walerian Stawny i był największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył w Wielkopolsce. Potrafił cielaka zarzucić sobie na plecy i pójść tak do Miasta na targ. W dziewięćdziesiątym ósmym zesłano go na Syberię, gdzie panował taki mróz, że jak chlusnęło się wodą ze szklanki nad głowę, to spadał lód. Było tam strasznie i ciężko, ludzie umierali z głodu. Lucjan postanowił uciec.

Po trzech dniach wędrówki natknął się na niedźwiedzia. Minał się z nim w wąskim przejściu pod skałą, tak blisko, że czuł jego cierpki zapach. Patrzył przed siebie i ani na chwilę nie przyspieszył kroku. Przeszedł kawałek, potem jeszcze kawałek. Myślał, że się udało. Wtedy niedźwiedź odwrócił się i natarł. Dziadek nie miał broni, tylko zaostrzony kamień, którego używał jak noża. Walczył, uderzając zwierzę w nos i w uszy, bo kiedyś przy ognisku pijany drwal mu opowiadał, że tam najbardziej je boli. Niedźwiedź szarpał mu ciało, jakby było z waty. Dziadek wgryzł mu się w szyję i kamieniem przeciął grubą żyłę pod gardłem. Dwa dni później doczołgał się do małej osady. Nie miał siły mówić ani unieść głowy. Posłano po lekarza, który stwierdził, że nie ma nadziei. A dziadek wylizał się z tego i choć nigdy już nie mógł ruszać lewą ręką, to przeżył jeszcze ponad dwadzieścia lat.

– W tobie ta sama krew jest, co w nim – zakończyła mama, przyciskając ją do siebie. – Ty też wszystkiemu dasz radę. Nawet niedźwiedziowi.

Za marki od Drewsa kupili bilety na przejazd koleją przez Rzeczę. O Rzeczy Tośka wiedziała tyle, że jest zła i kończy się Zieloną Granicą. Poza tym mama

kazała jej nauczyć się na pamięć wszystkiego tego, o czym pan Drews napisał w ostatnim liście, że nie wolno tego robić po drodze.

Wyszli przed świtem. Stary Góral Kłoda dał im trochę jedzenia na drogę, a Józek odprowadzał ich tak długo, jak było można, czyli dosyć długo. Na koniec przytulał mamę – też długo – a potem machał im, aż się zrobił całkiem mały i zniknął.

W pociągu nie było ani duszno, ani ciemno. Nikt nie załatwiał się do misek. Mama przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. W wagonie jechało kilka osób, panowała cisza. Tylko Michaś marudził co jakiś czas, bo mu było nudno, a kiedy usłyszał gdzieś stuknięcie, przybliżał głowę do szyby i pytał sam siebie:

– A to chyba motyt?

Na dworcu w dużym mieście czekał niski pan w okularach. Podał mamie rękę i wziął od niej bagaż. Nazywał się Nasz Pan. „Nasz Pan zaprowadzi nas teraz tutaj i tutaj”. „Z Naszym Panem nie trza się wcale bać”. „Podziękuj no ładnie Naszemu Panu”. Szli wśród wysokich ścian, w milczeniu. Trzeba było się spieszyć, wchodzić do kamienic i spieszyć się dalej.

Przesiedzieli kilka godzin w pustym mieszkaniu, a nocą Nasz Pan przeprowadził ich przez Zieloną Granicę, która bardziej była szara niż zielona. Szosa w polu, światła, samochody. Godzinę później dotarli do gospodarstwa, gdzie nikogo nie było. W stodole paliła się pojedyncza świeca, obok leżał bochen chleba. Nasz Pan zamknął ich w środku i życzył powodzenia.

Kilka godzin później ktoś ich zawołał i kazał wsiadać na wóz. Trzeba się było głęboko zagrzebać w sianie. Tośka nie widziała twarzy tego kogoś, słyszała tylko, jak wzdycha i powtarza pod nosem, że chyba mu życie niemiłe. Jechali długo, bez przystanku. Było zimno i niewygodnie, siano szeleściło i kłuło w twarz, w szyję. Michaś płakał, mama uspokajała, prosiła, obiecywała, że niedługo koniec. Tośka myślała, że nie wytrzyma, że umrze z głodu, a zsika się to już na pewno. Wreszcie usłyszeli, jak nieznajomy mówi:

– Zsiadejta. Macie te swoje Chojny.

Chojny były takie same jak przedtem, tylko ludzi mniej.

Tośce wydawało się czasem, że nigdy stąd nie wyjechała, a to wszystko – płynące miasto, mundury, Stary Góral Kłoda, góry i niedźwiedź, a potem Nasz Pan, Zielona Granica, siano i głos nieznajomego bez twarzy – to

wszystko był zaledwie długi sen, z którego się wreszcie obudziła. Czasem z kolei czuła ostry smród ciemnego wagonu, dotyk robaków na skórze lub zapach lasu w miejscowości na K (lub na M) i wiedziała, że to wszystko jednak prawda, że to się zdarzyło.

Przez pierwsze dwa dni w Chojnach na zmianę jadła i spała. Trzeciego postanowiła zrobić mamie niespodziankę. Mama wyszła z Michasiem do Nagórnych, którzy wrócili już jakiś czas temu, też dzięki Drewsowi. Czasu było niewiele, takie odwiedziny trwały zwykle nie dłużej niż godzinę.

Tośka wybiegła na podwórko, gdzie chłód i słońce zatrzymały ją już przy studni. Osłoniła oczy i czekała, aż zupełnie się obudzi, co czasami zajmowało jej więcej niż innym – tak przynajmniej mówił tata, kiedy jeszcze był.

Kiedy się już całkiem obudziła, poleciała do pani Drewsowej i poprosiła o dwie rzeczy: żeby nic nikomu nie mówić, bo niespodzianka, i żeby napisać na kartce: „NASZ DOM”. Drewsowa napisała, obiecała, że nie powie.

Bieg, podwórko, stodoła. Krótka deska z ciemnym sękiem biegnącym przez środek. Tośka usiadła na pieńku do rąbania drewna i starannie przepisała węglem dwa słowa od pani Drewsowej. Deskę przywiązała sznurkiem do grubego kija. Kij trzeba było jeszcze naostrzyć. W myślach wybierała miejsce, w które wbije znak, tak żeby mama od razu zobaczyła go z drogi. Nie tylko zresztą mama. Drogą mógł na przykład przejść Niewidzialny Człowiek, który, z tego, co wiedziała, również wrócił, a może przez cały czas tu był. Mógł się zatrzymać i na widok tak pięknego znaku z uznaniem pokiwać głową.

Lewą ręką przytrzymała kij na pieńku, prawą uniosła siekierę. Wysoko, ponad głowę. Zachwiała się, zapała mocniej nogami. Poprawiła końcówkę kija. Przed oczami widziała już ucieszoną mamę. Dużo będzie śmiechu. Mama pochwali ją i przytuli, i będą tańczyć, trzymając się za ręce. Może Niewidzialny Człowiek, pełen podziwu dla tego, co zrobiła, również z nimi zatańczy?

Tośka uśmiechnęła się na tę myśl, opuściła siekierę i odrąbała sobie dwa palce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

2002

Wyślizgane schody, blask podłużnych jarzeniówek, rytmiczny stukot obcasów, ramiona kasztanowców za oknami, ciepłe bułki z piekarni za rogiem, cienkie zeszyty w linię, brzdęk kluczy, ciąg szarych umywalek, smak lodów Algida, białe bramki na boisku, równowaznia za boiskiem, na równowazni ślady butów i rdza.

Pierwszego dnia w szkole Szymek zyskał przezwisko, drugiego zdobył sławę. Przezwisko nadał mu właściciel wesołego głosu, który podczas rozpoczęcia roku szeptem udawał panią dyrektorkę. Miał duże, ciekawskie oczy i przerwę pomiędzy przednimi zębami. On sam nigdy nie zdobył przezwiska; nazywał się Ciurysek i wszystkim to wystarczało.

Po uroczystym rozpoczęciu na sali gimnastycznej trzeba było pójść do klasy, gdzie wysoka nauczycielka o włosach w kolorze marchewki tłumaczyła, jak to tutaj będzie i dlaczego tak fajnie. Szymek słuchał i zerkał na Budzika, siedzącego obok z miną, jakby szykował się do zjedzenia zupy jagodowej, której szczerze nienawidził. Ławka była poznaczona długimi bliznami po cyrklach. Pachniało płynem do mycia podłóg, trochę słodko, trochę cierpko, trochę nijak.

Pani mówiła, mówiła, i nagle było po wszystkim. Jeszcze raz zapewniła, że to będzie piękny i ważny etap w ich życiu, a potem kazała sobie iść. W nagłym ścisku przed drzwiami, poruszając się wolno z nogi na nogę, Szymek odwrócił głowę, żeby jeszcze raz rzucić na nią okiem: stała przy biurku i uśmiechała się do nich wszystkich, a właściwie do nikogo.

– Ty, co wyglądasz jak jaszczur! – krzyknął Ciurysek, który wtedy nie był jeszcze Ciurykiem, a wesołym głosem dochodzącym gdzieś zza pleców. – Szybciej trochę!

I tyle. Dziewczyna, która stała obok, spojrzała na niego i uśmiechnęła się przepraszająco. Ktoś z drugiej strony powtórzył szeptem, jakby do siebie:

– Jaszczur.

Następnego dnia po tym, jak został Jaszczurem, opierał się o parapet na

korytarzu i próbował zdecydować, czy zjedzenie na pierwszej przerwie kanapki z szynką to wstyd, czy jednak nie. Na razie nikt nie jadł – jemu ryczało w brzuchu. Uznał, że zje. Sięgnął do tornistra, a korytarz zadudnił radosnym głosem Ciuryska:

– No, Jaszczur, złaź!

Szli od strony łazienek: on, Budzik i jeszcze czterech innych. Patrzyli na niego trochę rozbawieni, trochę niepewni. Wyglądali, jakby wiedzieli, co się zaraz wydarzy, ale byli ciekawi, czy wydarzy się na pewno.

– Jaszczur, no złaź, mówię, bo przecież łuski na parapecie zostawisz. Syfiarzu.

Ciurysek mówił to wszystko ze szczerym, wesołym uśmiechem. Ręce wisały mu równo wzdłuż ciała, pomiędzy wargami migąła ciemna szczerba.

Szymek powoli odsunął się od parapetu i wtedy wszyscy ryknęli. Śmiał się Ciurysek, śmiali się jego koledzy, śmiało się kilka osób ze starszej klasy i śmiały się dziewczyny stojące nieopodal. Budzik, któremu aż poczerwieniały policzki, cały się trząsł.

Szymek spojrzał na prawo i na lewo, dotknął palcami rozporka: zapięty. We włosach też nic nie miał. Ani z tyłu na spodniach. Świat na moment zamazał się przy brzegach i zaraz wrócił na miejsce.

Krok do przodu.

Wiele lat później Szymon Stawny doszedł do wniosku, że jeśli była taka jedna chwila, kiedy przestał być dzieckiem, to wcale nie w dniu śmierci rodziców, ale właśnie wtedy, właśnie na tej przerwie, właśnie podczas wykonywania tego jednego kroku w stronę rechoczącego Ciuryska.

Nikt go nie nauczył, że kciuków nie należy trzymać wewnątrz pięści i że ciosami w skronie można czasem największą krzywdę zrobić sobie samemu. Nikt mu nie wyjaśnił, co grozi za bijatyki na przerwach i od czego jest ciąg blaszanych garaży za szkołą.

Nie wiedząc tego wszystkiego, oraz wielu innych rzeczy, Szymek z całej siły uderzył Ciuryska pięścią w twarz. Chłopak poleciał w tył, jakby był z kartonu. Wszyscy milczeli, nawet gwar dochodzący przez uchylone okno wydawał się zanikać. Szymek stał nieruchomo, z oddechem uwiecznionym gdzieś głęboko w środku, a wokół niego nic się nie działo i wyglądało na to, że nic już się nie wydarzy: już zawsze będzie tak stał nad tym powalonym chłopakiem, z rękoma zaciśniętymi w pięści.

A jednak świat ruszył: powietrze wyleciało z płuc, ktoś krzyknął, a Ciurysek zerwał się na nogi i popędził korytarzem. Szymek podniósł tornister

i z powrotem oparł się o parapet. Oddychał powoli i wyraźnie czuł, że coś się zmieniło, choć nie wiedział co.

Kanapkę z szynką zjadł na następnej przerwie.

Przez kolejne kilka dni czekał, aż do drzwi domu babci zapuka policja, wojsko, może ktoś jeszcze straszniejszy. Próbował sobie wyobrazić karę, jaka spotka go za uderzenie kolegi z klasy: wywożono go w różne miejsca, zamykano w więzieniu, odrąbywano palce albo całą rękę.

Pukanie do drzwi rozległo się dwa tygodnie później. Szymek odłożył starego „Giganta”, po którego stronach tylko ślizgał się wzrokiem, wolno zszedł po schodach i jeszcze wolniej pociągnął za kłamkę.

Za drzwiami nie było policji, wojska ani tłumu nauczycieli.

Była pani Duszna, zaskoczona chyba tak samo jak on. Odchrząknęła.

– A babcia jest?

– W sady – odparł, zastanawiając się, dlaczego w całą sprawę zamieszana jest pani ze spożywczego. – Zawołam.

– To ja pójdę do niej.

– Aha.

Zamknął drzwi i obserwował ją przez okno, jak unosi chude nogi, brodząc w żółto-zielonej trawie. Babcia stała na małej metalowej drabinie i piłowała uschniętą gałąź w kształcie ręki potwora. Zeszła, pocałowały się w policzek: raz i drugi.

Rozmawiając, ani razu nie spojrzały w stronę domu. Babcia trzymała panią Duszną za rękę, patrząc jej w oczy, po jakimś czasie weszła z powrotem na drabinę i z powrotem wzięła się do piłowania. Gałąź drżała rytmicznie, jakby wstrząsana śmiechem. Długo tak rozmawiały: pani Duszna w morzu wysokich chwastów, a babcia na górze, mocując się z ręką potwora. W końcu Duszna wróciła do furtki i poszła do domu, czy gdzie tam idą wieczorami ludzie tacy jak ona.

O Julii Dusznej większość ludzi mówiła, że była kiedyś przepiękną kobietą. Tośka zastanawiała się, co pomyślałaby Duszna, gdyby usłyszała coś takiego. Wydawało jej się, że świadomość, że się kiedyś było przepięknym, a teraz już nie jest, musi być znacznie gorsza niż świadomość, że się przepięknym nie

było nigdy.

Ona sama uważała się w młodości za na tyle ładną, by móc jakiemuś mężczyźnie mocno zawrócić w głowie, i na tyle przeciętną, by tych mężczyzn nie było aż tak znowu wielu. Teraz to wszystko było już nieważne, teraz obydwie były jedynie kobietami, które mijają się na ulicy w przekonaniu, że zawsze były stare.

Tośka patrzyła, jak znajoma jej córki, ubrana w jasną sukienkę do kostek i cienki sweter, sunie poboczem asfaltowej drogi w stronę domu, aby zamknąć się w nim i usiłować żyć życiem, które kiedyś prawie miała i które w ostatniej chwili wyślizgnęło jej się z rąk. Latami starała się ją oderwać od raz już przeżytej przeszłości i wytłumaczyć, że jednak dobrze jest się zmierzyć z tym, co dalej – a jeśli nie dobrze, to może przynajmniej ciekawie – wiedziała jednak, jak się takie wysiłki kończą. Raz już próbowała i skończyło się najgorzej.

Na dłuższą metę Julia była męcząca w swoich nieustannych próbach niewchodzenia świata w drogę. Jakby ze strachu przed odrzuceniem postanowiła robić tylko tyle, ile absolutnie konieczne, co sprawiało, że niektórzy rzeczywiście woleli ją odrzucić. W sklepie była uprzejma i zdystansowana. Nie odpowiadała na zaczepki, nie śmiała się z żartów, komplementy puszczała mimo uszu. Otwierała punktualnie o siódmej i zamykała równo o siedemnastej. Nie przyjmowała zaproszeń, gości ani księdza po kolędzie. W kościele nie postawiła nogi od tamtego dnia, kiedy jej życie przestało biec naprzód.

Jedynie w stosunku do rudych zdobywała się na coś więcej niż poprawna obojętność i od lat nie dopuszczała ich istnienia do wiadomości.

Tośka miała nadzieję, że Julia nie zamknie znowu sklepu, że nie podda się temu, czemu się od tylu lat poddawała, i że nie zniknie tam, gdzie już zniknęła wiele razy. Dokończyła ścinanie gałęzi, a potem przepiłowała ją na trzy części i uszykowała na stercie drewna do wyschnięcia. Dwa dni później Julia Duszna wywiesiła na drzwiach sklepu kartkę, że przez tydzień ze względów zdrowotnych nieczynne.

Poza wizytą pani Dusznej innych konsekwencji nie było.

Szymek chodził do szkoły jak inni, siedział w klasie jak inni, biegał po boisku.

Spotykani na korytarzach nauczyciele patrzyli

na niego tak samo jak na pozostałych uczniów. Czyli prawie nie patrzyli. Coraz częściej słyszał słowo „Jaszczur” i coraz rzadziej się tym denerwował. Było jak kołnierzyk, który po jakimś czasie przestaje uwierać. Poza tym wcale nie najgorzej było być Jaszczurem. Jaszczura znali w całej szkole. Każdy chłopak chciał być kolegą Jaszczura.

Sam Jaszczur w szkole raczej się nudził. Każdego dnia robił prawie to samo. Uczył się stawiania szlaczków i liter, które od dawna już znał, na próżno czekając, aż pani o marchewkowych włosach odkryje przed nim jakąś wielką, wstrząsającą tajemnicę. Najciekawszą rzecz, jaką usłyszał w pierwszej klasie, usłyszał wcale nie od niej, ale od wuja Rocha, tego samego dnia pod koniec października, kiedy przypadkiem przepowiedział sobie przyszłość.

Wuj Roch był wujem przyszywanym, choć Szymek nie miał pojęcia, co to znaczy. Wyglądał normalnie. Jak wuj.

Zazwyczaj spotykali się z nim w Mieście. Wuj zapraszał ich do restauracji, na obiad, kawę i deser. Był jeszcze większym miłośnikiem lodów niż babcia, znał wszystkie smaki i rodzaje. Jeśli już przyjeżdżał do Chojen, to nigdy normalnie, asfaltem, a jakoś tak dziwnie, od strony Boguszyńca, polną drogą z dziurami i piachem. Wjeżdżał za bramę, parkował między domem a szopką. Teraz tak samo. Wyłączył silnik i zawołał tym swoim cienkim głosem:

– Ale urosłeś, budrysie!

Szymek nie miał pojęcia, czy rzeczywiście urósł ani kto to jest budrys, ale nigdy o to wuja nie zapytał, bo jak ktoś zawsze przyjeżdża do Chojen od strony Boguszyńca, to przecież musi być trochę dziwny.

Najpierw poszli do jego pokoju. Wuj z zainteresowaniem oglądał łóżko, biurko i ściany, jakby było co oglądać. Przejrzał kilka komiksów, postukał w parapet, uśmiechnął się za dziwnie i za szeroko. Cisza. Szymek siedział na łóżku, a potem zszedł do babci – wuj za nim.

Chwila w kuchni, chwila przy kominku, zdjęcia, okno, ogródek, no pięknie, Tośka, pięknie, a te wiśnie jakie, niesamowicie obrodziły. Jeszcze trochę na kanapie, chrząkając, z nogą na nogę, słuchajcie, zapraszam na kawę z ciastkiem, do Miasta, do Fantazji, wspaniałą tam mają szarlotkę z lodami, zapraszam. Wsiedli do jego niebieskiego samochodu, w którym pachniało wanilią, babcia z tyłu, Szymek obok kierowcy, więc prawie jak kierowca, a potem pojechali, przez Boguszyńiec, po piachu.

W kawiarni wuj mówił dużo i o wszystkim, czyli tak jak zawsze: pogoda, praca, cena paliwa i wybory samorządowe, bóle w plecach (już lepiej), naprawa samochodu (znowu chłodnica) i rocznica zamachów w Nowym Jorku (Boże, to już tyle czasu). Pytał o króliki, o przepiórki, o zdrowie i o dom. Co nowego w Chojnach, co tam u Michała, no i, przede wszystkim, burdysie, jak tam w szkole?

Płynnie przechodził od tematu do tematu, jakby już w chwili ich poruszania przestawały go interesować – dopiero kiedy wspomniał o zbliżającym się deszczu meteorów, wyglądał, jakby po raz pierwszy od początku rozmowy naprawdę chciał wiedzieć, co myślą.

– Podobno nawet dwa tysiące gwiazd na godzinę ma spadać – tłumaczył, krojąc widelcem drugą porcję szarlotki. – Będziecie chyba oglądać?

Szymek uniósł głowę, a gumowa figurka żółwia Raphaela, którą od kilku minut wyczyniał przeczące grawitacji akrobacje, zastygła mu w dłoniach. Chciał zapytać, gdzie te gwiazdy dokładnie spadną i czy przypadkiem nie w Chojnach, ale wuj mówił dalej, i to niestety już nie o spadających gwiazdach, a o panu Hołowczycu. Kiedyś podobno pan Hołowczyc nie był panem Hołowczycem, ale normalnym człowiekiem, miał na imię Gracjan i potrafił nazwać w nocy każdy obiekt na niebie.

Później wuj pytał go, co tak lubi czytać (bo babcia mówiła, że lubisz), na co Szymek wzruszył ramionami, a potem mruknął, wspinając się żółwiem ninja na szklanke:

– Batmana i o Sknerusie McKwaczu.

Wuj Roch pochylił się wtedy i zaczął opowiadać o swojej pracy, gdzie ludzie też czytali, tylko nie komiksy, a listy (takie, co się gdzieś zagubiły albo je ktoś źle wysłał). Szymkowi czytanie takich listów wydało się najnudniejszą rzeczą na świecie, ale kiedy wuj zapytał z uśmiechem, czy kiedyś, jak już będzie dorosły, przyjedzie tam do niego pracować, odpowiedział, nie podnosząc wzroku, że tak.

On i Budzik chodzili do C, a Wera do A, co chyba znaczyło, że jest od nich w czymś lepsza, choć Szymek nie wiedział, kto i kiedy to sprawdzał. Widywał ją na korytarzu, na boisku i przy schodach, gdzie czasami musiał czekać na babcię. Mówili już sobie cześć, chociaż zwykle pierwszy musiał on. Kiedy rozmawiali, wokół niej pałętało się kilka koleżanek, które uniemożliwiały

Szymkowi realizację planu. Co to za plan, nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że go ma.

Do szkoły wozila go babcia. Budzik czasami zabierał się z nimi, bardzo grzeczny, uprzejmy, proszę, dziękuję, aż się chciało śmiać. Ostatnio coraz częściej chodził na autobus. W ciepłe dni jechał rowerem wzdłuż torów, polami, a od Kolejowej szedł pieszo, przez osiedle. Ojciec mu powiedział, że charakter. Że prawdziwi mężczyźni i coś tam.

Budzik raczej nie miał żadnego planu, a jeśli miał, to jakiś mroczny. Wiecznie na coś narzekał. Wydawał się rozczarowany szkołą i Miastem. W Chojnach był kimś, był Jackiem Markiem Budzikiewiczem, synem Wandy i Andrzeja, szósty dom po lewej stronie drogi, piętnaście hektarów, cztery krowy, dziesięć świń. W szkole był jednym z wielu pierwszoklasistów ze wsi, czyli nikim. W sklepiku nigdy nie kupował drożdżówki ani paluszków, nie wyprawiał się po lody do spożywczego, nie zrzucał się też na chleb, po który chodził starszy brat takiego jednego Daniela.

Szymek proponował czasami, że mu postawi, bo drobnych babcia dawała mu tyle, że mógłby kupować sobie i jemu, ale on nie chciał. Chociaż wiadomo, że chciał. Czasami wyglądał, jakby za wszystko był na siebie zły. Burczał coś pod nosem, walił ręką w udo. Gdyby można się samemu kopnąć w dupę, pewnie ciągle by to robił. Raz popłakał się w ławce.

Czasami na przerwach stał z Szymkiem, czasami z Ciuryskiem i innymi. Sam Ciurysek sprawiał wrażenie, jakby naprawdę się bał Jaszczura. Zresztą, nie tylko on. O niebezpiecznym chłopaku z Chojen mówiło się i w innych klasach. Szymek nie musiał nawet nic robić – Jaszczur załatwiał wszystko za niego. Kiedy on siedział w ławce albo krążył po korytarzu z innymi, Jaszczur stawał się bohaterem kolejnych opowieści, powoli rósł w siłę. Kiedy on na przerwie rozmawiał z jąkałą Adamem o najlepszych odcinkach *Asterixa*, Jaszczur omiatał korytarz groźnym wzrokiem, wypatrując kolejnej ofiary.

Z czasem stało się to normalne: wszyscy wiedzieli, że z Jaszczurem nie wolno zadzierać, a Szymek wiedział, że wszyscy o tym wiedzą. Stopniowo się do tego przyzwyczajał i już tylko czasami wydawało mu się, że on i Jaszczur to dwie różne osoby.

Nocami śniła mu się Bozia. Patrzyła przez szybę, jak leży w łóżku i oddycha, jak przewraca się na bok, jak porusza nogami pod kołdrą. Następnie krążyła

wokół domu, próbując dostać się do środka. Innym razem wędrowała po czubkach drzew przy drodze do Miasta, wypatrując fiata uno rodziców. Opadała na szosę, spychała auto w stronę drzewa i obserwowała marszczącą się, pękającą blachę. Podchodziła ostrożnie, powoli. Zaglądała do środka, dotykała rozgrzanego silnika. W końcu wyciągała rodziców przez rozbite szyby i unosiła ich, znikając w chmurach.

Któregoś dnia babcia stanęła w drzwiach jego pokoju, ręce założyła na piersi, jak to ona. Przeglądał akurat zeszyt z przygodami X-Menów, próbując przewidzieć, co się stanie w następnym.

- Jutro nauczysz się rąbać drewno – powiedziała. – Siekierą.
- Ale ja nie chcę rąbać drewna.
- Ale ja się nie pytam, czy chcesz.

Odwróciła się i wyszła. Następnego dnia okazało się, że uczyć ma go ojciec Budzika. Z początku nie miał czasu, potem coś go bolało, potem jeszcze coś innego, aż w końcu, nękanym przez sąsiadkę, znalazł pół godziny.

Było to w dzień przed deszczem meteorów, na który szykowały się wszystkie dzieci w szkole i chyba wszystkie dzieci w ogóle. Szymek trochę się denerwował. Ćwiczył w pokoju rąbanie drewna na sucho, udając, że rozłupuje olbrzymie pnie jednym uderzeniem. Ciął tak długo, aż rozbolały go ramiona.

Gdy zbiegł po schodach, babcia zatrzymała go przy drzwiach. Stała bez słowa, poprawiając mu koszulkę na ramionach. Zapytała, czy będzie uważał. Będzie. Poprosiła, żeby obiecał, że nie zrobi sobie krzywdy. Obiecał. Na koniec zrobiła coś, czego nie robiła prawie nigdy: objęła go i mocno przycisnęła do siebie.

Za kurnikiem stał wielki pień pokryty siatką ciemnych żłobień. Obok wznosiła się sterta drewna, które Drews pociął piłą spalinową. Unosił się intensywny zapach drewna, pod stopami szeleścił dywan trocin.

Pan Budzikiewicz tłumaczył niespokojnie i szybko, jakby zły, że w ogóle musi tłumaczyć i że w ogóle musi cokolwiek. No, czyli tu trzymacie, to wiadomo, i teraz mocno, ale uważać, żeby nie za bardzo w bok, jak mój kuzyn Lechu, co sobie kulasa prawie odrąbał i do dzisiaj na niego mówią Kuternoga. Czyli raz i dwa, bach, i mocno, żeby od jednego walnięcia poszło, bo na dwa

to rąbią kobiety albo miastowi. Jak drzewo mokre albo twarde, na przykład taka wiśnia, i na raz się nie uda, to nie wrywać siekiery, tylko podnieść razem z pieńkiem i pierdut, do góry nogami. Czasami też może tak być, że się wam trafią gacie, czyli taki pieńek rozgałęziony, i to jest takie cholerstwo, co się nie da od rąbnięcia, i pół dnia można stracić. Wtedy najlepiej klinem i wokół sypać piaseczku, o, takiego nawet, drobnego koniecznie, i czekać, aż samo zacznie trzeszczeć. Potem znowu klina i piaseczku, i znowu czekać, bo jak dobrze człowiek poczeka, to się wszystko, wszystko prędzej czy później rozleci.

Próbowali na zmianę. Siekiera wymykała się z rąk, a po każdym nieudanym ataku na pieńek trzonek posyłał w ramię prąd jak po uderzeniu łokciem w kłamkę. Pan Budzikiewicz poprawiał, ustawiał i tłumaczył, jakby zapomniał, że tak dużo ma innej roboty i że wcześniej tak bardzo mu się nie chciało. W końcu zostawił ich samych, żeby próbowali dalej, ale ostrożnie, pamiętajcie, jeden z daleka od drugiego.

Machali z całej siły, ale pieńki były niewzruszone. Szymek zdołał przepołować jeden, Budzik żadnego. Szybko im się znudziło. Wślizgnęli się w cień kurnika, oparli o ścianę. Szymek zaczął coś o szkole, ale Budzik mu przerwał.

– A połóż rękę – powiedział, odsuwając się od muru. – Walnę obok, a później się zamienimy i zobaczymy, kto trafił bliżej.

– Nie, bo mi utniesz palce.

– No dalej, połóż. Przecież ci nie utnę. Walnę obok. A potem ty.

Zastanowił się, spojrzął na niego.

– Dobra, jak nie chcesz to nie – prychnął Budzik. – Wiedziałem.

Szymek odkleił się od ściany i powoli wyszedł z cienia. Mrowiły go ręce. Łydki oblepione miał trocinami.

Kucnął przy pniu i powoli wyciągnął rękę przed siebie. Pod palcami czuł cienkie rowki po tysiącach uderzeń siekierą. Budzik stanął w rozkroku i uniósł siekierę nad głowę.

Szymek cofnął rękę, a ostrze wylądowało w miejscu, gdzie trzymał palce.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Budzik wyrwał ostrze z pnia i odniósł siekierę do garażu.

Deszcz meteorów miał spaść o północy. Spotkali się na łące Budzikiewiczów,

ciepło ubrani, z kocami. Tośka przyniosła herbatę w termosie, ojciec Wery butelkę koniaku.

Długo nie czekali – kilka minut po północy niebo przeciął biały błysk, zaraz po nim drugi. Leżeli na starych kołdrach, obok siebie: Tośka, Szymek, Budzik, Wera, tata Wery i Doktor, dalej rodzice Budzika, którzy przyszli w ostatniej chwili, i Julia Duszna, którą trzeba było namawiać przez pół dnia.

Pokazywali sobie rękoma kolejne smugi na czarnym, cętkowanym niebie. Gwiazdy sypały się nie wiadomo skąd. Jedna za drugą, po kilka naraz, coraz więcej. Nie dało się już śledzić ich osobno.

– Mój Boże! – zawołała Tośka, kiedy runęło ich całe mrowie, jakby ktoś chlusnął z olbrzymiego wiadra.

Myślała o tym, co czeka ją następnego dnia, i o czym dotąd bardzo starała się nie myśleć. Budzik myślał o tym, że kiedyś, może już niedługo, będzie bogaty i wszyscy będą o tym wiedzieć. Szymek myślał o Werze i o tym, czy ona też o nim myśli. Wera myślała o tym, że w którymś z rozbłysków pędzi być może pilot Pirx, o którym opowieści tata czytał jej przed snem. Doktor myślał o tym, jakim musi być skurwielem, skoro nie powiedział Hołowczycowi, że idzie z innymi oglądać meteory. Andrzej Budzikiewicz myślał o topoli, która już wkrótce być może zrujnuje mu dom, a może i jego samego. Julia Duszna patrzyła na ulewę światła nad głową i po raz pierwszy od bardzo dawna nie myślała o niczym.

Niebo na wschodzie powoli zaczęło się rozcieńczać. Pierwszy wstał Andrzej Budzikiewicz: ma dziś dużo roboty, to i zdrzemnąć by się wypadało. Poszli we trójkę, Budzik na końcu, zaspany, potykając się o własne nogi.

Szymek nie chciał iść, prosił, żeby jeszcze trochę. Pokazywał kolejne rozbłyski, jakby różniły się od tysięcy poprzednich. Jeszcze, jeszcze, babciu. W końcu zwinęli kołdry, koce i powoli ruszyli w stronę domu. Przebijając się przez to chłodne, bladociemne coś, co nie było już nocą, ale dniem też jeszcze nie, zatrzymał się i pomachał Werze. Wera odmachała.

Ostatnia na łące została Julia Duszna. Gwiazdy coraz rzadziej przepływały nad jej głową. Świat dookoła nabierał konturów.

Po raz pierwszy od lat robiła o tej porze coś innego. Po raz pierwszy od lat nie stała we śnie przed kościołem, trochę podekscytowana, trochę przerażona, przede wszystkim szczęśliwa. Cała w nerwach. Nie wygładzała sukienki na

brzuchu i nie czekała na mężczyznę, który...

Odepchnęła to od siebie. Zamknęła oczy i leżała pod niebem, które też było dziś inne niż zwykle.

Kiedy ostatnie widoczne z Ziemi meteoroidy mknęły nad nią z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na sekundę, Julia Duszna, niezamężna, bezdzietna i od dwudziestu ośmiu lat prawie martwa, oparła się o drzewo i wzięła głęboki oddech. Miała wrażenie, że oddycha po raz pierwszy w życiu.

Następnego dnia po deszczu meteorów Tośka siedziała na miękkim krześle i próbowała być Toską trochę mniej. Miała ochotę, żeby ją ktoś przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Miała ochotę choć przez kilka minut nie panować nad tym wszystkim, nad czym tak bardzo zawsze panowała. Po raz pierwszy od dawna miała ochotę płakać.

Ale nie. Nie będzie ani mniej, ani bardziej sobą. Będzie tylko sobą, tylko i aż. Tyle razy tu już siedziała. Najpierw uspokoić oddech. Wziąć się w garść, nie marudzić. Uspokoiła oddech, drżące ręce trzymała mocno na chłodnych podłokietnikach.

Wysłucha, wyjdzie i będzie po wszystkim.

Okno gabinetu wychodziło na park. Od przeszklonej szafki bił silny zapach zamkniętych w niej lekarstw. Tośka pamiętała tamten dzień, kiedy podłoga zaczęła wymykać jej się spod stóp. Nie miała pojęcia, dlaczego uderzyło ją to właśnie wtedy. Siedząc na tym samym krześle, na którym siedziała teraz, zrozumiała, że jest stara i schorowana i że nigdy już nie będzie z nią całkiem dobrze. Lekarz usiłował wtedy delikatnie powiedzieć jej o rzeczach, o których nie da się mówić delikatnie. Słuchała go, powoli sobie uświadamiając, że wszystko już teraz będzie coraz gorzej: pamięć, biodro, wzrok, kręgosłup, samopoczucie, pęcherz. Wróciła wtedy do domu i próbowała wyobrazić sobie życie ze świadomością, że już zawsze, w każdej minucie każdego dnia, będzie ją coś boleć.

– Panie Piotrze, gdybym ja była młodsza... – wzdychała czasem teatralnie, żeby nie dać po sobie poznać, jak trudne są dla niej te wizyty.

Doktor Rogoża powtarzał, że tak silnego organizmu wszyscy powinni jej zazdrościć, że dobrze reaguje na leki, że głowa do góry. Teraz też: wyniki

wprawdzie trochę gorsze, ale nic, czym by się należało poważnie niepokoić, natomiast wydaje się, że... Dalej nie słuchała. Kiedy skończył, złożyła kartkę z wynikami na czworo i pożegnała się stwierdzeniem, że już się nie może doczekać kolejnego spotkania.

Zawsze po wizycie u Rogoży okrążała spacerem cały park, zadowolona, że ma to już z głowy. Teraz też: minęła szpaler najwyższych drzew i kolorowy plac zabaw, przysiadła na jednej z ławek. Starła się nie myśleć o niczym, ale nie da się nie myśleć o niczym, myślała więc o dziadku; on pierwszy jej w takich sytuacjach przychodził do głowy.

Był najsilniejszym człowiekiem w Chojnach i w całej okolicy, tak mówili. Pamiętała go słabo. Zmarł, kiedy miała pięć lat. Nie wyglądał na silnego: chudy, zapadnięty, z oczami jak ryba. Najsilniejszy człowiek w okolicy ostatnie miesiące życia spędził na leżąc, otwierając szeroko usta i robiąc pod siebie. Kilka tygodni po tamtej wizycie u doktora Rogoży Tośka uznała, że jakkolwiek, byle nie tak. Pistolet załatwił jej pan Jurek z Naturki, którego wcale długo nie musiała prosić. Podał cenę i czas oczekiwania. Przywiózł, jakby to było jedno z tych nowoczesnych urządzeń do karmienia przepiórek.

Trzymała ten pistolet w blaszanym pudełku po kawie i raz w roku zabierała do lasu, żeby sprawdzić, czy działa.

Działał.

Wspominając dziadka, Tośka często myślała o tym, jak ważne w życiu jest móc umrzeć wtedy, kiedy się chce, i dziwiła się, że prawie zawsze ludzie umierają dopiero wtedy, kiedy naprawdę trzeba. Ona sama dawno już wszystko obmyśliła. Wiedziała, w co się ubierze i pod którym drzewem usiądzie w swoim sadzie. Znajac kształt i ciężar kuli, która jej przebije głowę, czuła się bezpiecznie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN LAT WCZEŚNIEJ

Przez pierwsze kilka dni ręka bolała, jak jeszcze nigdy nic: raz pulsująco, raz równomiernie, czasem do nadgarstka, a czasem po bark. Tośka była przekonana, że jeśli zaraz nie przestanie, ona sama rozleci się na kawałki, i głośno zapewniała o tym mamę. Po dwóch tygodniach dawało się już wytrzymać, po miesiącu ból zaczął zanikać zupełnie.

Brak kawałka siebie Tośka najdotkliwiej odczuwała podczas noszenia wiader z wodą: wydawało jej się, że te dwa niepozorne, najmniejsze palce mniej ważnej dłoni były czymś niezbędnym, bez czego nie będzie umiała się obejść. Poza noszeniem wiader wszystko wyglądało jednak normalnie i z czasem coraz rzadziej przyglądała się nierówno zarośniętym wypustkom. Niekiedy zastanawiała się tylko, gdzie właściwie są teraz jej palce i jak wyglądają. Czy są ciepłe? Chyba się bez niej nie ruszają? Pytała mamę, ale ta za każdym razem mówiła coś innego.

Poza utratą palców wojna była strasznie nudna. Wszystko stało się ciche i nieruchome, nie wolno było nigdzie chodzić, najczęściej Tośka siedziała więc w domu i bawiła się lalką, która zdążyła już doszczętnie jej obrzydnąć. Mama była albo zmęczona, albo wystraszona. Nawet kiedy rozmawiała w kuchni z panem Drewsem, kiedy zajmowała się Michasiem albo kiedy oprawiała królika, których mieli nagle całkiem dużo, robiła to tak, jakby za ścianą ktoś siedział i podsłuchiwał. Ożywiała się wyłącznie wtedy, kiedy dostawała list. Czytała go potajemnie i nic na ten temat nie mówiła, jakby dla Tośki nie było wcale oczywiste, od kogo te wszystkie listy i po co.

Ponieważ lalka straciła swój powab, a zabawy poza domem nie wchodziły w rachubę, najprostszym sposobem zabijania nudy było rozmyślanie o Niewidzialnym Człowieku i wyobrażanie sobie, jak prosi ją o rękę. Na podwórku, w domu, na polu albo w sadzie. Na stojąco, na kolanach, w tańcu, a nawet w przestworzach. Repertuar wydawał się niewyczerpany i Tośka coraz częściej głowiła się nad tym, w jaki sposób Niewidzialny Człowiek poprosi ją o rękę naprawdę.

Niewidzialny Człowiek, który właściwie nie był jeszcze niewidzialny, nie myślał o Toście. Od kilku tygodni nie myślał o nikim. W głowie miał tylko rewir 77 w Chełmnie, gdzie działo się coś, co się nie powinno dziać.

Zaczął się od polecenia leśniczego rewirowego z Ladorudza, który zażądał drzewa opałowego. Powiedział, że to na potrzeby jakiegoś komanda, nic więcej. Początkowo Karol był przekonany, że ma to związek z wizytą Göringa, od dawna mówiło się, że marszałek ma przyjechać na polowanie z nagonką, musiało więc chodzić o jego ochronę. Drzewo wydali.

Parę tygodni później, wracając z Chełmna, musiał ominąć drewniane skrzynie, którymi zagrodzono drogę. W rowie, niczym bezradny olbrzymi chrząszcz, leżał zabudowany samochód ciężarowy, a drugi, doczepiony do niego od przodu, pluł dymem z rury wydechowej, próbując wyciągnąć go na drogę.

Wysoki Niemiec o twarzy dobrotliwego wujka wylegitymował Karola i długo patrzył mu w oczy. Pytał, dociekał, zagadywał. Złagodniał dopiero na wieść, że rozmawia z siostrzeńcem Drewsa, którego skądś kojarzył. Oddał dokumenty, poklepał Karola po plecach, jakby chciał mu wytrząść płuca, i z porozumiewawczym uśmiechem oświadczył:

– Drzewa będą wam tu wkrótce lepiej rosły.

Po przejechaniu kilkuset metrów Karol odwrócił się, ale wysoki mężczyzna zdążył zniknąć w lesie.

Zdaniem Tośki najmniej nudne było karmienie królików.

Króliki też musiały się ukrywać i były w tym bardzo dobre, bo nawet Tośka często nie mogła ich znaleźć. Mieszkały w wielkiej stercie gałęzi za oborą, podobnej do tych, które znajdowały się teraz przy większości opuszczonych gospodarstw. Rzadko udawało się zobaczyć któregoś w całości, zazwyczaj pokazywały zaledwie fragment siebie: łapkę, ogon, ucho. W kłębowisku gałęzi Tośka dostrzegała czasami ciemne, lśniące oko, które zawsze spoglądało na nią jakby trochę obrażone.

Od kilku dni nie nosiła już opatrunku i kiedy zerkała na okaleczoną dłoń, wydawało jej się, że patrzy na coś niedokończonego. Czasami nabierała pewności, że kiedy spojrzy następnym razem, kikuty będą już odrobinę

dłuższe, aż w końcu palce odrosną zupełnie. Na razie nie odrastały, ale w karmieniu królików to nie przeszkadzało.

Zresztą, tym razem miała szczęście. Tym razem zobaczyła całego królika. Był wielki, szary, od uszu po ogon nieruchomy. Stał przy ścianie obory i patrzył na nią, najwyraźniej szykując się do jakiegoś ryzykownego skoku w stronę gałęzi. I rzeczywiście skoczył: zmienił się w burą smugę i już go nie było. Tośka rozsypała koniczynę z lucerną, tak żeby wśród trawy nie rzucała się w oczy, usiadła na ziemi i próbowała zatrzymać w głowie obraz królika, który też powoli zaczął zamieniać się w burą smugę.

Dzień okazał się wyjątkowy nie tylko z powodu całego królika. Wieczorem do mamy przyszedł pan Drews, a co ważniejsze, przyszedł z Niewidzialnym Człowiekiem. Niestety, obaj byli dziwnie markotni i obaj nie zwracali na Tośkę większej uwagi, choć na przykład z Michasiem pan Drews przez chwilę tak jakby się bawił.

Niewidzialny Człowiek o dziwo rzeczywiście miał na imię Karol, jak jakiś zwyczajny Karol, a na dodatek prawie w ogóle się nie odzywał. Siedział z rękoma splecionymi na stole i patrzył to w kredens, to za okno.

Przyniesiony alkohol sprawiał, że markotność powoli uchodziła z pana Drewsa i wsiąkała w Karola – jakby ten nie był już dostatecznie ponury. Kiedy w butelce pozostała połowa zawartości, Drews po raz kolejny zaczął opowiadać historię, którą Tośka słyszała już trzy razy, a mama pewnie z dziesięć.

A więc raz jeszcze: w domu Tośki zamieszkali państwo Niemcy, którzy nazywali się Szyler. Albo Sziler. Mieli małego synka i córeczkę, takich normalnych, jak nie Niemcy. W innych domach pojawiły się inne rodziny i każda miała na nazwisko tak samo głupekowato. Drews myślał, że będzie jak w innych wioskach, o których słyszał, ale nie było. Państwo Miler, którzy zamieszkali w domu Ochyrów, przyszli raz do niego i zapytali, w jakich okolicznościach spłonęła stodoła na ich podwórku. Pan Drews chętnie opowiedział im o pożarze i o ludziach, którzy tam zginęli, tyle że w jego historii ludzi było z sześćdziesięciu, a paliło się dwa dni. Niedługo po tej wizycie państwo Miler spakowali się na wóz i odjechali, nie żegnając się z nikim. Po nich przyszła kolej na państwa Koch, a potem uciekli wszyscy pozostali.

– Straszny nocami – tłumaczył Drews, rozlewając do kubków resztę napoju. – Słyszeli wycie, szepty za oknem i krzyki palonych.

Tośka słyszała o tym już w górach, kiedy mama czytała im fragmenty

wyczekiwanych listów od sąsiada, ale chciała usłyszeć więcej, najlepiej wszystko. Porzuciła przyjemne miejsce w rogu pomieszczenia, skąd mogła obserwować profil Niewidzialnego Człowieka. Stała bliżej, niby czymś zajęta, niby odwrócona.

Nikt nic nie mówił, w końcu znowu odezwał się Drews.

– Ale się bali. – I ciszej, jakby do siebie: – Dobrze im tak, skurwysynom...

Znowu milczenie. Tośka obróciła głowę i patrzyła to na mamę, to na Niewidzialnego Człowieka, który wciąż uparcie wydawał się nikogo nie dostrzegać. Na zewnątrz drzewa zaczynały się roztopiać na ciemnym niebie, ale lampy nikt nie zapalił.

– A co tam tak straszyc? – zapytała Tośka.

Drews, którego twarz przybrała kolor rabarbaru, spojrział na nią zza stołu, wyraźnie ucieszony.

– Jak to co? – Uśmiechnął się. – Ja straszycem.

W sobotę nadleśniczy Radke przysłał do Karola swojego trzynastoletniego syna, który przyniósł wiadomość, że Karol ma już do pracy nie wracać. Ani dzisiaj, ani w ogóle. Chłopak mówił obojętnym głosem, pewnie wyuczył się wszystkiego na pamięć. Odrobinę seplenił, jakby miał coś w ustach. Na koniec rozejrzał się jeszcze po gospodarstwie i bez słowa wrócił na drogę.

Karol odczekał godzinę, wsiadł na rower, zsiadł z roweru, odetchnął raz, drugi, trzeci, wsiadł znowu i ruszył do Chełmna. Po drodze minęło go kilka samochodów, z jednego padły przekleństwa. Karol nie znał niemieckiego, ale to, że ktoś cię nazywa pierdoloną świnią, da się czasem poznać i bez tego. W końcu zjechał między drzewa i resztę odległości pokonał lasem, raz po raz zdzierając z twarzy lepkie pajęczyny. Ukryty wśród piętnastoletnich świerków, obserwował rewir 77, gdzie wszystko wyglądało już inaczej. Nie mógł podejść zbyt blisko: wszędzie straż. Przy drodze stały samochody, żołnierze siedzieli w rowie i palili. Jeden wymiotował pod drzewem, kilku się z niego śmiało. Pozostali mieli nieruchome twarze, jakby zmęczenie odebrało im siły na cokolwiek. Choć las pełen był ludzi i maszyn, panowała niemal zupełna cisza. Karol ruszył powoli na zachód, oddalając się od drogi. Zakrywał usta dłonią, żeby nie wdychać słodko-cierpkiego zapachu, który wisiał w powietrzu. Czuł tę woń z daleka, teraz nie dało się już jej nie czuć: wciskała się przez usta i nos, osiadała w płucach, wierciła w pustym żołądku.

Kiedy dotarł w okolice pałacu stojącego na skraju Chełmna, położył się w krzakach i przez pierwsze kilka minut walczył z coraz silniejszymi mdłościami. Pałac był teraz ogrodzony drewnianym płotem, a przy bramie ustawiono posterunki żandarmerii. Tu też było dziwnie cicho.

Obserwował, jak wysoki samochód ciężarowy podjeżdża do bramy, jak brama otwiera się i zaraz zamyka, jak jeden z żandarmów rzuca drugiemu paczkę papierosów, a drugi ją łapie. Obaj mieli najwyżej po dwadzieścia lat. Niedługo po tym, jak wóz zniknął w pałacowym podworcu, zza bramy wyjechał inny i skierował się w przeciwną stronę. W stronę rewiru 77.

Karol leżał w trawie jeszcze przez kilka godzin, obserwując kolejne samochody i znudzonych żandarmów. Nie widział tego, co przyjeżdżało do pałacu w szczelnie zamkniętych samochodach, ani tego, co wywożono z niego do lasu. Nie widział, co się dzieje za drewnianym ogrodzeniem. Powtarzał w myślach słowa, które usłyszał od Niemca: „Drzewa będą wam tu wkrótce lepiej rosły”.

Na zachodzie niebo zaczęło już nasiąkać atramentem, więc podniósł się i otrzepał spodnie z liści. Jechał szybko, uważając, by się nie zbliżyć do rewiru 77, w którym jeszcze do niedawna spędzał większość dnia.

Nagle przystanął, zawrócił rower i skierował się do kościoła stojącego nieopodal pałacu.

Znał tamtejszego księdza, powie mu o wszystkim, zapyta, może to się da w jakiś sposób wytłumaczyć. Oparł rower o drzewo i pobiegł. Drzwi kościoła były otwarte, lecz w środku ciemno, nikogo. Zwolnił, zatrzymał się na schodach. Pomiedzy ławkami wznosiły się stosy używanych ubrań. Spodnie, koszule, buty – szczątki butów.

Stał tak przez kilka minut, dwudziestosiemioletni Karol Lipiec, na progu zawalonego szmatami kościoła, i próbował przekonać samego siebie, że to wszystko nie tak, że to nieprawda. Wziął głęboki oddech i zamknął oczy, a kiedy otworzył je znowu, świat wyglądał tak samo jak wcześniej.

Wsiadł na rower i okrężną drogą pojechał do domu. Niebo ciemniało coraz szybciej, a uda paliły z wysiłku. Czuł, że cały przesiąkł słodkavo-cierpkim zapachem z lasu, że nigdy już się go nie pozbędzie. Zanim wjechał do wsi, zatrzymał się, rzucił rowerem o ziemię i kopał go tak długo, aż prawie stracił oddech. Resztę drogi pokonał pieszo, kulejąc i prowadząc skrzypiący rower obok siebie. Do Chełmna nigdy nie wrócił.

Sabina Stawna żyła od listu do listu. Najpierw ją złościły, później była ich ciekawa, jeszcze później zaczęła na nie czekać. Pierwszy był krótki, bełkotliwy, same Kocham, tęsknię, życie, nadzieja, mętnik, serce, takie tam. Dopiero w drugim Józek Kłoda zaczął pisać z sensem. Że silnie przeżył rozstanie, że wie, jakie to niedorzeczne, że nie powinien być tak szybko się nią zauroczyć, ale że się zauroczył. Proszków na takie rzeczy nie dają, więc będzie pisał listy.

Pisał regularnie. Wiadomości były coraz dłuższe, coraz swobodniejsze, coraz częściej się mylił i coraz rzadziej używał słów, których znaczenia najwyraźniej nie znał. Spomiędzy zapisanych wersów wyłaniał się ciekawszy, niż zapamiętała go prawdziwego: może mniej się wstydził, może dłużej myślał nad każdym zdaniem, a może jeszcze coś innego. Odpowiadała najczęściej jeszcze tego samego dnia, a słowa same przesiąkały z niej na kartkę, tak jak teraz. Odłożyła pióro i zdziwiła się, że tak szybko to wszystko napisała. Siedem stron, bez chwili na namysł.

Usłyszała pukanie. Włożyła list do szuflady i wyjrzała za okno: Drews. Wyszła przed dom, zamknęła za sobą drzwi. Drews siedział na progu i żuł ustnik fajki, którą sam sobie wystrugał i która ciągle się zapychała. Sabina usiadła obok niego, wyciągając nogi. Słodkawy zapach, który od kilku dni przywiewało z południa, gryzł w gardło.

– Aż do domu włazi – powiedziała.

Drews spróbował się zaciągnąć, odłożył fajkę, westchnął. Siedział nieruchomy i gapił się przed siebie.

– To Żydów palą.

– Jak to... palą?

– Nie wiem jak to – odparł, nie patrząc na nią. – Ale palą.

W końcu przyzwyczaili się i do tego. Zazwyczaj nic nie czuli, tylko kiedy mocno wiało od południa, nad wsią przetaczała się fala dławiącego zapachu, którego nie sposób było do czegokolwiek porównać. Ni to słodki, ni kwaśny, coś pomiędzy. Podobno bliżej Chełmna, w Przybyłowie i Ladorudzu, ludzie wymiotowali podczas pracy w polu. Drews co jakiś czas przynosił makabryczne opowieści o tym, co się dzieje w lasach. Sabina w większość z nich próbowała nie wierzyć, z czasem w ogóle przestała na ten zapach zwracać uwagę.

W ciągu następnych czterech lat Tośka poznała głód, zimno, smak gotowanego królika i nudę tak wielką, że wydawało jej się, jakby na całym świecie nie istniało nic więcej. Wojna to zaglądała do wsi, to trzymała się z daleka, przychodząc wyłącznie w postaci opowieści i plotek. Czasami samoloty przelatywały nisko nad dachami domów, czasami trzeba było przez kilka dni mieszkać w pustym kurniku. Bombardowania się skończyły. Było spokojnie, smutno i nijak. Rana na dłoni od dawna była tylko zgrubiałym kawałkiem tkanki i Tośka czasami już nie pamiętała, jak to było mieć więcej niż osiem palców.

W ciągu następnych czterech lat Sabina trzy razy się przeziębiała, osiem razy się śmiała, raz marzyła, żeby umrzeć, i dostała trzydzieści dziewięć listów od Józka Kłody. Sama napisała ich też trzydzieści dziewięć, niektóre z nich zajmowały ponad dziesięć stron. Opowiadała w nich o wszystkim, co działo się w jej życiu, i o wszystkim, co się w nim nie działo, bo tego było znacznie więcej. Wymieniali się z Józkiem coraz to bardziej szczegółowymi opisami tych niewielu chwil, które spędzili wspólnie w górach, bo bali się, że nuda, wojna i czas kiedyś im je zabiorą.

Pewnego dnia po prostu było po wszystkim. Pan Drows i kilka osób, które też ukrywały się w Chojnach, przyszli wieczorem i upili się do spodu. Mama też. Śpiewali, tańczyli, mama płakała. Potem powoli świat znowu stał się kolorowy. Można było wychodzić na dwór, można było biegać, bawić się z Michasiem, rozrabiać. Zaczęły się powroty sąsiadów, łązy, opowieści o tym kto, gdzie i kiedy.

Najważniejsze: zaczęła się też szkoła. Na pójście do drugiej klasy Tośka czekała sześć lat, ale oto doczekała się, oto nowa pani nauczycielka przyszła do mamy powiedzieć co i jak. Niewiele tego było: garstka dzieci miała się uczyć w jednym z domów, do których nikt nie wrócił. Nadrabiać trzeba było po kilka klas równocześnie, Tośka do południa miała więc uczyć się do drugiej klasy, a po południu do trzeciej. Gienia, choć dwa lata od niej młodsza, chodziła na te same lekcje, dodatkowo robiąc jeszcze klasę

pierwszą. Tośka nie bardzo to rozumiała, ale do tej pory zdążyła się już przekonać, że nie wszystko da się zrozumieć.

W szkole było jeszcze lepiej niż wcześniej. Nowa pani, która nazywała się bardzo śmiesznie, bo Żuk, była wesoła, знаła dużo historii, umiała też śpiewać. Tośka postanowiła, że kiedy dorośnie, będzie taka jak ona – będzie uczyć dzieci, będzie się uśmiechać i śpiewać. Wieczorami wodziła palcem po literach albo wymyślała z Michasiem rozmaite zabawy na powietrzu, w których najważniejsze było właśnie wymyślanie – kiedy jakąś grę opracowała wystarczająco dokładnie, porzucała ją i zajmowała się przygotowaniem kolejnej.

Do piątej klasy chodziła już w Mieście. Najpierw nie mogła się doczekać, potem, przerażona, prosiła mamę, żeby pozwoliła jej nie iść. Zostanie, w domu, w Chojnach, tu jest jej najlepiej. Mama nie chciała o tym słyszeć: tyleś czasu siedziała tu przez Niemców, to teraz będziesz żyć, jak się tylko da. Pójdiesz do szkoły i do Miasta.

W Mieście wszystko było inne, wszystkiego było więcej, za dużo. Tyle ludzi... Po co? Mówiła dzień dobry każdemu, kogo mijala na ulicy. Niektórzy w ogóle nie odpowiadali, wtedy mówiła drugi raz. Szkoła była olbrzymia i straszna: trzeba było uważać, żeby się nie zgubić. Przez cały pierwszy tydzień nauki płakała i zapewniała mamę, że bardzo wiele już umie, że więcej jej nie potrzeba. Mama opędzała się od niej jak od komara i w kółko powtarzała, żeby nie narzekać.

Na domiar złego okazało się, że Tośka bardzo ładnie śpiewa. Ksiądz, który uczył religii, kazał jej dwa razy w tygodniu, po szkole, przychodzić do kościoła farnego na próby chóru Lutnia, który jego zdaniem śpiewał „dojmująco wspaniale”. Na uwagę Tośki, że kościół jest strasznie daleko, pogłaskał ją po głowie i powiedział:

– No, no.

Najczęściej mówił właśnie tyle. „No, no”, jeśli poszło dobrze, „no, no”, jeśli gorzej, „no, no” jako przerywnik w rozmowie i jako pożegnanie.

Ksiądz Nono wróżył jej sukcesy, koleżanki z klasy wróżyły staropanieństwo. Większość z nich zaczynała już się spotykać z chłopakami, a Tośka nic, tylko te chóry, śpiewanie w domu, nuty-sruty.

Mama w tym czasie spała po kilka godzin na dobę, przez resztę czasu

kurnik, pole, ogród, sprzątanie, gotowanie, wieczorami listy. Zapalała lampę naftową i pochylała się nad kartką w kuli żółtego światła, odcięta ciemnością od mebli, ścian, sąsiadów, Chojen, Miasta. Pisała ciągiem, bez namysłu, jakby najważniejsze było samo pisanie, a nie to, co pisze.

Tośka lubiła ją wtedy obserwować. Siadała przy piecu oparta o ścianę z podkurczonymi nogami, z rękoma na kolanach i brodą na rękach. Latem mur oddawał jej trochę chłodu, zimą piec buchał ścianą ciepła. Mama nic wtedy nie mówiła, o nic nie pytała, nawet nie podnosiła wzroku. Tośka zastanawiała się, czy któregoś razu już tak jej nie zostanie. Czasami zasypiała tam, obok pieca, i budziła się w łóżku, otulona kołdrą, z Michasiem wczepionym w nią jak rzep. Nigdy później w życiu nie czuła się już tak bezpiecznie jak podczas tamtych wieczorów, w ciszy i w ciemności, wpatrzona w rozświetloną mamę.

Wszędzie dookoła działo się coraz więcej ciekawych i ważnych rzeczy: szkoła, Miasto, chłopcy, chór, książki i chodzenie na grób taty. W tym czasie Tośka prawie całkiem zapomniała o Niewidzialnym Człowieku.

Karol Lipiec też powoli o sobie zapominał. W głowie miał wyłącznie wielkie, szczelnie zamknięte samochody, zmęczonych żołnierzy, karczowisko i stertę ubrań pośrodku kościoła. Mieszkał w pustej oborze Drewsa, nie chciał mieszkać nigdzie indziej. Drewsowie błagali, robili awantury, tłumaczyli: Karol, ale co o nas ludzie będą myśleć? Karola to nie obchodziło, nie obchodziło go nic oprócz zamkniętych samochodów, zmęczonych żołnierzy, karczowiska oraz sterty ubrań.

Czasami dziwiło go to wszystko, to znikanie i ta obora, bo na własne oczy niczego przecież nie widział. Zastanawiał się, czy gdyby zobaczył wtedy więcej, cokolwiek by to zmieniło.

Jadł to, co przynosił mu Drews i co sam zerwał w ogrodzie. Niewiele. Chudł, topniał w fałdach starych ubrań. Spał również niewiele. Nocami budził się z bólem żołądka, w drgawkach, spocony. Skręcał się, rzucał z boku na bok. Otwierał usta, chwycił głowę w dłonie. Najbardziej na świecie bał się zasnąć i najbardziej na świecie chciał spać. Chciał zapaść się w ciepłą nicość bez koszmarów, bez aut, żołnierzy, drzew i ubrań w pustym kościele. Ale za każdym razem, kiedy zmęczenie brało nad nim górę, wpadał wciąż w to samo piekło, a rano budził się jeszcze bardziej zmęczony. Dwa razy próbował się wieszać. Zabrakło mu odwagi.

Czas przyspieszał, pędził.

Po latach Tośka nie potrafiła sobie przypomnieć, co wtedy robiła, jak się wtedy czuła, co myślała – nic. Pamiętała tylko pojedyncze obrazki, jakby tamten czas nie biegł wcale minuta po minucie, ale pojawiał się w pojedynczych zdjęciach.

Zdjęcie: ona i Michał na pierwszych lodach w Mieście, umorusani, przekonani, że życie już zawsze będzie smakować właśnie tak. Zdjęcie: ona i dziewczyny w wagonie kolejki, paru chłopaków też, wszyscy opaleni, uśmiechnięci. W miejscu, gdzie tory krzyżowały się z drogą, maszynista zwalniał specjalnie dla nich i można było wskakiwać, żeby do szkoły nie iść na piechotę. Jechali kolejką wśród pól i byli władcami świata. Zdjęcie: leży na zamrożonym stawie przy ulicy Sienkiewicza, z bolącym tyłkiem, rozchichotana, a twarze Michała i innych wirują wokół niej. Łyżwy chrzęszczą o lód, szalik gryzie w szyję, na wystawiony język spadają płatki śniegu. Zdjęcie: dwaj Rosjanie mieszkający przez jakiś czas po wojnie w gospodarstwie Ochyrów myją się na podwórku, mimo że jest listopad, a na widok Tośki prężą wężę muskuły. Zdjęcie: jeden z nich leży na Toście w rozkopanej pościeli i opiera czoło o jej czoło, a ona przyciska go do siebie z całej siły, jakby się bała, że i to kiedyś zapomni.

Po ukończeniu szkoły nie miała już nic, co odróżniałoby ją od mamy i innych mieszkańców Chojen: wstawiała o piątej, szła do zwierząt, szła w pole, stała przy rozgrzanej kuchni. Zanim się obejrzała, skończyła dwadzieścia sześć lat. Miała długie nogi, drobne piersi i ciemną karnację. Zdziwiła się, jak wiele z tych rzeczy, które matka powtarzała jej przez całe życie, nagle nabrało sensu. Wszystkie te przestrogi, prośby, porzekadła. Pomyślała, że być może kiedyś sama stanie się taką Sabiną Stawną, złożoną prawie wyłącznie z pracy, posiłków i wspomnień.

Na wiosnę zatrudnili ją w piekarni w Grzegorzewie, załatwił to jakiś dawny znajomy ojca, który na wojnie stracił żonę i dwójkę dzieci. Tośka chodziła tam pieszo i pieszo wracała wśród pól. Wieczorami czytała albo zmęczona od razu kładła się spać. Matka wróżyła jej, że zostanie starą panną. Wszyscy inni we wsi też jej tak wróżyli.

Najważniejsze było, że czas nareszcie zwolnił. Był rok 1957, już po procesie oświęcimskim, po reformie walutowej, po egzekucji Eleganckiego Mordercy z Krakowa, po budowie Pałacu Kultury i po Poznańskim Czerwcu.

Tośka o zewnętrznym świecie słyszała od nauczycieli, od koleżanek z klasy, od listonosza i od Michała, pożerającego artykuły z gazet, ale zewnętrzny świat niewiele ją obchodził – miała swój. W jej świecie wszystko było uporządkowane: poranki i wieczory, praca w piekarni i w polu, czytanie, sprzątanie, mama oraz brat.

I nagle, pewnego dnia, cały ten porządek legł w gruzach. Była sobota, już po pracy, jeszcze przed czytaniem. Niosąc do domu wiadro z wodą ze studni, Tośka po raz pierwszy od lat zobaczyła Niewidzialnego Człowieka.

Wszystko znienacka wróciło: wrześniowa majówka, on wśród tańczących ludzi, on na rowerze, a jeszcze później ten drobny skrawek niego, który podczas wojny siedział u nich w kuchni i wkrótce zniknął zupełnie.

Teraz miał na sobie koszulę o niewiadomym kolorze i spodnie, które mocno związał w pasie sznurkiem. Z postrzępionego kołnierzyka wyrastała chuda szyja, pod skórą poruszały się ścięgna. Oczy wsiąknęły mu głębiej w twarz, nos jakby się wydłużył. Karola Lipca, którego pamiętała z majówki, pozostało w tym chudym człowieku niewiele, a jednak na tyle jeszcze dużo, że gdyby powiedział do niej teraz: „Skoczmy wspólnie z mostu”, poszłaby i skoczyła. On nie chciał jednak skakać z mostu. Wyglądał, jakby nie potrafił już chcieć czegokolwiek.

Pomachała do niego, uśmiechnęła się i stała tak, nieruchoma, z wiadrem u stóp. Uniósł rękę i pokiwał głową, jakby ten ruch w czymś go nagle upewnił.

A jednak zatańczyli. Nie od razu. Najpierw musiała wyrwać go na świat, tylko trochę, bo całego się nie dało. Wbrew prośbom matki odwiedzała go w tej cuchnącej oborze, mówiła, że nie wolno, że trzeba, że warto.

Karol niezmiennie odpowiadał, że ma to wszystko w dupie.

Tośka przynosiła mu bułki i drożdżówki, podsuwała pod nos: powąchaj, spróbuj, zobacz, jakie to pyszne. Zasypywała go kwiatami, które Michał zbierał na łąkach: popatrz, takie rzeczy są na świecie, a ty ciągle tu. Kazała mu żyć, a on któregoś razu spokojnym głosem powiedział, że przecież nie ma już życia.

Zacisnęła pięść i rąbnęła go w twarz. Zachwiało nim, wpadł na ścianę. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zrywała z niego ubranie, nie patrząc mu

w oczy. Zdjęła sukienkę i położyła się obok niego. Przez chmurę swoich włosów patrzyła, jak pochyla się nad nią, jak przyciska czoło do jej brzucha, jak sunie palcem wzdłuż jej śniadego ramienia, jak splata palce z jej palcami.

Następnego dnia Karol Lipiec wyjrzał na świat, a potem w niego wpełzł. Uderzyło go słońce, uderzyły kolory, zapach trawy. Chodził wokół obory, a od świeżego powietrza kręciło mu się w głowie. Wszystko było wielkie, jasne. Długo leżał na podwórku i patrzył na chmury.

Wybrał się do otwartego przy drodze sklepu Janusza Dusznego. Niekiedy można tam było coś kupić, ale częściej nie. Przyjść, porozmawiać – owszem. Przychodzili więc, rozmawiali. Przed sklepem ustawiono ławkę, to na niej Karol usiadł, zgrzany i oszołomiony. Wyciągnął nogi przed siebie i obserwował małą Julkę Duszną, która bawiła się w piasku, co jakiś czas wybuchając śmiechem. Po godzinie wrócił do obory i zasnął w miękkim barłogu.

Od tamtej pory stawał się coraz bardziej widzialny, coraz częściej chodził po wsi, coraz częściej można było zobaczyć, jak rozmawia z kimś pod sklepem, na drodze, na łące. Tośka spacerowała z nim po polach aż do Grzegorzewa albo siedziała w sadzie i śpiewała mu to, co zapamiętała z lekcji chóru. Z początku Karol prosił ją, żeby dała sobie z nim spokój, w końcu przestał, taka była uparta. Dostał pracę jako palacz w ciepłowni, ogolił się, kupił nowe ubranie, trochę przytył. Powtarzał sobie, że siedzeniem w oborze Drewsa nie ożywi tysięcy trupów zakopanych w lasach rewiru 77, a siebie z tych trupów nie wyleczy tym bardziej.

Jedynie Tośka wiedziała, jak to jest z nim naprawdę. Sny nigdy nie przestały go dręczyć. Niekiedy w stanie otępienia wyczekiwał nocy, a później zasypiał tylko po to, żeby wpaść prosto do kościoła pełnego starych ubrań.

Za trzecim razem mu się udało.

Drews, który go znalazł, opowiadał później, że jego kuzyn powiesił się dziwnie, na siedząco.

– Kilka centymetrów dłuższy sznurek i dotknąłby ziemi tym swoim cholernym dupskiem – powiedział, chrząkając.

Kiedy zabrano ciało, a sąsiedzi się rozeszli, Drews wyszedł za oborę. Tarł

twarz, przeklinał, kopał chwasty, na oślep ciskał kamieniami. Wrócił do domu i upił się do nieprzytomności. Do końca życia nie chciał rozmawiać o swoim kuzynie i o tym, jak go odcinał ze sznura. Zdjęcia pochował głęboko w szufladzie, oborę po paru latach zburzył.

Pogrzeb był skromny i cichy.

Tośka w ogóle nie poszła. Twierdziła, że źle się czuje, że coś ją łamie w kościach. Kiedy mama i Michał wlekli się za trumną do otworu w ziemi, ona leżała w łóżku z zamkniętymi oczami i usiłowała zatrzymać w pamięci postać Karola, tak jak piętnaście lat wcześniej próbowała zrobić to z królikiem. Karol jednak umykał jej, nie chciał dać się zatrzymać w nieruchomym obrazie. Wydawał się za każdym razem wyglądać inaczej, jakby nie był jeden, jakby było ich wielu, inny na każdą okazję. Tośka zastanawiała się, czy tego prawdziwego w ogóle kiedyś poznała. Dwa miesiące później dowiedziała się, że jest w ciąży.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

2002–2014

W ciągu kolejnych ośmiu lat Szymek poznał tabliczkę mnożenia, ból wrywanego zęba, przebieg bitwy pod Grunwaldem, smak piwa, nazwy planet Układu Słonecznego, odgłos łamanego nosa, strukturę zdania złożonego i kształt piersi Wery.

W tym czasie dwa razy był za granicą i trzy razy miał anginę. Raz spadł na rowerze ze schodów. Raz przepłynął żabką jezioro w Lipinach. Ubierał się nie najlepiej, uczył nie najgorzej, kiepsko grał w piłkę nożną. Kochał równocześnie Werę i inne dziewczyny. Inne dziewczyny krótko – przez miesiąc, czasem dwa – Werę przez cały czas, Wera była przecież Werą. Nie była po prostu ładna ani po prostu brzydka: bywała śliczna, bywała taka sobie. Raz dziwnie odpychająca, innym razem znów raczej atrakcyjna, nie dało się przewidzieć, jaka będzie przy kolejnym spotkaniu.

Mimo że ją całował i widział półnagą, wydawała się jeszcze bardziej niedostępna niż wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją na drodze w Chojnach, z kluczami w jednej ręce i plikiem ulotek w drugiej. Kilkakrotnie prosił ją o chodzenie, zawsze odmawiała. Potrafiła się z nim umówić i po pięciu minutach pójść nagle do domu. Innym razem przychodziła niezapowiedziana, siedziała przez kilka godzin.

Jeden jedyny raz pozwoliła, żeby na oczach innych złapał ją za rękę – podczas wycieczki szkolnej w pierwszej klasie gimnazjum, w tym czasie, kiedy babci Tośce odbiło.

Dzień wcześniej była normalna, dzień później też – to znaczy tak normalna, jak mogła być babcia Tośka. Czyli średnio. W każdym razie nic nie zapowiadało takiej reakcji, kiedy po kolacji dla formalności poinformował ją, że za tydzień jedzie na wycieczkę szkolną do Chełmna. Zresztą, co to za wycieczka: dziesięć kilometrów od szkoły, łącznie może ze dwie godziny zejdzie, nie ma o czym mówić.

Najpierw w ogóle się nie odezwała. Okulary i gazetę z programem odłożyła na stolik, zamknęła oczy, ścisnęła nasadę nosa palcami i siedziała tak, oddychając głęboko.

– Nie pojedziesz – stwierdziła w końcu i wróciła do lektury programu.

Był już w połowie schodów. Poczuł, że robi mu się pusto w głowie. Nie pojedzie? Jak to nie pojedzie?

– Jak to nie pojedę?

– Normalnie. Nie pojedziesz.

Zszedł z powrotem.

– Ale to jest normalna wycieczka do Chełmna.

– A czy ja mówię, że to nie jest normalna wycieczka do Chełmna?

Usiadł w fotelu naprzeciwko, skrzyżował ręce na piersi, wzrokiem uciekł w lewo.

– A mogę wiedzieć czemu?

– Bo ci nie pozwalam.

– Aha.

Pobiegł na górę, zamierzał trzasnąć drzwiami, ale nie trzasnął. Zamknął delikatnie, potem kilka razy walnął pięścią w poduszkę. Wtedy usłyszał, jak babcia krzyczy z dołu:

– Nie pojedziesz do żadnego Chełmna, rozumiano? Nie będziesz oglądał tych... tego! To nie jest do oglądania!

Nie odpowiedział jej. Położył się w ciuchach do łóżka i zasnął. Zębów nie umył na złość. A na wycieczkę pojechał i tak.

Była to najnudniejsza wycieczka ze wszystkich, na które w ciągu tych ośmiu lat wysłano ich ze szkoły. Las, w lesie beton, na nim olbrzymi pomnik w kształcie kowadła, na pomniku jakiś napis. Stojąc razem z innymi, Szymek próbował nawet to czytać. „Wzięto nas od starca do niemowlęcia między miastem Koło a Dąbie. Wzięto nas do lasu i tam nas gazowano i rozstrzeliwano i palili...” Nie no, nie mógł. Przeszł z nogi na nogę, wzdychał, pocił się, najchętniej by gdzieś usiadł.

Chodzili zmarnowani wokół tego pomnikokowadła, słońce piekło bez litości, wychowawczynie zanudzała o wojnie i paleniu Żydów, a Szymek półgłosem tłumaczył Werze, dlaczego nie podoba mu się *Sandman*, o którym wszyscy mówią, że taki jest super, i dlaczego dużo lepsi są jego zdaniem trzytomowi *Straznicy Moore'a*. Nagle Wera wsunęła mu dłoń w dłoń. Szła dalej, nie patrząc na niego. On też na nią nie patrzył, miał tylko nadzieję, że się zbyt nie czerwieni, bo że trochę się czerwieni, to był pewien. Zastanawiał się, kto patrzy. Daniel? Aśka? Budzik? Miał nadzieję, że patrzą wszyscy i że

wszyscy zapamiętają, że on, Szymon Stawny, trzymał Werę Nagórną za rękę.

Wera najwyraźniej nie miała zdania na temat *Sandmana* i *Strażników*, Szymkowi komiksy też nagle przestały się wydawać ważną częścią rzeczywistości, ale o naprawdę ważnych częściach rzeczywistości, takich jak trzymanie Wery za rękę, nie miał odwagi rozmawiać. Rozmawiał więc o komiksach. Słuchając siebie samego, sam się w końcu zezłościł.

– To my ze sobą jednak chodzimy? – zapytał.

Nic nie mówiła, przygryzała wargę.

– Wiesz, że jak ich tu palili – odezwała się po paru chwilach – to podobno aż u nas śmierdziało? Tata mówił.

Szymek czuł, że zaczyna się pocić, a kiedy to sobie uświadomił, zaczął się pocić jeszcze bardziej.

– Kogo palili?

– No tych. – Pokazała ręką pomnik. – Tutaj.

– Aha. – Próbował ostrożnie rozsunąć palce dla przewietrzenia, ale tak, żeby nie pomyślała, że chce wypuścić jej rękę.

– Wiesz co, Szymek? Ja to jestem taka nudna, że aż czasami to mi się chce rzygać. Jem, śpię, uczę się, słucham rodziców. Tutaj też były takie dziewczyny i czasami nawet podobno nie płakały, jak je tu zabijali, a ja na widok głupiej strzykawki u lekarza to już prawie sikam w gacie. – Zwolniła, popatrzyła na niego i dodała z taką miną, jakby widziała go w życiu po raz pierwszy: – Jak ty w ogóle możesz myśleć, że ja jestem fajna.

Nie odpowiedział, a ona chyba wcale nie czekała na odpowiedź. Szła dalej, trzymając go za rękę, zagrzebana w swoich myślach i trochę jakby zła. Później, w autobusie, usiadła obok niego, ale od razu zajęła się telefonem. Kiedy ruszyli, Szymek powiedział jej do ucha:

– To, że się urodziłaś w czasach, kiedy nikt nikogo nie pali, to nie znaczy, że nie jesteś fajna.

Włożyła słuchawki do uszu i przez resztę drogi już nie rozmawiali.

Babcia zrobiła awanturę, ale miał wrażenie, że jedynie po to, by zachować pozory. Na wycieczkę do Chełmna nie trzeba było mieć zgody rodziców ani babć, ale ona mimo wszystko uważała, że skromna awantura się należy. Nie odzywała się do niego przez dwa dni, trzeciego jej przeszło. Potem nie miała już czasu się gniewać, miała inne rzeczy na głowie. Na przykład ojca Budzika,

który, od kiedy podupadł na zdrowiu, zaglądał do niej dużo częściej niż wcześniej.

Od wielu lat chorował na cukrzycę, lekceważąc objawy, tak jak wiele rzeczy w życiu lekcewał. Teraz nerki zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Lekarze twierdzili, że niewiele już da się z tym zrobić. Szymek dowiedział się tego od babci, bo z Budzikiem za często nie rozmawiał. Babcia powiedziała niewiele, jak to ona. Kiedy próbował dopytać, zbyła go jednym z tych swoich powiedzonek, które nic nie znaczyły. Niedługo później Szymek natknął się na Budzikiewicza przed domem.

– Wyniszcza mnie jakieś kurewstwo – przywitał się Budzikiewicz, wyciągając rękę i ratując go przed koniecznością zadawania głupich pytań w rodzaju: „Co u pana słyhać?”. Wszyscy wiedzieli, co u niego słyhać.

Był wczesny ranek, na trawie rosa, pachniało mokrym drewnem. Stali w cieniu wysokiej brzozy: Szymek opalony, w koszulce z uśmiechniętym Chewbaccą, ojciec Budzika łysy, w niebieskiej bluzie po synu, zmarszczony.

– Nic mnie nie bolało, słyhać, nic. Nie wierz im, co gadają. Nic mnie nie bolało, a ten mi nagle, ten lekarz, że to już za późno. Jak za późno, ja się pytam. Na co za późno?

Obejrzał się, jakby podejrzewał, że ktoś ich podsłuchuje. Patrzył ponad ramieniem Szymka, wysoko.

– Wszystko przez nią – szepnął, porozumiewawczo kiwając głową.

Szymek uśmiechnął się krzywo, podrapał po szyi. Gdyby wyszedł na autobus minutę wcześniej albo później, miałyby święty spokój.

– Przez kogo? – zapytał, planując ewentualną ucieczkę: powie, że czegoś zapomniał, i wróci do domu.

Tymczasem ojciec Budzika przysunął się do niego jeszcze bliżej. Pachniał papierosami i proszkiem do prania. Na karku błyszczały mu kropelki potu.

– No jak? – Zmarszczył się. – Przez topolę.

Zaglądał co drugi dzień, czasami codziennie. Przestał nawet pukać. Ruszał do kuchni, robił dwie herbaty, wychodził z babcią na taras. Szymek, który miał nad tarasem okno, nigdy nie słyhał, żeby rozmawiali o czymś ważnym. Zazwyczaj siedzieli w ciszy, czasem wymienili parę zdań na temat królików czy deszczu.

Wieczorami Szymek czytał – najczęściej grube powieści graficzne

z Egmonta – uczył się – najczęściej fizyki, bo mu nie szła – albo sam próbował rysować – najczęściej szybko się zniechęcał. Tym razem położył się na łóżku, zamknął oczy i próbował nie myśleć o Budziku, choć niemyślenie o Budziku szło mu ostatnio gorzej niż fizyka. Dawniej potrafił nie myśleć o nim całymi tygodniami, jeszcze w podstawówce zdarzało mu się żyć zupełnie obok Budzika. Teraz było to niemożliwe. Budzik był wszędzie – w szkole, w Chojnach, w Mieście. Prawie za każdym razem, kiedy Szymek siadał w autobusie bardziej z przodu niż z tyłu, wychodził z niego z gumą wplecioną we włosy. Prawie za każdym razem, kiedy stawał do odpowiedzi, z końca klasy rozlegał się przeciągły jęk, którego nie dało się nie skojarzyć z rozwolnieniem. Prawie za każdym razem, kiedy znajdował na plecaku kartkę z napisem „jestem debilem” albo „kopnij mnie w dupę”, rozpoznawał charakterystyczne pismo Budzika – koślawe i ściśnięte, jakby litery ze strachu próbowały się do siebie przytulać.

Leżał i zastanawiał się, czy powinien wyzwać Budzika na solo. Po incydencie z pierwszej klasy podstawówki nie brał udziału w bójkach, nie musiał. Teraz wydawało się, że musi, a przynajmniej, że tak by wypadało.

Tyle że z tym biciem to generalnie mógł być problem. Budzik był wyższy, szerszy w ramionach, lepiej rzucał oszczepem na WF-ie, no i wszystko inne na WF-ie też w sumie robił lepiej. Istniała wprawdzie znana powszechnie Teoria Pierwszego Strzału, zgodnie z którą zdecydowaną większość pojedynków na pięści wygrywa ten, kto da w ryja jako pierwszy, Szymek nie miał jednak do niej większego zaufania. Na sławę Jaszczura też raczej nie mógł liczyć – raz, że prawie nic z niej nie zostało, a dwa, że Budzik dawno już przejrzał Jaszczura na wylot.

Szymek wyobrażał sobie tę walkę wiele razy. Stawali naprzeciw siebie, otoczeni kręgiem chłopaków i dziewczyn. Podnosili ręce, zaczęli krążyć wokół siebie. Czasami Budzik rzucał krótkie i nerwowe: „No chodź! No chodź!”, a czasami nie. Potem doskakiwali do siebie, Budzik walił z zamachu, Szymek nurkował pod ciosem i zaraz bił sam: celnie, mocno. Budzik upadał, wyraźnie miał dość. Wtedy Szymek podchodził, podawał rękę, czasami nawet ściskali się jak kumple, którymi kiedyś byli. Wszystkiemu przyglądała się przerażona Wera.

Teraz leżał i wyobrażał sobie, co się dzieje dalej: idą we trójkę na autobus, żadne z nich się nie odzywa, i dopiero przed domem, kiedy Budzik znika już za bramą, Wera rzuca się Szymkowi na szyję.

Westchnął i otworzył oczy. Za dużo komiksów. Przekręcił się na brzuch,

znovu na plecy. Splótł ręce za głową.

Na przeciwległej ścianie, pomiędzy grafiką z *Hellboya* a reprodukcją obrazu Boccioniego przedstawiającego pociąg wśród pól, wisiało niewielkie zdjęcie prapradziadka Lucjana, które dała mu babcia.

Prapradziadek Lucjan podobno gołymi rękoma zabił niedźwiedzia. Na Syberii. W sercu pustkowia. I w mrozie. Szymek zastanawiał się, czy nie wolałby tego nie wiedzieć. Dziadek niedźwiedzia zabił, a ty się boisz z Budzikiem wyjść na solo? Babci sprzeciwić? Z Werą być bardziej stanowczy? Za każdym razem, kiedy się czegoś obawiał, myślał o dziadku i było mu głupio. Bo dziadek. Własnymi rękoma. Niedźwiedzia. Blabląbla.

Wstał, podszedł do ściany. Długo patrzył w oczy czarno-białemu mężczyźnie, który wyglądał, jakby go sam fakt robienia zdjęcia jednocześnie obrzydzał i bawił. Postał tak kilka minut, a potem jednym ruchem zerwał zdjęcie ze ściany i wsunął za biurko.

Tym razem Andrzej i Tośka siedzieli w fotelach. Przed kominkiem. Pijani.

– Tośka, czy to nie jest tak trochę jednak, kurwa, śmieszne, że my oboje ledwie już ciągniemy?

Tośka popatrzyła na niego z miną, jakby rozważała, czy go wepchnąć w ogień, czy jednak tylko rzucić szklanką w łeb. Rumieńce ją odmładzały.

– Masz rację – dodał szybko. – Nie jest.

– Nie każ mi żałować, że się zgodziłam z tobą napić.

Nie poruszali się i nic nie mówili. Słyszeli nawzajem swoje oddechy. Andrzej stuknął kieliszkiem o drewniany stół, uśmiechnął się.

– Oj, dobrze, na żartach się nie znasz.

Nalała jemu i sobie, pokręciła głową.

– A ty pamiętasz, jak... Jak my?

– Pamiętam.

Pamiętała. I co z tego? Gdyby nie pamiętała, tak samo siedziałaby tu przed nią, z wielkimi oczami, wessany w siebie, prawie już nie on. Gdyby nie pamiętała, tak samo dziwiłaby się ciemnym plamom na jego twarzy, które wyglądały, jakby coś brudnego powoli przesiąkało mu z oczu na resztę ciała.

Idąc do kuchni, odkryła, że pijana jest bardziej, niż jej się wydawało. Wróciła z talerzem ogórków i kiełbasy z sobotniego świniobicia u Nagórnych. Podsunęła Andrzejowi – nie chciał.

– Wiesz, Tośka, powiedzieli mi... Powiedzieli mi, że z tym moim chodzeniem to... Że niedługo pewnie już tylko będę leżał. – Pochylił się do przodu. Powoli sunął palcem po brzegu talerza. – To nie przychodź, dobra? Nie przychodź nigdy.

Nie odpowiedziała. Rozlała wódkę do kieliszków, odchyliła się w fotelu. Wypili i długo patrzyli na ogień głaszczący drewno za szybą kominka. Przy drzwiach balkonowych, wtulony we framugę, spał szary kot przybłąda. Dokończyli pić w ciszy, wpatrzeni w żółto-pomarańczowe płomienie. Andrzej poruszał się później o własnych siłach jeszcze przez jakiś czas. Wsparty na kulach, spocony, chodził wzdłuż drogi, wyszarpując z siebie każdy krok. Później nie miał już siły, leżał w sypialni z wielkim obrazem Chrystusa na ścianie i wydawał się wściekły na samego siebie. Doktor przychodził do niego co parę dni i czytał mu na głos sportowy dodatek do gazety. Tośka nie odwiedziła go już ani razu.

Następnego dnia po tym, jak zdarł zdjęcie ze ściany, zastał babcię w ogrodzie. Siedziała na pieńku i mówiła do siebie. A właściwie do ziemi.

Pochylona, przesuwała dłonią po wilgotnych od topniejącego śniegu liściach i coś szeptała, lekko kiwając głową. Usłyszała, że się zbliża, wyprostowała się, mokrą rękę wytarła o spodnie.

– No, co tam chcesz?

Miała minę, jakby ją przyłapał co najmniej na oglądaniu pornosu. Patrzyła niby na niego, niby na boki. Niby uśmiechnięta, niby nie.

Zapytał, czy tę karmę dla przepiórek to do kotłowni, czy na razie na przedpokój, odparła, że do kotłowni. Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę domu.

– Szymek? – zawołała za nim. Patrzyła na niego, jakby się rozmyśliła. Westchnęła, uśmiechnęła się krzywo. – Jakby mi się coś stało, to przychodź tu czasem, w to miejsce, i tak sobie trochę posiedź, co?

Czas popędził dalej. Druga klasa gimnazjum zmieniła się w trzecią, trzecia w pierwszą liceum i dalej – Szymek miał wrażenie, że nowe podręczniki kupuje raz na kwartał.

Babcia coraz częściej zapominała, co mówiła jeszcze parę dni wcześniej,

coraz częściej wpadała w stan zamyślenia, który nie był już chyba nawet zamyśleniem, choć Szymek nie miał pojęcia, czym innym mógłby być. Stawała nagle w pół kroku, ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko, i zapadała się w siebie: głucha, ślepa, żadna. Po minucie albo dwóch wszystko wracało do normy: szła dalej, robiła to, co przerwała, jakby nie przerwała.

Coraz częściej prosiła go, żeby pomógł jej w czymś, czym dotychczas zajmowała się sama. Wiadro z ekogroszkiem nagle stało się dla niej zbyt ciężkie. Nie dawała już rady przenieść królika z klatki do klatki. Męczyła się przy wymianie firan.

Z Werą też było coraz dziwniej. Widywali się rzadko, zawsze przy jakiejś Okazji, i nigdy więcej nie złapała go już za rękę tak jak wtedy, przed pomnikiem w Chełmnie. Miał wrażenie, że go unika, że jest nim już znudzona. Żyli teraz w innych światach, mieli innych znajomych, inne ulubione miejsca, zajęcia i sprawy.

Kiedyś, we własnym pokoju, przy muzyce HIM-a, pozwoliła mu na tyle, na ile nikt mu wcześniej nie pozwolił, a teraz zachowywała się, jakby nie życzyła sobie, żeby to w ogóle pamiętał. Parę razy próbował ją gdzieś zaprosić, odmawiała. Kiedy przez kilka tygodni udawał, że nie zwraca na nią uwagi, podeszła do niego na przerwie i z zaczerwienioną twarzą oznajmiła:

– Gratuluję.

Zaraz potem wróciła pod klasę.

Chciałby czasem chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć. Miał ochotę znowu stać się Jaszczurem, powiedzieć coś, czego on sam bałby się powiedzieć, albo zrobić coś, co jemu samemu wydawało się niemożliwe.

Bo nadal zdarzało mu się być Jaszczurem. Niektórzy wciąż się go bali. W szóstej klasie postawił się wuefiście podczas rozgrzewki i nie ustąpił, nawet kiedy ten zagroził wezwaniem dyrektora. Szymek obserwował z głębi siebie to, jak Jaszczur podchodzi do nauczyciela, jak patrzy mu w oczy. Później wysłuchał kazania babci, która musiała przyjść do szkoły i też jakiegoś kazania wysłuchać, ale Jaszczur, zagrzebany gdzieś w środku niego, uważał, że było warto.

Wrogów nie miał. Miewał cichych prześladowców, którzy dokuczali z daleka. W wakacje między czwartą a piątą klasą Ciurysek przeprowadził się z rodzicami do Łodzi, za to w nowym roku szkolnym największym nieprzyjacielem Jaszczura został Pytlak z szóstej B. Pytlak mieszkał z ojcem pijakiem i mógł robić, co chciał. Wszyscy zazdrościli mu takiego życia. Dogryzał Jaszczurowi, potem uciekał po korytarzach, błaznując. Przed

Wielkanocą miejsce Pytlaka zajął piegowaty Deresz, powszechnie uważany za prawdziwego zabijakę. Następnie był Siwy. A jeszcze później Karaś. Ostatecznie Szymek zrozumiał, że niezależnie od tego, czego by nie robił, w jego życiu zawsze już będzie jakiś Ciurysek, i że nic na to nie poradzi.

Pod koniec życia Andrzej Budzikiewicz nie chciał rozmawiać już prawie o niczym, tylko o rosnącej na podwórzu topoli. Mówił o niej jak o kimś myślącym, czującym. Nienawistnym. Leżał w gładkiej pościeli, która wyglądała, jakby właśnie się w niej położył, i żądał, aby mu opowiadać o drzewie. Jak wygląda? Nie schnie aby od wierzchołka? Straciło już liście? Co z korzeniami w piwnicy?

Budzik kilka razy dziennie spełniał jego polecenia i wychodził przed dom, żeby obejrzeć koronę, dotknąć pnia, powąchać korę. Potem opowiadał, zły na ojca, że mu te idiotyczne rozkazy wydaje, i zły na siebie, że je wypełnia. Ojcowie jego kolegów z klasy byli normalni i jakoś dawali radę żyć, a nawet jak umierali – bo dwóch umarło – to tak normalnie, na zawał albo w wypadku. Na pewno żaden z nich się przed śmiercią nie uparł na jakąś debilną topolę.

Ale jego ojciec oczywiście musiał po swojemu: musiał zwariować. Sąsiedzi przestali go odwiedzać, pielęgniarka z opieki paliatywnej przestała mu odpowiadać, ksiądz już nie reagował na zaczepki dotyczące Boga. Andrzej Budzikiewicz zdawał się tego nie zauważać. Dla niego liczyło się już wyłącznie drzewo za domem, jakby nadchodząca śmierć nie wystarczała, by go naprawdę przerazić.

Umarł w nocy. Rano był chłodnym kawałkiem ciała, które przypominało go, tylko jeśli się spojrzało pod odpowiednim kątem.

Na stoliku z lekarstwami, w notesie reklamowym zostawionym tam kiedyś przez pielęgniarkę, widniały szybko nakreślone słowa:

„Jacek zetnij topolę proszę”.

Niedługo po pogrzebie pana Budzikiewicza przyszedł czas matury. Nauczyciele budowali napięcie już od dawna. Krok ku dojrzałości, wasza przyszłość, dorosłe życie, kariera. W końcu wszyscy mówili już wyłącznie o tym jednym: babcia, koledzy, wuj Roch, listonosz i Wera. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy o coś pytał, coś tłumaczył, życzył powodzenia.

Któregoś wieczoru babcia wparowała do niego po swojemu: zapukała trzy razy i od razu pchnęła drzwi. Czytał akurat *Harry'ego Pottera i Księcia Półkrwi*, którego owinał obwolutą podręcznika z polskiego. Odłożył książkę na bok, podniósł wzrok.

Babcia usiadła na łóżku. Chciała rozmawiać o studiach, więc rozmawiali: jej zdaniem na żadne takie dziwaczne w stylu kulturoznawstwo to nie warto, ale jakby tak coś w jego upodobaniach, tylko bardziej praktycznie, budownictwo na przykład. Miał ochotę powiedzieć, że o studiach nie myślał w ogóle i że od kilku dni zastanawia się głównie nad tym, czy profesor Snape jest zły, czy jednak dobry, i czy Ron będzie chodził z Lavender, czy jednak z Hermioną. Ostatecznie uzgodnili, że być może architektura, a ona w połowie zdania zamyśliła się, oparła głowę na dłoni.

Był pewien, że znowu zapada się w sobie i że będzie mu tak siedzieć na łóżku przytomna-nieprzytomna, zagubiona w jakimś własnym świecie, ale ona poprawiła spodnie, kiwnęła głową, wstała.

– To jeszcze porozmawiamy – stwierdziła, wychodząc z pokoju. Zanim zdążył wrócić na korytarze szkoły magii w Hogwarcie, zajrzała z powrotem i wskazała ręką ścianę. – A to zdjęcie praprapradziadka, co tu kiedyś wisiało, to masz gdzie jeszcze?

Przypomniało mu się, jak po sprzedaży mieszkania rodziców powiedziała mu, że wyrzuciła zeszyty ze światami taty. Uśmiechnął się głupio znad książki, wzruszył ramionami.

– Samo spadło i chyba wywaliłem.

Za życia ojciec o nic Budzika nie prosił. Za życia ojciec wydawał rozkazy. Po śmierci w końcu poprosił. O ścięcie topoli. Jakby nie mógł o coś innego, o cokolwiek. Ale nie, tylko ta topola, w kółko topola, jakby to idiotyczne drzewo było ważniejsze niż sam Budzik, niż jego mama. Może było.

Nie napisał: „Dbaj o dom”, „Bądź dzielny” ani nawet „Powodzenia na maturze, synku”, nie, on napisał o topoli.

Budzik topolę miał w dupie. Maturę zresztą też. Uczył się z doskoku, zawsze pomiędzy. Pomiedzy szkołą a domem. Pomiedzy dojeniem krów a wyjazdem z mamą po zakupy. Pomiedzy sprząaniem w chlewie a naprawą płotu. Kiedy przyszedł czas, pojechał do szkoły, napisał, co miał napisać, i powiedział, co było trzeba powiedzieć. Zdał słabo, ale zdał.

Mama załatwiła mu pracę w fabryce materacy w Mieście, miał zacząć od pierwszego lipca. Do noszenia paczek po magazynie matura nie była potrzebna, właściwie nic nie było potrzebne. Może jedynie cierpliwość. Od siódmej do piętnastej w kółko to samo, w kółko to samo, w kółko to samo, aż go mdliło.

Nie wiedział, jak długo będzie robił w materacach, czy uda mu się cokolwiek odłożyć, czy pozna jakąś normalną dziewczynę i czy kiedykolwiek wyprowadzi się z Chojen. Wiedział tylko jedno: topoli nie zetnie, choćby pod naporem jej korzeni cały dom popękał. Nie zetnie i chuj.

Szymek maturę zdał na piątki i czwórki, Wera na same piątki. Po ogłoszeniu wyników pogratulowali sobie, powzdychali i zgodzili się, że trochę szkoda, że to już. Teraz trzeba będzie wybierać, to znaczy Szymek będzie wybierał, ona już wybrała – prawo na Uniwersytecie Warszawskim, choć w zasadzie wybrał bardziej tata. Jej jest wszystko jedno.

Przez kolejne kilka dni Szymek rył w internecie, szukał. Myślał, że nazwa któregoś z kierunków sprawi, że nagle zrozumie: tak, to. Nic takiego się nie działo, wszystkie kierunki wydawały mu się równie obce. Uznał, że cała ta architektura, o której wspomniał babci, może nie byłaby taka głupia. Przynajmniej trochę porysuje.

Kolejne tygodnie skleiły się w jedno: jadł, spał, uczył się, jadł, uczył się, spał, z czasem tego spania było coraz mniej. Miał poczucie, że nic nie wie, i niczego nie był pewien. Bilet na pociąg do Warszawy kupował z wyrzutami sumienia, że marnuje pieniądze.

Na dworcu spotkał Werę. Stała z rodzicami, w milczeniu i w cienkim płaszczyku. Na widok zbliżającego się pociągu mama ostrzelała ją serią pytań czy-na-pewno-wzięła, później wskoczyli do wagonu, usiedli obok siebie. Rozmawiali o tym, o czym nie mieli ochoty rozmawiać: o egzaminach, o szkole, kto jaki kierunek wybrał, jakie miasto i czy dobrze. Później Szymek przeszedł przez cztery wagony, otworzył drzwi lokomotywy, zajrzał do środka, odchrząknął, przywitał się. Było ich dwóch: jeden na samym przedzie, drugi przy drzwiach, z kanapką w pół drogi do ust. Poprosił ich, czy by nie mogli zagwizdać trzy razy, bo jedzie z dziewczyną, no i...

– Poczekaj pan, najpierw z miasta wyjedziemy – odparł ten z kanapką.

Szymek podziękował i przeprosił, że tak może głupio, dziecinnie, na co ten drugi odparł, że jakie głupio, że tacy jak on, zakochani, to przychodzą codziennie. Życzył mu powodzenia.

Później siedział obok niej i szeptał jej coś do ucha, a kiedy rozległy się trzy długie, donośne gwizdy, pochyliła się do przodu tak gwałtownie, że chciał ją przytrzymać. Śmiała się dziwnie, jakby brakowało jej powierza. Po raz pierwszy widział ją taką – roześmianą naprawdę, a nie dlatego, że trzeba. Jechali dalej w milczeniu, stykając się ramionami, wpatrzeni w świat, który uciekał za oknem. Wera podłączyła słuchawki do telefonu, jedną włożyła do ucha sobie, drugą jemu, i kiedy tak słuchali jej kolejnych ulubionych kawałków, żałował, że muszą kiedyś dokądś dojechać.

W Warszawie nie byli już Szymonem Stawnym i Werą Nagórną. Przez te dwa dni byli ludźmi bez imion, bez nazwisk, bez historii. Całowała się z nim na ulicach, nazywała w sklepie mężem, trzymała za rękę. Nie zameldował się w akademiku, w którym miał zarezerwowany nocleg, Wera nie odebrała kluczy wynajętego na te dni mieszkania. Podeszli do egzaminów i nie zamienili o nich ani słowa. Przez całą noc chodzili później po mieście, zrywając z siebie wszystko, czym porośli w dotychczasowym życiu. Pozbyli się nawyków, gustów, przekonań, przyzwyczajęń. Słuchali z telefonu nieznanym utworów, kupowali w knajpach rzeczy, których normalnie by nie zjedli, upili się wódką, choć jej nie lubili.

Ona pokazywała mu, gdzie mieszkali sławni ludzie, gdzie kończyło się getto i gdzie kogoś rozstrzelali – wszędzie kogoś rozstrzelali. On wskazywał kolejnych przechodniów i zmyślał im superbohaterskie życiorysy. Dwa razy poszli do kina: jeden z filmów Szymek widział już wcześniej, drugi w całości przespał. Nad ranem położyli się w trawie na Polu Mokotowskim, przykryli nogi kurtkami. Szymek opowiadał, że tamtego dnia w Chojnach wiele lat temu, podczas deszczu meteoroidów, myślał o niej i o tym, czy ona o nim myśli. Wera powiedziała, że myślała wtedy o pilocie Pirxie, w którym odrobinę się kochała, ale że dziś Pirx na pewno jest stary.

Po powrocie do Chojen umówili się, że następnego dnia pójdą na spacer,

porozmawiają – jest o czym. Żegnając się z nim, Wera długo trzymała mu głowę na ramieniu i szeptała, łaskocząc go przy tym w szyję. Na koniec stwierdziła, że musi jutro załatwić coś w Mieście, najlepiej jeśli spotkają się na przystanku. Szymek przyszedł kwadrans wcześniej, usiadł ostrożnie, żeby nie pognieść wyprasowanych spodni.

Czekał, odtwarzając w głowie przebieg ostatnich dwóch dni. Chwilami nabierał pewności, że wszystko to przeżył ktoś inny. Usłyszał trzask i podniósł wzrok. Pojawili się nie wiadomo skąd. Budzik i trzech, których znał z widzenia. Staęli przed nim, jeden pochylił się do przodu:

– Co, Jaszczur? Na kogo czekasz? Poczekamy z tobą.

Budzik stał z tyłu, ręce w kieszeniach, twarz w półmroku.

– Jak myślicie, że ja się was... – zaczął Szymek. Resztę zdania zagłuszyło westchnienie nadjeżdżającego autobusu. Miał nadzieję, że nikt nie wysiądzie, a kiedy w końcu wysiadła Wera, miał nadzieję, że wysiądzie ktoś jeszcze. Nie wysiadł nikt więcej.

Zaraz potem bił się po raz drugi w życiu. Na oślep, z głową pochyloną nisko, młóćąc przed sobą ramionami, przerażony. Okrążyli go, dwóch z lewej, jeden z prawej, Budzik naprzeciwno. Stał w pozycji niby bokerskiej, niby zły, niby uśmiechnięty. Szymek obrócił się do tych dwóch z lewej, ruszył przed siebie, chyba nawet coś krzyknął – ale co, nie mógł sobie później przypomnieć. Poczul, jak któryś z nich kopie go w udo, a potem sam trafił jednego w szyję. Zachwiał się po własnym ciosie, odzyskał równowagę, podniósł wzrok i wtedy:

z lewej

z prawej

w wargę

w skroń

Budzik. Z zawziętą miną, z wielkimi oczami.

Szymek cofnął się, podniósł pięści wyżej. Przyjął na twarz kolejne dwa, trzy, cztery ciosy, krew ze złamanego nosa płynęła mu na koszulkę, wargę spuchła. Nie czuł jednego ani drugiego. Zanim zdążył zrobić cokolwiek, Budzik kopnął go między nogi i zaraz kopali już wszyscy. Słyszał krzyk Wery i głos jednego z bijących, który mówił, żeby się zamknęła.

Kiedy otworzył oczy, kucąła przy nim, blada, z telefonem przy uchu. Usta

miała brudne od krwi. Trzymała go za rękę, ostrożnie, tak jak się trzyma coś drogiego, żeby nie stłuc.

Najpierw nie bolało go nic, lecz zaraz rozboleła wszystko. Noga, kolano, brzuch, żebra, pięści i głowa – głowa najbardziej. Wera przysunęła się bliżej, mówiła głośno i szybko:

– Kurwa, gnoje, przysięgam, Budzika zabiję, co za gnoje, Szymek, o jezuojapierdołę, nie ruszaj się, tata zaraz będzie, nie, mi nic nie jest, tylko warga, leż.

Następnego dnia po bijatyce odwiedził go ojciec Wery. Widząc go przez okno, Szymek ruszył do drzwi szybciej, niż pozwalało na to obolałe ciało. Otworzył, uśmiechnął się.

Pan Nagórny nie wszedł do środka, uśmiechać też się chyba nie zamierzał. Wyciągnął rękę, jakby chciał złapać Szymka za szyję, ale zaraz ją cofnął, wystraszony tym swoim odruchem.

– Szmciarzu... – Dyszał, a różowe, poszarpane kształty wypełzały mu na szyję. – Szmciarzu, ty i Budzikiewicz, jeszcze raz was przy niej zobaczę, to przysięgam...

Szymek przełknął ślinę, chciał coś powiedzieć, nie powiedział.

– Jeszcze raz, rozumiano? Nogi, kurwa, z dupy powyrywam.

Pan Nagórny odwrócił się i niemal biegiem pokonał trawnik. Energicznie poruszał ramionami, dźwigając przed sobą wielki brzuch. Trzasnął furtką, nie odwrócił się. W porannym słońcu jego zaczerwienione uszy wydawały się płonąć.

Wera zadzwoniła dziesięć minut później. Zapłakana. Że tata. Że przeprasza za niego, bo on nic nie rozumie, nie słucha jej, oboje jej z mamą nie słuchają. Zaczął się tłumaczyć, że nie obronił jej, choć powinien, że to przecież jego wina, tak jakby. Po chwili przeproszenia się i tłumaczenia nie mieli już o czym rozmawiać, a Szymek, wsłuchany w ciszę z słuchawki, zrozumiał, że jest Jaszczurem, że zawsze był Jaszczurem i zawsze nim będzie. Pożegnał się z Werą, wszedł do łazienki, przed lustrem wykrzywił się, aż obita twarz rozerwało uderzenie bólu.

Przez następny tydzień prawie nie wychodził w łóżka. Wstawał tylko do łazienki, gdzie przyglądał się swojej posiniaczonej i pożółkłej twarzy. Postanowił, że skoro ma być Jaszczurem, to będzie.

Nie poszedł na architekturę.

Nie poszedł na nic.

Był Jaszczurem, a Jaszczury nie idą na studia, nie mają przyszłości ani Wer, mają wyłącznie siebie i tak jest lepiej dla wszystkich. Na początku spodziewał się, że coś poczuje, nie wiedział co, ale coś – nic nie poczuł. Może tylko ulgę, jakby się pozbył czegoś ciężkiego, kłującego, co niby nie przeszkadza, ale jednak.

Ósmego dnia po bójce z Budzikiem zadzwonił do wuja Rocha i zapytał, czy byłaby dla niego praca na poczcie, przy tym czytaniu zagubionych i niechcianych listów, o której wuj opowiadał tyle razy. Wuj Roch pomruczał, w końcu zapewnił, że tak, oczywiście, dla niego byłaby.

Babcia błagała – mogła sobie błagać. Słuchał jej, pozwalał odpalać najbardziej absurdalne kanonady argumentów, na większość nie odpowiadał. Posprzątał pokój, oddał książki do biblioteki w Mieście, spakował się, czekał na wiadomość od wuja. Chciał zacząć możliwie wcześniej, zamieszkać w hotelu, coś wynająć, byle szybko i byle sam.

Czekanie, czekanie i czekanie. Czerwiec, lipiec. Któregoś wieczoru na początku sierpnia zadzwonił do Budzika i zapytał, czy wtedy, na przystanku, mieli jakiś powód, czy to tak po prostu.

Budzik odparł, że tak po prostu, i się rozłączył.

Kilka dni później babcia pozbyła się wszystkich twarzy, zza których rozmawiała z Szymkiem od śmierci jego rodziców, i błagalnym głosem zapytała, czy nie mógłby chociaż na początku zamieszkać z wujem. Wuj sam zaproponował, taniej ci będzie, wygodniej, przecież pieniędzy nie masz, posłuchaj mnie, proszę. Na to jedno się zgodził.

Wyjechał w połowie września. Pociągiem, obładowany, wystraszony. U wuja wykapał się, za kolację podziękował. Zamknięty w „swoim” pokoju, przeczytał kupionego kilka dni wcześniej *Zdobywcę czerw.* Do babci zadzwonił wieczorem: wszystko dobrze.

Sto dwadzieścia cztery kilometry dalej Tośka odłożyła słuchawkę i pomyślała, że jeśli jeszcze choć raz w życiu usłyszy, że wszystko jest dobrze, natychmiast oszaleje.

Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Bez jego odgłosów na piętrze, bez podniesionej klapy, bez lodówki pełnej produktów, których nazw nie potrafiła odczytać. Nie wyobrażała sobie ciągnięcia tej starości w pojedynkę. Nadal przecież hodowała króliki, nadal sprzedawała przepiórcze jaja i nadal miała ten dom, w którym wiecznie coś: piec, okno, rynna, grzyb w łazience.

Dotychczas jakoś dawała radę, bo był on, bo musiała. Teraz czuła, że wszystkie te kruche rusztowania, które podtrzymywały ją przez ostatnie lata, rozsypują się nagle, pozbawione celu. W chwili, kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła się okropnie stara i okropnie samotna. Podeszła do okna i długo patrzyła na Chojny, które bez niego były właśnie tylko Chojnami, niczym więcej.

Tego samego dnia, kiedy Szymek wsiadł do pociągu do Kuluszek, Budzik stanął pod topolą i osłonił oczy od słońca.

Wysoko nad jego głową unosiła się zielona chmura, w niektórych miejscach liście zaczynały brązowieć. Wyciągnął z kieszeni kartkę od ojca, który nie żył już od prawie sześciu miesięcy, i po raz kolejny przeczytał cztery słowa, które, powtarzane w nieskończoność, przestawały już mieć znaczenie. Przeklął, zgniótł kartkę i wcisnął ją z powrotem do kieszeni. Oparł siekiere o drzewo, do trzonka przywiązał długi sznur. Drugi koniec owinął sobie wokół kostki i ruszył do góry. Pachniało żywicą. Wspinał się wolno, mozolnie. Pierwszy konar znajdował się trzy metry nad ziemią. Usiadł na nim, wciągnął siekiere, odwiązał ją i powiesił nad głową. Spojrzał na dom, na drogę i Chojny: z tej perspektywy wszystko to było obce. Ruszył dalej. Kora wydawała się ciepła. W koronie poruszał się coraz szybciej. Żałował, że nie wziął ze sobą telefonu. Mniej więcej w dwóch trzecich wysokości drzewa poślizgnął się, a gałąź, na której zacisnął palce, pękła pod jego ciężarem.

Upadł na ścieżkę wydeptaną pomiędzy domem a kurnikiem. Poczł uderzenie, trzask i chłodne pchnięcie gdzieś w płucach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Matka wiadomość o ciąży przyjęła rozczarowująco dobrze – jakby jej ulżyło, że coś ma już z głowy. Kilka dni po tym, jak Tośka z dudniącym sercem przyznała się jej do tego, w co sama jeszcze nie bardzo wierzyła, uświadomiła sobie, że liczyła trochę na jej krzyki, na lamente, na załamywanie rąk. Na cokolwiek, co pozwoliłoby jej wierzyć, że to niewidoczne życie w jej brzuchu jest ważne, nawet jeśli ona i Karol nigdy ważni nie byli.

Pod koniec ciąży myślała prawie tylko o nim. Otulona grubym płaszczem i szalem chodziła na cmentarz w Grzegorzewie i próbowała wyobrazić sobie świat w przyszłości, świat z tym dodatkowym człowiekiem, o którym nic jeszcze nie wiedziała.

Czasami, leżąc w ciemnościach i wyczekując snu, słyszała znajome skrzypnięcie drzwi i szept, jakby zawstydzony:

– Mogę?

Kiwała na niego głową i obracała się, tak żeby leżeć twarzą do niego. Michał siadał przy jej łóżku i prosił, by opowiadała, jak się czuje. Przykładał jej głowę do brzucha, słuchając rozrastającego się w niej życia. Na początku, latem, przynosił kwiaty. Zresztą, cały dom był w kwiatach – wisiakiy ususzone pod sufitem, w mniejszych, większych pękach, i wypełniały dom zapachami. Opowiadając bratu o tym, co się dzieje w głębinach jej ciała, Tośka słyszała w końcu szelest głowy składanej w pościeli. Michał zasypiał na siedząco. Niedługo później, z palcami zatopionymi w jego bujnych włosach, zasypiała też ona.

Urodziła w lutym.

Dziewczynka krzywiła się i wierciła, jakby chciała jak najszybciej z powrotem zagrzebać się w ciepłym wnętrzu Tośki. Tośka ścisnęła rękę matki lub Michała, a kiedy nie miała ich przy sobie, ścisnęła prześcieradło, przekonana, że jeśli przestanie się czegoś trzymać, jej mały świat się rozleci, bo to przecież niemożliwe, żeby wszystko trwało tak dalej.

A jednak trwało. Codziennie rano budziła się w tej samej rzeczywistości

owiniętej wokół rozkrzychanego, zaczerwienionego człowieka, któremu na imię dała Eliza. Eliza Stawna – podobało jej się.

Eliza Stawna wyglądała na zdrową: jadła, robiła pod siebie, płakała, nie dawała spać. Tośka wpatrywała się w jej ciemne oczy, próbując sobie wyobrazić, co zobaczą za dziesięć, dwadzieścia lat.

Czasami budziła się w nocy z kolejnego snu o Niewidzialnym Człowieku, zrywała się z pościeli i szybko podchodziła do łóżeczka, które, tak jak połowę rzeczy w życiu, otrzymała od Antoniego Drewsa. Pochylała się nad tym żałośnie kruchym kawałkiem siebie samej i długo słuchała oddechu. Bała się zasnąć, siadała przy ścianie i patrzyła na poruszenia małej piersi w ciemnościach.

Tego samego dnia, kiedy Tośka urodziła córkę, na świat przyszedł syn Knopów, którzy mieszkali w Chojnach, z dala od innych domów, przy drodze biegnącej przez pola w stronę Boguszyńca. W przeciwieństwie do Elizy chłopiec prawie w ogóle nie krzyczał, nie jęczał, nie sapał, nie marudził. Sprawiał wrażenie, jakby z kształtem świata, na który go ściągnięto, był całkowicie pogodzony. Rodzice dali mu na imię Gracjan.

Eliza, Eliza, Eliza. Jakby to małe ciało zasysało w siebie wszystko, z czego wcześniej składały się kolejne dni i noce. Płakało, jadło, spało. Wyciągało do Tośki ręce, piło z niej, wtulało się w nią jak zwierzątko. Tośka odeszła z piekarni i zajęła się tylko tym ciepłym, czującym, żywym czymś, w czego istnienie wciąż nie mogła uwierzyć.

Zdarzało się, że dostrzegała w córce Karola, zdarzało się, że siebie. Poza córką dostrzegała niewiele – ot, to, co musiała. Po kilku miesiącach zorientowała się, że świat znowu przyspieszył, że mimo tych wymieszanych ze sobą godzin, dni, tygodni przyspiesza coraz bardziej. Eliza rozpychała się wewnątrz siebie, coraz większa i coraz wyższa, coraz bardziej przypominająca prawdziwego człowieka. Była wszędzie i było jej mnóstwo. Raczkowała, chodziła, biegała. Gęgała, mówiła, powtarzała wymyślane przez Michała wierszyki. Mimo lepkich, czarnych snów przepływających co jakiś czas przez jej matkę, żyła i sprawiała wrażenie, że będzie żyć zawsze.

Mijały kolejne lata, a ona wydawała się jeszcze ten pędzący czas wyprzedzać. Szybko nauczyła się czytać i obrażać ludzi tak, żeby nie czuli się obrażeni. Wchodziła z babcią Sabiną w długie, żarliwe dysputy i najczęściej

zapędzała ją w kozi róg. Rozumiała żarty dorosłych, odpowiadała na żarty dorosłych i żenowały ją żarty dorosłych.

O szkole podstawowej nie miała do powiedzenia nic dobrego. Tośka pamiętała własny zachwyty lekcjami, panią nauczycielką i wszystkim, co związane ze szkołą. Czekwała na pierwsze relacje córki i spodziewała się, że odnajdzie w nich siebie, ale nie odnajdywała w nich nawet większego sensu. Eliza najczęściej przyznawała, że siedząc na lekcjach, czuje się zazwyczaj, jakby wszyscy mówili w zwolnionym tempie, a jej nie wolno było kończyć za nich wypowiedzi. Na sprawdzianach odkładała długopis na długo przed innymi i próbowała nie nudzić się zbyt ostentacyjnie, co jednak jej nie zawsze wychodziło.

Lepszy bywał od niej jedynie Gracjan Knop, milczący Gracjan Knop, który odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał, ale kiedy już musiał, robił to tak, że Eliza czuła, jak poca jej się dłonie. Nie wiedziała, czy to z podziwu, czy ze złości, pewnie trochę z podziwu i trochę ze złości, może jeszcze z czegoś. Wracała wtedy do domu i uczyła się do późna, przekonana, że następnym razem to ona przyćmi go swoją odpowiedzią na środku klasy, ale następne razy, jak to z następnymi razami bywa, często wyglądały tak samo.

Tośka obserwowała to wszystko z nadzieją, że jej córka przyniesie kiedyś ze szkoły tróję albo chociaż czwórkę. Słowo „geniusz”, którego używali czasem nauczyciele, wydawało się Tośce idiotyczne, ale nie bardzo potrafiła znaleźć jakiś jego mniej idiotyczny synonim, określała więc córkę jako „raczej zdolną”.

Jej raczej zdolna córka przez cały okres szkoły podstawowej nie interesowała się chłopcami, interesował ją tylko Gracjan Knop, a raczej odpowiedzi Gracjana Knopa przy tablicy i jego oceny. Każdą porażkę głęboko przeżywała, stawała się roztrzęsiona, blada i milcząca. Na każde zwycięstwo reagowała, jakby właśnie zakochał się w niej najfajniejszy chłopak w szkole.

Tośka wyobrażała sobie to wszystko inaczej. Wyobrażała sobie sceny jak z książek, z opowieści. Córkę, która będzie zasypiać, słuchając bajek czytanych na dobranoc. Która będzie jej siedzieć na kolanach i zagadywać o historii z przeszłości. Którą będą śmieszyły jej głupie miny pokazywane przy śniadaniu. Która, dorastając, będzie na nią patrzeć jak na kogoś mądrzejszego od siebie.

Wiedziała, że nie powinna narzekać. Eliza była raczej zdrowa, raczej grzeczna, w domu raczej pomocna. Gotowała z Sabiną konfitury, jeździła z Michałem na targ. Słuchała jej i rzadko miewała muchy w nosie. A jednak było w tym dziecku coś, co kazało jej budzić się w nocy i przewracać z boku na bok. W tych czarnych godzinach nabierała pewności, że już wkrótce, już za kilka dni, w ogóle przestanie Elizę rozumieć. Wyobrażała sobie, jak Eliza dorasta i przy pierwszej okazji ucieka z Chojen jak najdalej, na koniec Polski albo do innego kraju, gdzie nie będzie musiała być tym kimś, kim musi być tutaj.

Przyglądała się jej czasami i uważnie wypatrywała czegoś w jej ruchach, choć nie wiedziała czego. Któregoś razu, obserwując córkę przez okno, złapała się na tym, że życzy własnemu dziecku, by się potknęło i wreszcie, chociaż raz w życiu, porządnie wywróciło.

Tymczasem dziecko przestało być dzieckiem. Coraz częściej coś oznajmiało, coraz rzadziej z czegokolwiek się tłumaczyło. Sprawiało wrażenie, jakby Tośka i całe Chojny do niczego nie były mu potrzebne. Milczało przy posiłkach. Zamykało się w pokoju. Dokuczało wujowi Michałowi i chyba paliło papierosy.

Zmieniło się w wysoką dziewczynę o szczupłej twarzy, zrzuciło z siebie wszystkie Elizki, Elizie i Elcie, pozostało Elizą, prawie ELIZĄ, i za nic nie chciało się zdrabniać.

Czasami pozwalało zabierać się do Miasta, na gofry. Najpierw obchodziły razem niewielki rynek, oglądały wystawy. W bocznych uliczkach starcy wygrzewali się na słońcu, dzieci biegały za piłką. Z klatek schodowych wylewały się zapachy drewna, wilgoci i smażonych ziemniaków. Kiedy Eliza wzdychała głośno na znak, że ma już szczerze dość, szły pod ratusz i zamawiały słodczyce, po czym pędziły w stronę najbliższej wolnej ławki. Podczas jedzenia nie wolno było się odzywać. Ani Tośka, ani Eliza nie wiedziały, kto tę regułę wymyślił. Zamykały oczy i pozwalały, żeby powoli rozplywały się w nich smaki.

Raz do roku, we Wszystkich Świętych, jeździły na cmentarz. Częściej Tośka nie chciała. Nad grobem Karola opowiadała córce jakiś epizod z jego życia, zawsze inny. Starła się nie mówić zbyt wiele, żeby na następny rok też coś jeszcze zostało.

Eliza od dziecka nie lubiła zupy ogórkowej i ludzi. Mama i babcia Sabina powtarzały jej, że zupa jak zupa, ale ludzi toby jednak mogła lubić, ludzie są czasem mili, czasem dobrzy, czasem nawet wspaniali. Pamięta pana Drewsa? Tego, co ma piękny pomnik pod brzozą w Grzegorzewie? Pan Drews to był człowiek jak z bajki. A wujek Michał? Zawsze dla niej taki dobry. No? Czy wujka Michała też nie lubi? Eliza wysłuchiwała tych argumentów i cicho przytakiwała, jednak ostatecznie ani do ogórkowej, ani do ludzi nie potrafiła się przekonać.

Od tej uczuciowej reguły były tylko dwa wyjątki: Gracjan Knop oraz Julka Duszna.

Gracjana Knopa Eliza lubiła za wszystko.

Julkę Duszną za to, że była najładniejsza ze wszystkich ludzi na świecie.

Problem z Gracjanem polegał na tym, że nigdy go nie było. W Chojnach rzadko dawało się spotkać go przy drodze, a w szkole sprawiał wrażenie, że tylko czeka, aż będzie mógł stamtąd wyjść. Eliza rozmawiała z nim wiele razy i zawsze odnosiła wrażenie, że Gracjan jest wszystkim wokół, łącznie z nią, śmiertelnie znudzony, co złościło ją tym bardziej, że to ona zwykle była wszystkim znudzona.

Julka Duszna była przeciwieństwem Gracjana, bo wszędzie było jej pełno – nawet tam, gdzie wcale jej nie było, bo ludzie wciąż o niej mówili. Że piękna, że całe życie przed nią, a może i cały świat. Julka pomagała ojcu w sklepie przy drodze do Miasta. Pomaganie to polegało głównie na rozmawianiu, żartowaniu i przyjmowaniu komplementów – transakcjami i noszeniem towaru zajmował się jej ojciec.

Tośka czekała, aż Eliza opowie jej jakąś szkolną historię o koleżance, koledze, o dziecięcej miłości, nienawiści, o pocałunku, kłótni, o czymkolwiek, co by jej pozwoliło wierzyć, że młodość jej córki nie składa się wyłącznie z mądrego Gracjana Knopa i pięknej Julki Dusznej.

Brat Tośki żył w tym czasie w bezludnym świecie, do którego trafił już jako dziecko, ale o którym nic wtedy nie wiedział. Poruszał się tam wśród krętych

labiryntów, nurkował w gęstych obłokach, rozbijał się o fale, pływał pod, nad i pomiędzy, przebijał kolejne miękkie tafle, których nie było, ale które były. Nie można było tego wszystkiego zobaczyć, nie można było tego dotknąć, usłyszeć, można to było włącznie powąchać, więc wąchał.

Michał zapachami napełniał się cały – rozchodziły się w nim od płuc na wszystkie strony, rozpuszczały się w głowie. Czuł je opuszkami palców, czuł je w żołądku, na języku. Kilka razy próbował pokazać swój świat Tośce, mamie, dziewczynie, z którą się długo spotykał. Z czasem zrozumiał, że jego świat dla innych nie istnieje.

Nie wiedział jeszcze, że ten świat każe mu się nauczyć obcego języka, że wymusi na nim jego jedyną zagraniczną podróż i że ostatecznie to właśnie przez ten świat przestanie być Michałem, a stanie się Doktorem, i że później sam już nie będzie wiedział, kim i czy naprawdę jest.

Teraz jednak wiedział, że jego świat różni się od świata innych mniej więcej tak jak czekolada różni się od żuru – niby nie sposób tego porównywać i twierdzić, że czekolada jest lepsza, a przecież jednak jest. Żałował, że inni nie mogą go poczuć, ale jednocześnie cieszył się, że nie mogą, że może tylko on. Posiadanie całego świata dla siebie wydawało mu się czymś niezwykłym.

Sabina mieszkała w pokoju z widokiem na podwórze, z Michałem za jedną ścianą, z Toską i Elizą za drugą, ale tak naprawdę mieszkała w listach, tylko w nich była sobą naprawdę.

Mniej obchodził ją nadawca listów, bardziej one same. Te wszystkie marzenia, radości i rozpacze złożone na pół, wsunięte do koperty, opatrzone znaczkiem. Czytając i pisząc, miała wrażenie, że dzieje się z nią coś ważnego – a przynajmniej ważniejszego niż zazwyczaj. Bo zazwyczaj nie działo się nic. Zazwyczaj tylko żyła.

Czasami dziwiło ją, że Józek Kłoda wciąż pisze, że wciąż mu się chce. Tracić czas, wzrok i pieniądze. Przez lata powoli zmieniał się na tych gładkich, równo zapisywanych stronach. Był coraz mniej gwałtowny i coraz bardziej powściągliwy. Bardziej opanowany, bardziej chyba męski. Pisał, jakby pisał do siebie. Prawie w ogóle nie dostrzegała już w nim tamtego rozdygotanego chłopaka, który gotów był dla niej na wszystko.

Ona pisywała o wszystkim, co się wokół niej działo, oraz o wszystkim, co się nie działo w ogóle. I właśnie wtedy, opowiadając to, co się nigdy nie

zdarzyło i nigdy nie zdarzy, czuła się, jakby stała przed kartką naga i jakby ktoś patrzył na nią przez wąskie, ciemne szczeliny w kształcie liter. Wydawało się, że patrzy wcale nie Józek, ale ktoś inny, coś innego. Coś, co nie interesowało się nią, bo nie interesowało się niczym. Patrzyło. Sabina nie chciała tego czegoś poznać.

Zastanawiała się czasem, co by było, gdyby tych listów i tego odległego Józka Kłody nie miała, ale po pewnym czasie oduczyła się o tym myśleć, bo za każdym razem wychodziło jej, że bez listów i bez Józka nie miałyby prawie nic.

Eliza nie miała pojęcia o świecie zapachów wuja Michała ani o świecie listów babci Sabiny. Jej świat był zwyczajny i nudny: szkoła, króliki, Chojny, Miasto. Nie lubiła pomagać w domu, przy zwierzętach ani w polu, marzyła wtedy tylko o tym, żeby nie musieć nic robić, ale kiedy nie musiała nic robić, było jeszcze gorzej. Godziny się rozmazywały, dni puchły od nudy. Uczyła się wtedy albo przychodziła pod sklep pana Dusznego.

Zawsze miała nadzieję, że spotka tam Gracjana Knopa, i zawsze spotykała co najwyżej starego Bugaja albo głuchą wdowę Drewsową. Siadała na ławce pod drzewem i słuchała wciąż tych samych opowieści: spalona stodoła, cud z kapliczką, wojna-srojna. Jak się dało, wyciągała Julkę Duszną na plotki i na papierosa. Zazwyczaj się dało.

Szły na łąkę, opierały się o przewrócony pień. Julka była od niej starsza, mówiła o sklepie, o Warszawie, w której była dwa razy, i o mężczyznach, a przede wszystkim o Rochu Boruckim, dalekim kuzynie Stawnych, z którym niedawno się zaręczyła.

Julka najpierw Rocha nie chciała, tak jak nie chciała żadnego z mężczyzn, którzy wirowali wokół niej – nie chciała tych miłych, nie chciała bezczelnych, nie chciała brzydkich, a ładnych nie chciała szczególnie. Im przystojniejszy był jej adorator, tym gwałtowniej jego umizgi odrzucała i tym dłużej oblepiały ją później niespokojne myśli.

Coraz wyraźniej czuła, że jej uroda nie należy do niej, że to ciało i tę twarz dostała przez pomyłkę, bo przecież ona prawdziwa wcale taka nie jest, wcale nie jest piękną – jest tylko Julką Duszną. Coraz częściej towarzyszył jej strach przed tym, że

w końcu wszystko to wyjdzie na jaw, że ludzie się zorientują,

że tak naprawdę nie jest piękna, a wtedy odepchną ją, zapomną o niej, bo czym będzie pozbawiona swojej urody?

Julką Duszna.

Śniła, jak po ślubie, leżąc obok pięknego męża, przemienia się w poczwarę, jak włosy się jej przerzedzają, nos wydłuża, zęby zachodzą na siebie, jak cała potwornieje. Mijały kolejne lata, a ona odmawiała kolejnym, zyskując powoli opinię dziwaczki, aż w końcu pojawił się Roch.

Roch Borucki oprócz tego, że był raczej przystojny, był też rudy. Rudy, więc fałszywy, więc będzie zdradzał, może i lał, a że będzie też pił, to pewne. Julka mogła mieć każdego, brunetów, blondynów, łysych, więc po co jej rudy? Ale rudy Roch okazał się nieugięty. Przyjeżdżał z Miasta autobusem, przyjeżdżał na rowerze, przychodził pieszo, czasami podobno przybiegał. Zawsze nienagannie ubrany, niez pomieszany, zabawny, często z kwiatkiem i w marynarce.

Julka Duszna widziała, że rudemu Rochowi zależy na niej tak, jak jeszcze nigdy nikomu na niej nie zależało. Trochę podobało jej się to szaleńcze, obłąkane zakochanie jak z powieści, a trochę się tego zakochania bała. Kiedy po spotkaniu zegnała się z Rochem i odprowadzała go wzrokiem, coraz mniejszego na tle pól, zastanawiała się, co z nim musi być nie tak, że potrafi pragnąć czegoś – czy kogoś – tak mocno. Nie umiała powiedzieć, kiedy przestała się nad tym zastanawiać i kiedy na jego widok zamiast zmieszania zaczęła czuć ciekawość. Śmiała się przy nim, spierała się z nim, słuchała go, szturchała palcem w ramię, wyśmiewała go, trochę obrażała. Czasami ją denerwował, czasami myślała, że trochę ją zauroczył. Najczęściej była po prostu ciekawa, co tym razem zrobi, co powie, czym ją teraz zdziwi. Żaden brunet ani blondyn nie wywoływał jej w głowie takiego dziwnego zamętu jak ten elegancki, niespecjalnie przystojny, uparty i niezmordowany w swoich uprzejmych staraniach rudzielec.

Zakochała się przy okazji.

Piec, tłuszcz, gorąco. Ale głównie gorąco. Sabina stała na wytartym gumolicie, w ręku ciepły uchwyt patelni, przy nodze wiadro z węglem. Listy listami, ale jeść trzeba, a nawet jeśli nie trzeba, to przecież dzieci muszą. Na przykład placki ziemniaczane. Stała więc i smażyła. Na talerzu leżała już cała sterta. Sabina zastanawiała się, ile jeszcze placków ziemniaczanych usmaży w życiu

i czy chciałyby to wiedzieć. Otarła czoło przedramieniem. Nie chciałyby.

Piec, tłuszcz, gorąco.

I nagle pukanie.

Na listonosza za późno, na Nagórna za wcześnie. Tośka czy Michał w ogóle by nie pukali, Elizka tym bardziej. Sabina niespodzianki lubiła mniej więcej tak samo jak sprośne kawały, czyli w ogóle. Niespodzianka, nawet jeśli miła, wprawiała ją za każdym razem w takie zdenerwowanie, że wolałyby całkiem z niej zrezygnować. Wytarła teraz dłonie o fartuch, podeszła do drzwi, otworzyła.

W progu stał wysoki mężczyzna o pobrużdżonej twarzy. Trzymał przed sobą bukiet kwiatów i uśmiechał się, jakby wystraszony. Coś w tym mężczyźnie było znajomego, jakby gdzieś w środku niego zanurzony był inny, znajomy jej człowiek, który tylko czasem odciskał się tu czy ówdzie.

– A pan... – zaczęła i zamilkła.

– Jaki tam pan? – Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Józek. Józek Kłoda.

Ona miała sześćdziesiąt siedem lat, on pięćdziesiąt dziewięć. Wyglądał na dużo starszego. Był za chudy na całą tę skórę, która wisiała mu na ramionach i szyi. Poruszał się zwinnie, ale trochę kulał. Nie był łysy, ale prawie. Oczy te same, ale nie do końca.

Sabina patrzyła na niego i w każdej jej myśli było jakieś ale. Siedzieli naprzeciw siebie, przedzieleni stertą placków ziemniaczanych, których nie ruszyli. On opowiadał o podróży, o pociągach, o poznanych ludziach i trochę o przyszłości; tłumaczył wszystko po kolei, jakby koniecznie chciał usprawiedliwić tę swoją obecność w jej domu, w jej kuchni, przy jej stole.

Sabina słuchała tego, co mówił, i patrzyła na to, o czym nie mówił, a co trochę ją przerażało: dwie duże walizki, torba na ramię, garnitur. Chyba nowy.

– Józek, ty się wyprowadziłeś?

Potwierdził w milczeniu, ruchem głowy, i patrzył na nią jak na kogoś, kto właśnie ma odczytać wyrok w jego sprawie.

– I gdzie... – Nie dokończyła, odchrząknęła i wypuściła powietrze.

– No, tutaj, w Chojnach. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Nie wiedziała, czy ma coś przeciwko. Niby nie miała.

Ale.

Ale przecież co będą ludzie myśleć? I co właściwie miała myśleć ona sama? Józek przyjechał do niej, do sześćdziesięciosiedmioletniej kobiety, która kobiety miała w sobie już niespecjalnie dużo, a na pewno mniej niż wtedy, kiedy ją widział ostatnio, w tamtym odległym, innym świecie. Przyjechał do niej, która już sobie ułożyła życie i której było w tym życiu dość wygodnie, w takim stopniu, w jakim w ogóle może być w życiu wygodnie.

Przyjechał i co?

I co tu będzie robił, gdzie będzie mieszkał, i jeszcze dużo, dużo takich co.

– Józek, ale co ja mogę mieć przeciwko... – Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się. – Przecież jak chcesz, to mieszkaj.

Zanim dokończyła, poczuła, że to nie miało być tak, ale już powiedziała, powiedziało się samo. Twarz mężczyzny, którego listy utrzymywały ją przy życiu, powoli się przed nią osuwała, jakby to, co podtrzymywało ją dotychczas, w końcu pękło.

– To znaczy... Oj, Boże, no przecież wiesz. Chcę, chcę, żebyś tu mieszkał, no. Chcę. Tylko...

Tylko nie wiedziała co. Nie wiedziała, czy teraz zmieni się mało, czy dużo, czy może wszystko. Nie wiedziała, co na to Tośka, Michał, co na to wszyscy inni. Wielu rzeczy nie wiedziała, a w głowie w kółko dudniły jej dwa słowa: „za późno”. Za późno na niego, na nich, na wszystko za późno. Przeżyli już swoje życia, zostały im zmarszczki, wspomnienia i głupie placki ziemniaczane.

Na ślub Julki Dusznej czekały całe Chojny.

Kobiety czekały po prostu: bo ślub. Mężczyźni czekali, żeby na własne oczy się przekonać, jak najładniejsza dziewczyna w okolicy robi z siebie pośmiewisko, wychodząc za tego rudego karakana.

Dzień był ciepły, nie za ciepły. Można było wystawiać twarz do słońca, nie trzeba się było pocić. Żniwa skończyły się dwa tygodnie wcześniej. Mieszkańcom Chojen pozostały po nich brązowe twarze i znikający wolno ból nadgarstków, ramion, pleców. Stali wszyscy przed kościołem w Grzegorzewie, stali niecierpliwie, trochę podekscytowani, trochę głodni.

Ojciec przywiózł Julkę starym motocyklem M-42, który odmalował w stodole w tajemnicy przed wszystkimi i który błyszczał teraz brązowym

lakierem, jakby dopiero co wyjechał z fabryki. Julka ledwie pomieściła się w bocznym koszu z całą tą swoją suknią, z welonem i z tym wszystkim, co od niej biło na odległość. Ojciec pomógł jej wysiąść, pomógł przejść kawałek, pomógł wygładzić tam, gdzie powinna być wygładzona. Ostatecznie, dźgnięty jej na wpół rozbawionym i na wpół zniecierpliwionym wzrokiem, dał spokój.

Julka stała, a wszyscy patrzyli.

Wyglądała, jakby zaraz miała się rozwiać na białe smugi. Nie wiadomo było, gdzie kończy się suknia, a zaczyna ona. Wiatr szarpał ją raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby sam chciał to sprawdzić, a ona powiewała od włosów po samą ziemię.

Koledzy pana młodego byli rozgadani, radośni, a Julce przeszło przez myśl, czy nie są czasami rozgadani i radośni za bardzo, ale zaraz skupiła się na czymś innym. Drużna zagadywała ją, unosiła jej ręce, kręciła głowę, wzdychała. Rozglądała się wokół siebie, uśmiechnięta, uśmiechnięta za bardzo.

Pan młody nie przyjeżdżał, zaraz przyjedzie, już, zaraz, szykował się jeszcze, będzie zaraz, no, ślicznie wyglądasz, Julcia, prześlicznie, tak, za momencik będzie.

Julka Duszna nie denerwowała się, nie martwiła, nie bała niczego. Czekwała spokojnie, bo dobrze знаła swojego Rocha i wiedziała, że nie zrobiłby jej czegoś takiego, wiedziała, że jeszcze pięć minut i się pojawi. Ale Roch nie przyszedł ani za pięć minut, ani za godzinę, ani w ogóle.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

2014–2016

W jednej chwili go nie było, a zaraz znowu był.

Otworzył oczy.

Leżał w jasnym pokoju, w jasnej pościeli, za oknami jasno.

Pamiętał niewiele. Wiedział, że coś mu się stało, nie wiedział dlaczego ani co. Leżał i patrzył.

Wchodził na topolę, to na pewno. Chciał odrąbać najpierw czubek, później niższe gałęzie. A potem?

Potem nic. Ciemno.

Otworzył usta, żeby kogoś zawołać i zapytać, co się stało. Też nic. Spróbował raz jeszcze. Wyrazy zostawały mu gdzieś głęboko w głowie, stękał i chrząkał. Zrobiło mu się gorąco, napiął się cały, zalało go coś mdłego, pustego. Oddychał szybko i próbował krzyczeć.

Nic.

Przyszła pielęgniarka, później lekarz, a jeszcze później mama. Wszyscy mówili to samo: ma się nie przejmować. Spadł z dużej wysokości, ale żyje i to jest najważniejsze. Badania, tabletki i lampką po oczach. Po południu znowu lekarz, ale inny, a zaraz po nim jeszcze dwóch. Ci ostatni dwaj nie mówili już, że ma się nie przejmować, i sami wyglądali, jakby trochę się przejmowali. Jeden stwierdził, że trzeba jeszcze poczekać, drugi potwierdził i użył kilku słów, których Budzik nie rozumiał.

Potem znowu nic. Cisza i ciemno, i ból w plecach. Nie mógł spać, a kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się, jak topola rozrasta się gwałtownie, krusząc dom na kawałki.

Kiedy go wypuścili, stanął przed szpitalem i długo patrzył w niebo. Nazywał się Jacek Budzikiewicz, miał dziewiętnaście lat i od czterech dni był niemową.

Wuj Roch mieszkał w bloku przy ulicy Korczaka: drugie piętro, pięćdziesiąt osiem metrów i balkon. Na miniaturowym stole w kuchni czekała kolacja,

pachniało mięsem z patelni.

Wuj włączył radio, usiedli naprzeciw siebie. Szymek ledwie się mieścił pomiędzy szafką a ścianą. Skubał smażoną w winie kiełbasę, której nazwę od razu zapomniał.

– Ja sobie coś wynajmę – powiedział, podnosząc wzrok.

Wuj zapewnił, że nie trzeba się z tym spieszyć, że on i tak sam, że towarzystwo to nawet może mu się przyda, że rodzina przecież. I tak dalej. Przeszli do pokoju, włączyli telewizor.

Na szafce przy kanapie stały trzy zdjęcia, wszystkie oprawione w niebieskie drewniane ramki, wszystkie czarno-białe, wszystkie stare. Na każdym widniała ta sama dziewczyna, na każdym pogodna, prawie rozbawiona, coś pomiędzy. Szymek patrzył na jej twarz, na jej usta i oczy, i w końcu zorientował się, że patrzy na panią Julię Duszną z Chojen. Była młodsza, szczuplejsza i tak inna od siebie, jak tylko można być od siebie innym.

Obejrzeni wiadomości i odcinek polskiego serialu o polskiej rodzinie z polskimi problemami znanymi jedynie z polskich seriali. Podczas reklam wuj robił przysiady.

– Dla zdrowia.

Później kręcili się obaj po mieszkaniu, jakby szukali czegoś bardzo ważnego i bardzo dobrze schowanego, aż trasy ich tajemniczych wędrówek przecięły się w kuchni, przy małym stoliku – znowu usiedli. Wuj poklepał Szymka po przedramieniu, westchnął, podniósł się, nastawił wodę na herbatę.

– Ja nie wiem, co się stało, że ty chciałeś tu do mnie przyjechać i tu ze mną pracować. Ale może mi tego nie mów. Tylko mam nadzieję, że to, przed czym do mnie uciekłeś, cię tutaj nie znajdzie. – Zalał herbatę, postawił kubki na stole. Posłodził sobie łyżeczką miodu. – Bo wiesz, czasem ucieczka to jest jedyne rozwiązanie, ale najczęściej jednak nie.

Z Korczaka na pocztę był niecały kilometr. Wuj twierdził, że w Koluszkach do celu zawsze jest niecały kilometr.

Szli wśród niskich bloków, później kawałek przez park. Budynek poczty ciągnął się wzdłuż torów kolejowych, niski i niepozorny, jakby składowano tam jakieś narzędzia albo co najwyżej meble, a nie listy do zmarłych i do Boga.

Wydział Nedoręczalnych Przesyłek znajdował się na parterze, wyżej

siedzieli „ci z normalnej poczty”.

Wuj zajmował osobny pokój z szafą jak bunkier i widokiem na dworzec. Tylko tam zajrzeli, bo wuj powiedział:

– Chodźmy do twojego królestwa.

Korytarz, rząd regałów i wykładzina dywanowa w kolorze niewyraźnego wspomnienia. Zapach: jak kartki nowej książki. Drzwi: otwarte. Cztery osoby wśród kartonów i wież z papieru, gdzieś z rogu głos radiowego prezentera.

W głowie szelest Bozi i radosny głos Ciuryska: twoje królestwo, Jaszczur, witaj w swoim królestwie.

Szymek stał i patrzył. Na parapecie paprotki przytulały się do szyby. Tablicę korkową pokrywały grube warstwy pism, notatek, widokówek i listów.

Najpierw powitanie, to jest pani taka, to pan taki, dzień dobry, miło mi ogromnie, witamy, proszę, proszę. Wuj Roch posadził Szymka przy wolnym biurku, usiadł obok, tłumaczył: tu masz pocztę korporacyjną, tu system do obsługi przesyłek, no, trochę się otwiera, musisz poczekać, o, jest, więc tu sobie to uruchamiasz, herbatę możesz pić przy biurku, ale jemy w kuchni, wiesz, zapachy.

Poprowadził go do sięgającego pod sufit regału, i dalej: czyli bierzesz stąd, kwalifikujesz do otwarcia, otwierasz, przeglądasz, co tam w środku jest, czytasz, no, generalnie szukasz, czy tam jest jakiś adres, żeby odesłać, a jak jest, to adresujesz, obliczasz opłatę, umieszczasz na kopercie, odkładasz tutaj i proszę, załatwione, można brać kolejną. Wiesz, czytać całych tych listów nie musisz, bo to czasem straszne rzeczy, zresztą czasu nie ma, tylko tak bardziej, czy jakiś adres, rozumiesz, ale najczęściej żadnego adresu nie ma, więc po prostu idzie to do magazynu, a stamtąd na przemiał, no więc działaj, Szymek, działaj, ja idę do siebie, gdyby coś, to wiesz.

Do szesnastej przeczytał sto dwadzieścia sześć listów.

Adresatką jednego z nich była Święta Maryja, innego Benek, jeszcze innego Kurwiszczke Żaneta. Na czterech w miejscu adresu widniało „piekło”, a dwa zaadresowane były „do Ciebie”. Kilka napisano po śląsku, jeden sporządzono na maszynie. Szymek przeczytał je wszystkie w całości.

W treści żadnego z nich nie znalazł adresu, na który można byłoby odesłać zaginioną korespondencję. W jednym trafił na numer telefonu nadawcy:

zadzwoił, „przepraszamy, wybrałeś niepoprawny numer, prosimy sprawdzić go i wybrać ponownie”. Sprawdził. Wybrał ponownie. To samo.

O szesnastej wyłączył komputer, tak jak inni, i wyszedł z innymi przed budynek, gdzie inni palili. On nie palił. Wieczorem wypili z wujem po dwa piwa i obejrżeli w telewizji film o ludziach, którzy przez dwie godziny do siebie strzelali. Przed snem rozejrzał się po swoim nowym, wcale nie swoim, pokoju. Wuj zapewniał go, że może tam sobie poprzestawiać meble, porobić, co chce. Ma się czuć swobodnie i tak dalej.

Szymek pogrzebał w torbie, wyciągnął zmięte zdjęcie formatu A4, rozprostował je i przykleił nad łóżkiem. Długo stał przed prapradziadkiem Lucjanem, uśmiechniętym czarno-biało, jakby wiedział coś, czego inni nie wiedzą, i jakby wcale nie był martwy od ośmiu dekad.

Kolejne dni i kolejne listy. Pobudka o szóstej trzydzieści, śniadanie z wujem przy dźwiękach TVN 24, krótki spacer, osiem godzin czytania, sprawdzania, wypełniania rejestru, powrót do domu, czasem zakupy, czasem telefon do babci.

Szymek miał wrażenie, że gdzieś daleko jest jakiś prawdziwy on, który robi jakieś prawdziwe rzeczy. Ten tutaj nie był Szymonem Stawnym i nie był nawet Jaszczurem, zrywał kolejne kartki kalendarza, nie zostawiając na nich żadnych śladów. Nie pamiętał, kiedy było mu tak dobrze.

O Budziku dowiedział się od babci. Rozmawiali prawie przez pół godziny, powiedziała mu pod koniec, jakby przy okazji. Twój kolega spadł z drzewa i coś sobie zrobił. Szymkowi przelewały się przez głowę komiksowe obrazy: ciało jak porcelana, otwarte rany, oczy za mgiełką, krew.

– Coś sobie zrobił – powtórzył, czując, że Kuluszki, poczta, wuj Roch i mieszkanie przy Korczaka znikają, że istnieje jedynie głos babci Tosi w słuchawce i jej słowa.

Mówiła spokojnie i niezmiennym tonem, jakby nauczyła się kolejnych zdań na pamięć. Twój kolega spadł z drzewa, zabrali go do szpitala, wszystko z nim dobrze, cały jest, tylko, rozumiesz... nie mówi.

W głowie miał wiele pytań, żadnego nie zadał na głos, babcia tłumaczyła dalej. Twój kolega nie mówi, bo coś mu się stało w kręgosłup, lekarze nie wiedzą, bardzo to jest przykre, ale dobrze, że chociaż żyje, matka się cieszy, że żyje, ale powiedz, Szymek, co u ciebie, jak ci w tych Kuluszkach?

Powiedział, że dobrze, i się rozłączył.

Prawdziwy Szymek pojechałby pewnie do Chojen odwiedzić Budzika, prawdziwy Jaszczur zadzwoniłby do jego matki, wypytał o szczegóły. On nie był jednak ani prawdziwym Szymkiem, ani prawdziwym Jaszczurem: nie zrobił jednego ani drugiego.

Zaliczał kolejne dni i czasami zastanawiał się tylko, czy w jego życiu jeszcze się cokolwiek wydarzy. Nie bał się tego, że coś może się wydarzyć, i nie bał się tego, że może nie wydarzyć się nic. Był ciekaw, tak jak ciekaw bywał przed telewizorem, oglądając losy innych ludzi, równie obce i równie fikcyjne jak jego obecne życie.

Któregoś wieczoru stanął przed zdjęciem prapradziadka Lucjana i długo patrzył w jego roześmiane oczy. Nie wierzył, że ten człowiek kiedykolwiek zabił gołymi rękoma niedźwiedzia, i nie wierzył, że nawet gdyby zabił, cokolwiek by to zmieniło. Człowiek, który zabija w walce niedźwiedzia, i człowiek, który nigdy z niedźwiedziem nie walczy, wyglądają na zdjęciu dokładnie tak samo i tak samo nic oprócz zdjęć po nich nie zostaje.

Zadzwonił do Wery. Odebrała i na początku nie mówiła nic, a potem mówiła dużo.

Pytała, gdzie się podział, i powtarzała, że sama miała się odezwać, ale się bała i było jej wstyd, z tatą nie rozmawia od tamtej pory prawie w ogóle. Poza tym to dostała się na prawo, mieszka w akademiku, bo rodzice w firmie wykazują stratę, więc dostała miejsce i nawet koleżankę w pokoju ma fajną, ale to wszystko jest tak zajebiście bez sensu, bo on też powinien na studia, bo przecież on wcale na tym przystanku, że on właśnie wcale, bo tamci, bo on...

Powiedział, że chce do niej przyjechać, najlepiej od razu, ale jeszcze jutro i pojutrze praca, więc w piątek, przyjechałby w piątek, i niech sobie cały świat robi, co chce, ale on przyjedzie, żeby chociaż jeszcze te dwa dni spędzić razem, a później to już wszystko jedno.

Miała na sobie niebieski płaszcz do połowy uda i chyba skróciła włosy. Pomachała mu obydwoma rękami i opuściła je szybko, może zawstydzona. Uśmiechała się tak, jakby sama nie wierzyła, że się potrafi uśmiechać. Podeszedł, przytulił ją, zanurzył twarz w puchowym kołnierzu. Pachniała

perfumami J'adore, które od kilku lat dostawała od ciotki na święta i których raczej nie lubiła – on lubił. Wdychając ten zapach, pomyślał, że najchętniej położyłby się obok niej w jakimś ciepłym miejscu i patrzył na nią tak długo, jak długo by się dało.

Chodzili w labiryncie świateł i klaksonów, mijali twarze, kamienice, garnitury. Siadali w kawiarniach przy jednej herbacie na dwoje, której i tak nie pili. Wera nie chciała mówić, chciała słuchać, powiedziała, że mówienia ma dość, bo mówi przez cały czas – do ludzi na roku, do dziewczyn z akademika, do pań z dziekanatu. Niech on trochę poopowiada.

Więc opowiadał o listach. Streszczał z pamięci przeczytane historie i dokładał do nich kolejne zmyślane życiorysy. Opowiadał o miejscach, których nie znał, i o osobach, których nigdy nie spotkał. Godziny sączyły się jakby gdzieś obok, Warszawa poczerniała i zapełniła się ludźmi. Wszyscy byli dobrze ubrani i wszystkim się spieszyło. Wera zaprowadziła go na imprezę do akademika, gdzie poznał kilkanaście osób i nie zapamiętał żadnej. Zapamiętał tylko to, jak siada z Werą gdzieś w rogu, wśród szklanek, nóg i butelek. Jak opiera głowę o ścianę i milczy, jak zamyka oczy i wyobraża sobie, że prowadzi ją do jej pokoju, rozbiera i dotyka tak, jakby już miał jej nigdy nie dotknąć. Siedzieli jeszcze trochę, otoczeni uśmiechami, basami i dymem, a potem zaprowadził ją do pokoju, rozebrał i dotykał tak, jakby już miał jej nigdy nie dotknąć.

Kiedy to wszystko się stało? Znów siedział w pociągu: wagon bezprzedziałowy, miejsce przy oknie, ciepło, wygodnie i szum. Myślał o człowieku, który kiedyś był jego ojcem i który miał najbardziej niezwykle hobby na świecie. Tak przynajmniej mówili. Tego człowieka nie było już od dawna i może tamtego dnia, podczas powrotu z koncertu, on też się nie zorientował, kiedy to wszystko się stało.

Za dziecka siadał obok taty przy stole i patrzył, jak tata stwarza w zeszycie nowe światy, ale nie widział w tym nic fajnego – jedynie zeszyt, popielniczkę, długopis i małe, dokładnie stawiane literki. Zastanawiał się teraz, co po śmierci taty stało się z tymi wszystkimi światami, które wymyślił, i z pociągami jeżdzącymi według harmonogramów innych niż ten wywieszony na dworcu. Ze światami i pociągami, które babcia wyrzuciła na śmietnik.

Spoglądał na przerdzewiałe od jesieni wsie, na perony z czerwonej kostki

i miasta rozsmarowane nierówno wokół nich. Weekend z Werą dzieliło od spokoju Koluszek jedno wejście do pociągu, tak jak jedno wejście do pociągu dzieliło jego życie w Chojnach od wszystkiego, co miało być później i o czym nie miał pojęcia.

Wiedział, że już wkrótce ten jeden weekend nie będzie mu wystarczał, że zapragnie ich więcej, ale teraz, w rozszemranym wagonie bezprzedziałowym, na miejscu przy oknie, wciśnięty w kurtkę zwiniętą przy szybie, czuł, że nie potrzeba mu już niczego.

Po powrocie z Warszawy zaczął się rozglądać za pokojem na wynajem. Były tylko dwa – pierwszy u wdowy z siedmioma kotami, drugi z grzybem na ścianie.

Wuj nie był zdziwiony. Koluszki, trzynaście tysięcy mieszkańców, czegoś ty się spodziewał. Zapewniał, że Szymek może zostać u niego, że nawet byłoby mu przyjemnie, przecież nie wchodzi sobie w drogę i tak dalej. Zostań, Szymek, i przestań się wygłupiać.

Został.

U wuja, na poczcie, w Koluszkach. Rok minął prawie niezauważenie.

Szymek codziennie był w Koluszkach i codziennie był w Warszawie – codziennie wtulał twarz w kołnierz płaszcza Wery, chodził z nią po tych samych ulicach, siadał w akademiku przy tej samej ścianie.

Przenikał do Warszawy we śnie, podczas spacerów i długich godzin w pracy, która pracy zresztą nie przypominała. Całymi dniami czytał fragmenty ludzkich życiorysów i próbował znaleźć dla nich jakieś miejsce, w które by je mógł odesłać, a jeśli się nie dało – a zwykle się nie dało – odkładał je na półkę, skąd miały trafić do magazynu i tam zniknąć. Przyjemnie było pomyśleć, że nie znikają całkiem – przerabiano je na papier, na którym za jakiś czas ktoś znowu mógł napisać jakiś fragment siebie, a potem go komuś wysłać.

Po pracy spacerował po mieście i wzdłuż torów, które niknęły w lesie. Układał na szynach monety i zbierał zlepki powstałe pod kołami pociągów. Patrzył na twarze ludzi za szybami i wyobrażał sobie, że jest jednym z nich. Wieczorami oglądał z wujem telewizję, robił z wujem przysiady i jadł z wujem słodycze. W te dni, kiedy wuja odwiedził przyjaciel, tłumaczył, że

umówił się z kimś na piwo, i wychodził. Siedział w barze albo w kawiarni. Któregoś razu wuj próbował porozmawiać z nim o tym, co od dawna wydawało mu się oczywiste: gubił się, zaczynał kilka razy, uciekał gdzieś wzrokiem. Szymek powiedział, że wuj nie musi mu nic tłumaczyć, że on wszystko wie i że wszystko jest przecież w porządku. Przed snem, obserwowany ze ściany przez prapradziadka Lucjana, zwykle wsiąkał w kolorowe historie o zapachu farby. Przy łóżku wznosiła się wieża kupowanych regularnie komiksów, na której, zasypiając, opierał czasami łokieć.

Kilka razy śniło mu się, że idzie z Budzikiem zakopać kocięta – chwyta szpadel i unosi go nad otworem w ziemi, zamyka oczy, odwraca głowę. Stare drewno wysuwa mu się ze spoczonej dłoni, rozlega się krótki i cichy pisk, taki, że go prawie nie ma, i zaraz znowu jest cicho, niby nic się nie zmienia, lecz zaraz zmienia się bardzo wiele.

Do babci dzwonił co tydzień, do Wery codziennie. Mówiła, że po co komu studia, kiedy to właśnie on, Szymek, od razu po liceum zdobył najbardziej niezwykłą pracę na świecie. Śmiał się, a w brzuchu rosło mu coś ciężkiego.

Na kopercie widniało jedno słowo: „OJCIEC”.

Już wtedy wiedział, choć udawał przed sobą, że wcale nie.

Jeszcze O czy I dałoby się zlekceważyć, ale te J i C zbyt często widywał i zbyt często gniótł w pięści, żeby ich nie rozpoznać.

Czuł, że wszyscy na niego patrzą.

Nikt nie patrzył.

Cztery osoby, które pracowały z nim w pokoju, sunęły wzrokiem po własnych listach, wyczekując godziny szesnastej i świata istniejącego nie tylko na papierze.

Powoli rozciął kopertę. W środku kartka z zeszytu, słów kilka, może kilkanaście.

Przeczytał to raz, drugi, trzeci, czytał w kółko i nic już poza tymi koślawymi literami nie widział, obracał list w dłoniach, sięgał po kopertę, odkładał na biurko i sięgał znowu: niemożliwe. Niemożliwe, ale przecież znał to pismo, znał je dobrze z karteczek, które odklejał w domu z ubrań i z plecaka. „Debil”. „Śmierdziel”. „Jaszczur”. Spojrzał na peron za oknem, złożył list Budzika na czworo i schował go do kieszeni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CZTERDZIEŚCI JEDEN LAT WCZEŚNIEJ

Buty, sukienka, kolczyki po mamie. Szczekanie psa za oknem, zapach smażonych jaj i biel poduszki, trochę mokrej. W głowie na zmianę pustka i migawki sprzed kościoła, jak uderzenia młotem w skronie. Julka Duszna leżała na brzuchu z rękoma wyciągniętymi wzdłuż szczupłego ciała, gdzieś pomiędzy kolejnym przebudzeniem i kolejnym zaśnięciem. W tej krótkiej chwili,

kiedy zsuwała się ze snu w jawę, nie pamiętała nic i była nikim, i tak było jej dobrze. Zaraz jednak z powrotem: ojciec, motocykl, uśmiechy, zaraz przyjdzie, kolejne uśmiechy, goście i szepty, no gdzie ten Roch, Roch, Roch, więc zaciskała powieki, dłonie, brzuch i wszystko inne, co mogła w sobie zacisnąć.

Spędziła tak trzy pierwsze dni po ślubie, którego nie było i o którym wszyscy teraz na pewno mówili, bo tacy już wszyscy są. Czwartego dnia wstała, uczesała się, włożyła niedzielą sukienkę. Potem poszła do jednego z tych chłopaków, którzy ją od lat próbowali podrywać, i kazała mu się zerznąć. Nazajutrz odwiedziła innego chłopaka, a ten już wszystko wiedział: pchnął ją na stół i przez cały czas szeptał jej do ucha, co robi Rochowi, jeśli go tylko spotka. Julka nie słuchała, czekając na ten moment, kiedy ciało każe jej zapomnieć o wszystkim, co nie jest jej ciałem.

Przyjazd Józka Kłody do Chojen stałby się może wydarzeniem roku we wsi, gdyby nie fakt, że wydarzeniem roku we wsi był już słynny ślub-nie-ślub. Józek zamieszkał w przybudówce u Budzikiewiczów, z wejściem od ogrodu i oknem na pole jęczmienia. Nikt nic o nim nie wiedział.

Wiedziała jedynie Sabina, wiedziała to, co z listów, ale przecież ten z listów i ten tutaj to byli dwaj zupełnie różni Józkowie, czuła więc, że nie wie więcej niż inni.

Prawdziwy Józek sprawiał wrażenie, jakby na niczym szczególnym mu nie zależało i jakby na nic szczególnego nie liczył. Nosił spodnie na kant, czasami

kapelusz, w niedzielę półbuty i krawat. Wiele rzeczy robił bez powodu – przystawał przy kapliczce, patrzył na zachód słońca, grał na źdźble trawy, uśmiechał się do ludzi. Czasami nie dało się go zrozumieć: mówił tak, jakby w dzieciństwie nauczył się języka, słuchając go przez jakąś grubą ścianę.

Najdziwniejsze w Józku Kłodzie było to, że wnuczka Sabiny, szesnastoletnia Eliza Stawna, nie znenawidziła go po pierwszym spotkaniu i wydawało się wręcz, że być może nie znenawidzi go nigdy. Patrzyła na niego swoimi wielkimi, znudzonymi oczyma i słuchała, kiedy opowiadał jej o świecie innym niż ten.

Jej babcia dobrze wiedziała, że jak się ma sześćdziesiąt siedem lat, to przyjazd nawet pięciu Józków niczego nie zmienia, i powtarzała to sobie do momentu, kiedy ocknęła się przed wybebeszoną szafą, w trzęsawisku splątanych ciuchów i przerażona zrozumiała, że nie ma się w co ubrać.

Nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi, ale przecież to się nie nadaje, to dziurawe, to do wyrzucenia, w tym wygląda jak głupia, tego nie włoży za żadne skarby, tego tym bardziej. Wzięła się do szycia, cerowania, rozpruwania i szycia na nowo, a Tośka bez słowa jej pomagała. Jej milczenie denerwowało Sabinę, która wolałaby już, żeby córka docinała jej, uśmiechała się pod nosem, cokolwiek. Siedziały przy stole w kuchni, pod kłębowiskiem suszonych kwiatów, które Michał rozwieszał w całym domu, a po co większych poprawkach wstawiały, przymierzały, wygladzały, porozumiewając się mruknięciami i ruchami głowy.

Podczas pierwszego spaceru Sabina mówiła takie bzdury, że po powrocie do domu chciało jej się ryczeć. Słuchała samej siebie, coraz bardziej zdziwiona tym, co jej ciało wypowiadało na głos. Dotychczas zawsze chodziło o innych, o pole albo o dom, a teraz, z tym eleganckim mężczyzną u boku, w kółko tylko ja, ja i ja.

Któregoś razu spotkali w lesie Julkę Duszną. Józek opowiadał właśnie o tym, jak to jego ojciec w wieku siedemdziesięciu lat złapał w strumieniu pstrąga rękami, i wtedy nagle ona: wyprostowana, z głową zadartą do góry. Błada plama na tle pni.

– Julka?

Odwróciła się.

Szczuplejsza niż zwykle, rozczochrana i z ciemnymi obwódkami oczu

prawie w ogóle nie przypominała siebie wysiadającej z motocykla przed kościołem. Popatrzyła na Sabinę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Usiadła na ziemi. Wrywała trawę i rzucała nią przed siebie.

Sabina podeszła do niej, położyła jej rękę na plecach, nabrała powietrza, powiedzieć nic nie zdążyła. Głos Julki był spokojny.

– Wie pani, bo ja myślałam, że jak się będę kurwić, to mi przejdzie, ale nie, nie wiem, chyba... chyba nie przeszło. Boję się, że mi nigdy nie przejdzie.

Cisza aż pulsowała w uszach, tylko dzieciół gdzieś w oddali terkotał urywanymi seriami. Sabina chciała coś powiedzieć, będzie dobrze, no już, już, cokolwiek – nie powiedziała nic. Odezwał się za to Józek. Mówił powoli, że teraz pozostaje czekać i choć oczywiście takie czekanie to jest najtrudniejsza rzecz, to niestety trzeba. No, on, Józek Kłoda, zna się na czekaniu jak nikt inny, on przez większość życia czekał, ale się udało, więc doczeka się i ona.

Pszenica, świnie, kartofle, króliki, jęczmień, przepiórki, buraki i mak. Niedziele, święta, upał i mróz. Tośka wstawiała na długo przed świtem, budziła Michała i razem wychodzili w zimny, szary świat, który trzeba było orać, karmić, żąć i oprzątać. Matce nie zwracała głowy, córce zwracać się bała.

Spoceni i brązowi od słońca ścigali się z czasem, z deszczem, ze stonką. Wieczorami Tośka parzyła sobie herbatę i zanurzała się przy kuchennym stole w życia mamy, córki, sąsiadów. Słuchała z przekrzywioną głową, a napięte przez cały dzień ciało rozluźniało się pod fałdami ubrania. Patrząc na córkę, myślała o swoich snach: Eliza z papierosem na ławce przed francuską kawiarnią, Eliza z książką w wagonie kijowskiego metra, Eliza biegnąca po moście nad Tamizą. Zdarzało się, że wstawiała wtedy, podchodziła po coś do kredensu i muskała córkę łokciem, dotykała biodrem albo wyciągała jej z włosów niewidzialną smugę pajęczyny, żeby się upewnić, że nadal tu jest.

Michał ślęczał wtedy nad swoimi miksturami w stodole albo znikał w starym głębokim fotelu i czytał. Zdarzało się, że podczas pracy w polu i w obejściu opowiadał jej wszystkie te straszne, dziwne i zabawne historie, które wydarzyły się naprawdę albo tylko na niby.

Jeśli udało im się skończyć wcześniej, Tośka smarowała smalcem kilka kromek, układała je na dużym talerzu i siadali w sadzie, w cieniu. Michał przynosił jej coś w pięści i kazał zamykać oczy. Podsuwał pod nos, zgaduj.

– A to znasz? – pytał zaraz, podając kolejny korzeń, pączek, liść.

Wąchała, wzruszała ramionami, tak, znam. Weź no lepiej opowiedz, Michał, co tam ostatnio na świecie. Wyciągał wtedy nogi, dłonie splatał na brzuchu i relacjonował to, co wyczytał z gazet: w USA ciągle głośno po tej aferze z prezydentem, ktoś wymyślił taki samolot, co lata szybciej niż dźwięk, a w dżungli

na Filipinach, w cholerę daleko od Polski, znaleźli jakiegoś żołnierza, co się tam ukrywał od wojny. Tośka myślała, że to jest wszystko bardzo nieudane, skoro ona siedzi tutaj, w sadzie, a gdzieś indziej w tym samym czasie dzieją się takie rzeczy. Przecież jeśli tak jest, to ten cały świat to jeden wielki kompostownik, gdzie wszystko wrzucone jest jak popadnie i gdzie wszystko w końcu zgnije.

Czasami siadała z nimi Eliza. Patrzyła na mamę i wuja, tak jak się patrzy na ciekawe zwierzęta widziane po raz pierwszy w życiu. Miała siedemnaście lat i na tyle wyglądała – oprócz oczu, które sprawiały wrażenie, jakby należały do kogoś znacznie starszego.

Jednego wieczoru, kiedy jej wuj poszedł zerwać jabłek, westchnęła i patrząc gdzieś przed siebie, oświadczyła:

– Boże, jak ja bym chciała nienawidzić tego zasranego Gracjana.

Tośka obróciła się do niej i wyciągnęła rękę, jakby chciała ją pogłaskać, ale zaraz cofnęła. Z ulgą dostrzegła wracającego Michała. Zjedli po jabłku, a potem, jak co tydzień, poszli do Nagórnych obejrzyć *Czterdziestolatka* i napić się kawy.

W ciągu kolejnych dwóch lat Sabina wybrała się z Józkiem na spacer siedemdziesiąt osiem razy. Liczyła. Najczęściej chodzili do lasu pod Boguszyńcem, czasem w stronę Grzegorzewa, do Miasta ani razu. Na widok nadjeżdżającego pociągu zatrzymywali się i machali pasażerom. Józek zdejmował wtedy kapelusz i poprawiał te parę włosów, które uparcie trzymały mu się głowy.

Podczas siedemdziesiątego ósmego spaceru Sabina usłyszała za plecami nagły szelest. Odwróciła się: wilk, dzik, nie, wiewiórka, zwykła wiewiórka, no przecież.

Sabina zaśmiała się, spojrzała na Józka, Józek za mgłą i wszystko jakby mniejsze.

– A to się... – zaczęła. Oddech, jeden, drugi. – A to się wystraszyłam.

Kiedy upadała na ścieżkę, próbowała jeszcze złapać Józka za rękaw, ale materiał wysliznął jej się z palców.

Józek zmarł niecały rok później. Zmarł w łóżku, na serce – tak najlepiej, mówili w Chojnach, niechby tak mógł każdy, toby się człowiek zdychania bał może trochę mniej.

Znalazł go Andrzej Budzikiewicz, który raz w tygodniu przywoził mu z Miasta gazetę. Andrzej miał dwadzieścia dwa lata i po raz pierwszy widział z bliska martwego człowieka. Martwy człowiek wydał mu się dziwnie rozczarowujący: nie wzbudzał ani przerażenia, ani wstrętu, może tylko trochę onieśmiał, jak widok nagiego ojca, podejrzanego przypadkiem podczas przygotowań do kąpieli.

Podszedł do niego, chwycił za rękę: zimna. Czoło: zimne. Cały zimny. Na wszelki wypadek potrząsnął nim jeszcze, uważnie obserwując uchylone usta, a potem przeżegnał się i wyszedł.

Po pogrzebie Józka Tośka stanęła w sieni i spojrzała na siebie w lustrze: zmarszczki wokół oczu, smugi siwych włosów, sflaczała szyja. Wszystko to jakby obce, jakby nie jej, ale głos w głowie mocny, dźwięczny, tak, teraz to ty jesteś w rodzinie najstarsza, nikogo już pomiędzy tobą a zmarłymi nie ma.

Denerwowały ją takie myśli, tak samo jak denerwowały ją te pieśni pogrzebowe, przy których nic, tylko się masowo wieszać i truć.

Postanowiła, że się postara, aby, kiedy już przyjdzie jej pora, na pogrzebie zaśpiewali jej takie wesołe piosenki, żeby się ludzie posrali ze śmiechu. O wesołych piosenkach mówiło się wtedy zresztą sporo, bo w Grzegorzewie miała się odbyć potańcówka. Tośkę niezbyt interesowały potańcówki – przypominały jej o tamtej wrześnieowej majówce sprzed lat i o tamtym człowieku, którego już dawno nie było na świecie.

Eliza przygotowywała się, ćwicząc kroki w stodole. Nie pozwalała się podglądać, pytania zbywała wzruszeniami ramion. Jedynie raz poprosiła Tośkę, żeby poszła z nią i zatańczyła, bo chce coś sprawdzić.

– Ty jesteś mężczyzną – powiedziała poważnie, kładąc sobie rękę mamy na biodrze.

Tańczyły, każda w swoim rytmie i każda po swojemu, udając, że wychodzi im lepiej, niż wychodziło w rzeczywistości. Na koniec Eliza uśmiechnęła się, odkleiła od mamy, i tyle. Każda wróciła do swoich spraw i tylko Tośka miała wrażenie, że wydarzyło się coś ważniejszego niż zwykle, choć nie wiedziała co.

Podejść, nie podejść, podejdzie, nie podejdzie – podeszła.

Najpierw o głupotach: jak mu się podoba, czy nie za głośno, że wystrój ładny i że tak, ona też przyszła ot tak sobie, zobaczyć. Momentami wydawało jej się, że ucieszył się z tego spotkania, ale zaraz doszła do wniosku, że może w takich sytuacjach zawsze momentami tak się wydaje, mówiła więc coraz więcej, nie do końca chyba z sensem, jakby podeszła tam do niego z jednym, długim, nikomu niepotrzebnym zdaniem, i coraz bardziej denerwowała się na siebie za to, że tego długiego zdania nie przerywa, że wciąż gada o znajomych, o sąsiadach, o Mieście, o wszystkim, co przychodziło jej na myśl.

Gracjan patrzył na nią spokojnie, kiwał głową, co jakiś czas tylko „tak”, „no” albo „pewnie”. Wyprostowany jak to on, uważny, niby uśmiechnięty, ale jednak nie.

Eliza rozejrzała się, westchnęła, aż gdzieś ze środka niej wypadło głośne i wykrztuszone:

– To może byśmy zatańczyli?

Patrzyła na niego, czując, jak pod skórą na twarzy wszystko w niej nagle płonie, jak brzuch robi się coraz cięższy, głowa lżejsza, a ona cała, Eliza Stawna, nagle jakby mniejsza. Poczwała, jak świat wokół niej przeskakuje o jedno tyknięcie, którego już nie zdoła cofnąć, zmasać.

– Ja to tak z tańczeniem chyba nie za bardzo, wiesz, Eliza, ja... – zaczął Gracjan.

I nie musiał mówić już nic więcej. A więc teraz przeczekać, przeczekać, uciec i nie wracać. Tak robi, przeczeka jeszcze to, co Gracjan powie, bo przecież powie, ale ona nie będzie już słuchać. Odliczy w myślach do dziesięciu, odwróci się i wyjdzie.

Szła wzdłuż torów kolejowych. Powoli, często przystając. Miała łzy w oczach i obolałą nogę. W ciemności wpadła do rowu, rwało od stopy w górę.

Jej życie właśnie się skończyło. Do tej pory trwało szybciej lub wolniej, ale trwało – dalej nie było już nic. Dalej było ciemno, ciemno od miedzy do miedzy, rozgarniała to ciemno, potykała się o nie, noga bolała, wszystko bolało, głowa chyba najbardziej.

Nie wiedziała, że życie będzie trwało dalej i bardziej: że wkrótce wyjedzie do obcego miasta w obcym kraju, gdzie zrozumie, że najlepiej to jej jednak było tu, w Chojnach, i że uprzejme słowa oraz przepaszający uśmiech Gracjana Knopa to nie koniec świata. Nie wiedziała, że tego wieczoru Gracjan Knop po raz ostatni stał naprzeciw niej i że po raz ostatni stał naprzeciw kogokolwiek.

Potańcówka trwała dalej.

Gracjan krążył wśród spoconych twarzy, rozgrzanych ciał, śmierdzących bimbrem oddechów. Wokół wrzawa, śmiech i jazgot akordeonu. Julkę Duszna zobaczył, kiedy już zbliżał się do wyjścia: wyglądała jak ktoś, kto być może dałby się namówić do tańca, ale oni widać tańczyć nie chcieli. Stali przed nią półkolem, czterech. Pryszczaty brunet z gospodarstwa pod samym Miastem pochylał się nad nią, z rękoma na jej biodrach. Julka strącała te dłonie, próbowała strącać, a chłopak patrzył na nią poważnie i mówił coś szeptem. Gracjan znał takie spojrzenia i takie szepty. Podszedł bliżej, usłyszał słowa bruneta:

– Pójdiesz teraz z nami wszystkimi i będzie tak, jak lubisz.

Julka nie poruszyła się, chłopak dalej trzymał jej ręce na biodrach, a Gracjan podchodził coraz bliżej i bliżej, oddalając się od wyjścia. Widział, jak Julka Duszna otwiera usta, jak się krzywi, nie mogąc znaleźć słów.

W następnej chwili brunet zachwiał się i stracił równowagę. Zdjął ręce z bioder dziewczyny, szarpnęło nim znowu. Jakieś ciało z tłumu rzuciło się na niego, wymachując pięściami, i dopiero po chwili Gracjan zrozumiał, że to jego ciało, jego pięści. Bił z całej siły, przy każdym ciosie wydawał głośne stęknięcie.

Muzyka dudniła, a on tańczył po swojemu, pochylony, z rękoma przed twarzą. Pierwszych dwóch uwalil zamaszystymi ciosami, aż chrupnęło mu w dłoni. Trzeci chwycił go za kołnierz, okręcili się, orkiestra grała. Gracjan wierzgał, zaparł się o ścianę, uderzył głową w nos. Tamten zwolnił uścisk, zaraz przytrzymał mocniej, znów tańczyli. Ciepła krew bruneta spływała

Gracjanowi za koszulę, ręce pchały się do szyi.

– Kurwo ty... – usłyszał przy uchu zmęczony, wyszarpany z gardła szept.

Podbiegli pozostali, obracał się i bił na oślep, trafił raz, drugi, za trzecim zwichnął rękę. Skulił się, poczuł, że pęka mu coś w boku. Czuł padające ze wszystkich stron ciosy i kopniaki, wreszcie zwałił się na ziemię, osłonił głowę, krzyczał, że już, już, już!

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1975 roku Julka Duszna po raz ostatni w życiu była na potańcówce, Eliza Stawna postanowiła, że nigdy więcej nie odezwie się do Gracjana Knopa, a Gracjan Knop na zawsze przestał chodzić. Obudził się rano we własnym domu, przyschnięty do prześcieradła rdzawym strupem, obolały od pasa w górę, z lewym okiem przysłoniętym opuchlizną. Leżał, wygrzebując z pamięci szczegóły bijatyki i próbując oddychać w taki sposób, żeby nie bolało. Bolało i tak. Mama chodziła wokół niego, dotykała, płakała, modliła się głośno. Pamiętał, że do domu zawlókł go Michał Stawny, że przez większą część drogi niósł go na ramieniu jak wór i że wyglądał później, jakby właśnie brał udział w świniobicciu.

Poza tym pamiętał niewiele. Julkę Duszną, tak, ją i paru facetów. Nie lubił Dusznej tak samo jak innych ludzi, którzy sprawiali wrażenie, że wszystko im w życiu przychodzi bez trudu. Tak, pamiętał, że stała przy ścianie, a przed nią paru pijanych, uśmiechniętych w złości, jeden ją macał i syczał coś do ucha. Gracjan nie chciał jej bronić, nie chciał się pakować między nich wszystkich, nie chciał się bić i być bitym, to wszystko wydarzyło się samo. Teraz ból gryzł mu ciało i szarpał, raz słabiej, raz mocniej, ale ciągle. Jedyne pocieszenie w tym, że przynajmniej nogi miał całe – nogi go nie bolały.

Postanowił wstać. Nie wstał. Wierzgął, podparł się na łokciach i wtedy dotarło do niego, że nie może – jakby ugrzązł w mokrej glinie, która przez noc stwardniała. Myśl jak żyletka przez oczy: nie może chodzić, nie będzie chodził, nie teraz, ale już nigdy, życie właśnie pękło, nie będzie już życia.

Eliza najpierw bała się z nim rozmawiać, a kiedy odwiedziła go, z uśmiechem,

z czekoladą i w ogóle, przyjął ją jak kogoś obcego. Miał inną twarz i cały był inny, jeszcze drobniejszy niż zwykle. W trakcie rozmowy, której ciężar prawie zupełnie wzięła na siebie, zaczął nagle bić się pięściami po nogach. Nie mówił nic, nie krzyczał, tylko walił wściekle, a ona zerwała się z fotela i uciekła. Wracając biegiem do domu, po raz pierwszy pomyślała, że może to przez nią – że może gdyby nie podeszła do niego na potańcówce, to wszystko by się nie zdarzyło. Próbowwała rozmawiać z nim jeszcze kilka razy, ale zawsze kończyło się tym samym: on milczący naprzeciw niej i nagle te pięści. Podczas ostatniej wizyty, zanim zostawiła go z jego furią, pochyliła się i pocałowała go w czoło. Wyszła za bramę gospodarstwa Knopów i nigdy już tam nie wróciła.

Działo się dużo, coraz więcej. Gracjan Knop zniknął ze świata, istniał już tylko we własnym łóżku, pod własną pierzyną. Julka i Eliza żyły coraz dalej od siebie i tylko czasami, spotykając się na drodze albo w sklepie, przypominały sobie, że kiedyś potrafiły rozmawiać o czymś więcej niż tylko o nieistotnym „co słychać”. Michał nagotował w stodole czegoś w rodzaju wody kolońskiej, czym psikał się co rano i co usiłował sprzedawać sąsiadom. Tośka próbowała udawać przed sobą, że w tym, jak patrzy na nią młody Andrzej od Budzikiewiczów, nie ma nic dziwnego, ale nie szło jej udawanie, bo od pewnego czasu patrzył na nią tak, jakby miała znacznie mniej niż czterdzieści cztery lata.

Któregoś razu spotkała go przed sklepem Dusznych, siedział na ławce i palił. Podniósł się na jej widok, wygładził długie włosy. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, bardziej jednak o niczym, a on ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Miała wrażenie, że gdyby mógł – a może mógł? – zaciągnąłby ją w pobliskie krzaki i pożarł. Miała też wrażenie, że gdyby mogła – a przecież nie mogła – dałaby mu się pożreć.

Od tego czasu widywali się jakoś częściej, zawsze przypadkiem i zawsze na krótko, zawsze kończyła ona, muszę już wracać, miło cię było zobaczyć, to ja już pójdę i tak dalej. Powtarzała sobie, że to przecież nic.

Roch Borucki nie istniał. Nie odwiedzał Chojen, w Mieście chodził tylko do pracy i z powrotem. Nie rozmawiał, kiedy nie musiał, a najczęściej nie musiał. Urosła mu gęsta ruda broda, w której, zamyślony, często zanurzał palce.

Wieczorami oglądał trzy zdjęcia, które dała mu Julka, i wił się pod kołdrą, wyczekując snu. Rano spoglądał w lustro i powoli wkładał na siebie zrzucone wieczorem ubranie. Opuszczając stancję, kiwał głową pani Bałdysowej, lustrującej zazwyczaj z okna podwórko, i równym krokiem pokonywał drogę do budynku poczty, w którym zniknął wśród papieru i pieczętek. Nie istniał przez osiem godzin, a później nie istniał dalej.

Tośka czuła upływający czas na swojej skórze, widziała go w lustrze. Kolejny rok znowu minął szybciej niż poprzednie, pozostawiając po sobie tylko drobne ślady: dodatkową zmarszczkę przy oku, kilka nowych nitek siwizny na głowie.

W przeciwieństwie do Rocha zazwyczaj istniała, a jednego dnia istniała szczególnie.

Nie wiedziała, jak to się wydarzyło, tak jak nie miała pojęcia, jak wydarzyła się większość ważnych rzeczy w jej życiu. Ranek normalny, dzień normalny, w kuchni, potem wieczór, postać na drodze, rozmowa, śmiech – i nagle jest tutaj, stoi przyciśnięta do ściany ciałem, które jeszcze minutę temu było Andrzejem Budzikiewiczem. Ciało pachnie przemysławką i rozgrzaną skórą. Ciało rozbiera ją, milczy. Twarz zakryta cieniem. Tośka mówi, żeby ciało przestało, że ona musi już iść – nie mówi, chce powiedzieć, wszystko urywa się w tym szybkim oddechu, pod tymi gwałtownymi dłońmi. Nie wie, jak to się stało, ale leży pod ciałem z zamkniętymi oczyma i nie myśli o niczym, po raz pierwszy od dawna nie myśli o niczym.

Przez cały ten czas Andrzej Budzikiewicz nie powiedział ani słowa. Tylko na nią patrzył. Żył tańczyły mu na szyi i barkach, pierś pokrywały gęste, czarne kłęby.

Nie wiedziała, jak to się stało: oto Andrzej Budzikiewicz, lat dwadzieścia parę, Boże uchoj, siedzi oparty o poduszkę, z wilgotnymi włosami przyklejonymi do czoła.

Miała nadzieję, że się nie odezwie; wiedziała, co się w takich chwilach mówi, i wiedziała, że nie chce tego słyszeć. Andrzej patrzył na swoje dłonie, głos miał cichy, jakby szeptał do siebie. Nie mówił tego, czego się po nim spodziewała. Mówił o topoli.

O topoli, którą posadził pradziadek i która rosła tak pięknie, tak szybko. Ojciec powtarzał, że przy takim drzewie tuż obok śpi się lepiej, że żyje się lepiej, że człowiek się czuje bezpiecznie. Andrzej siadał czasem oparty

o kurnik i patrzył na czubek drzewa. Wydawało mu się wtedy, że wszystko jest na swoim miejscu i że wszystko będzie dobrze.

Wiedział, czego chce od życia: chciał przejąć gospodarkę po rodzicach, dokupić kiedyś hektarów, rozbudować oborę, hodować dziesiątki świń. Będzie miał żonę i dużo, dużo dzieci. Ludzie go będą szanować, będą...

Urwał, popatrzył prosto na nią.

– Ale tak prawdziwie to ja wcale nic takiego nie chcę.

Po tym, co się właśnie wydarzyło, Tośka bała się zapytać, bała się usłyszeć w odpowiedzi własne imię, mimo to zapytała: czego więc chce?

Andrzej wzruszył ramionami. Zamknął oczy i wyglądał tak, że przez ułamek sekundy żałowała, że jednak nie wypowiedział jej imienia.

Za oknem i za drogą, ponad zaśnieżonym dachem domu Budzikiewiczów kołysał się wolno wierzchołek topoli.

Wracała jak pijana. Lewa, prawa strona drogi, przed oczami blada mgła. Andrzej Budzikiewicz, dwadzieścia dwa lata, Jezu Chryste, oszalała.

Dwadzieścia dwa lata i ona, która go pamiętała w pieluchach, rozbeczanego, z gilami pod nosem. Przecież taki Andrzej zaraz rozpowie, co się stało, i całe Chojny będą miesiącami dudnić o niej jak o Julce Dusznej.

Oddychała głęboko, nic już teraz nie zrobisz, jutro poprosisz go, wyblagasz, żeby nie mówił, a sama zajmiesz się czymś więcej niż tylko pruciem ziemi i wieczornymi rozmowami z bratem równie dziwnym jak ty. Zajmiesz się córką, na groby wreszcie pójdziesz, kiedy byłaś? Dwa, trzy miesiące temu? Pół roku? Ojciec, pan Drews i Niewidzialny Człowiek, wszystkich ich masz w dupie.

Szła coraz szybciej i coraz mniej chwiejnie, przed domem zatrzymała się, oparła o pokrywę studni. Koniec z tym wszystkim, koniec z tym półżyciem, teraz wszystko już będzie inaczej. Teraz będzie żyć i zmusi do życia Elizę. Będzie spędzać z córką więcej czasu i będzie uważna, nie pozwoli, by i ona zostawiła ją jak Niewidzialny Człowiek.

Ruszyła w stronę tego nowego życia energicznie: jeden krok, drugi, drzwi na całą szerokość, para z ust. Weszła do domu, tupiąc i otrzepując śnieg z ramion.

Eliza stała w kuchni, ręce wzdłuż ciała, ciało nieruchome.

– Wyjeżdżam, mam – powiedziała, zanim Tośka zdążyła się rozebrać. –

Będę studiować.

Na piecu bulgotało, w powietrzu zapach cebuli.

Tośka popatrzyła na nią, odchrząknęła.

– Dokąd?

Przygotowała się w myślach: do Poznania, do Warszawy, byle nie dalej, byle nie Kraków jakiś, Szczecin broń Boże.

Eliza odwróciła się do niej tyłem, zamieszała w garnku.

– Do Kijowa.

Tego samego dnia, kiedy Eliza Stawna powiedziała mamie o wyjeździe, Julka Duszna usiadła w kuchni naprzeciw schorowanego ojca i obiecała, że przejmie po nim sklep. Kilka godzin później, leżąc w ciemnościach, obiecała też sobie, że nigdy w życiu nie obsłuży nikogo, kto choć trochę będzie jej przypominał Rocha.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

2016

Mógł na ten list nie trafić, mógł go nie przeczytać, ale trafił, przeczytał. Siedział teraz w pizzerii Laguna przy Kościuszki, siedział sam, godzina dwudziesta druga czterdzieści pięć, czwarte piwo dopite, kartka na stole przed nim, pismo wciąż to samo, wciąż znajome, cztery piwa na nic.

Przeczytał list sto, tysiąc razy, nieważne. Znow spojrzał na kartkę:

Chciałem ci ściąć tą topolę i co? Po co ja w ogóle

Przez ciebie i przez nią teraz nic nie mówię nic przecież ja byłem normalny

Ja tak nie chcę Słyszysz?

Trzydzieści jeden słów bez daty i podpisu, trzydzieści jeden koślawych słów na kartce w kratkę o postrzępionym brzegu. Szymek czytał je w kółko i oddychał głęboko. Koluszki, wuj i praca na poczcie, życie bez życia, a i tak od Budzika i Chojen nie da się uciec, Chojny przyjdą do ciebie same, w ten czy w inny sposób przyjdą i będziesz siedział w pizzerii Laguna przy Kościuszki, nad czwartym piwem, z szumem w głowie.

Złożył kartkę, zapłacił i wyszedł w chłodną noc. Szedł szybko, ręce wciskał w kieszenie. Palcami prawej dłoni dotykał papieru, którego kilka tygodni wcześniej dotykał Budzik, i wiedział, że to nic nie znaczy, tylko ciało wiedziało po swojemu: stwardniałe, spięte, każdy oddech jak cios.

Drugi list przyszedł jedenaście dni później. Szymek udawał przed sobą, że nie przeszukuje całej sterty, że nie wypatruje znajomego pisma. Wreszcie trafił, znalazł, jest: „Do ojca”, biała koperta, brak znaczka.

Jak przestałem mówić to wszyscy teraz na mnie patrzą tak jakbym nigdy nie mówił

A przecież ja byłem normalny Poszedłem dzisiaj za oborę posiedzieć
Ta stara brona to tak zardzewiała, że aż się rozpadła.
Rdza sama leży, płatki takie jakby. Ale część to wsiąknęła w ziemię i gdzieś
sobie jest. Tata ja nic nie mówię nie mogę mówić co to jest?

Jacek

Następny dwa dni później:

To nie jestem ja to nie ja ja jestem normalny ja umiem mówić wszystko
przez ciebie
topola jebana pierdolona topola kurwa mać
A dzisiaj widziałem pod sklepem Hołowczyca i czy on też nie był kiedyś
normalny?
może był

Wujowi ani babci nic nie powiedział – co miałby powiedzieć? Powiedział
tylko Werze, przez telefon, na jednym wydechu, zanim zdążyła rzucić choćby
„cześć”.

Wysłuchała go, pytała, czy jest pewien.

Był.

Pytała, czy listów było więcej.

Nie wiedział.

Pytała, czy on powinien je w ogóle czytać, czy to jest w porządku. Przecież
to Budzik, kiedyś kolega.

Później unikali tego tematu, opowiadał już tylko zmyślone życiorysy
odbiorców i nadawców, tak jak dawniej, choć niewiele już było jak dawniej.
Raz w miesiącu odwiedzał Werę w Warszawie. Pytania o Budzika zbywał,
zapewniał, że po tamtym trzecim liście wszystko się skończyło.

Listy przychodziły regularnie, co dwa–trzy tygodnie, zawsze zaadresowane tak
samo, zawsze spisane na takiej samej kartce w kratkę. Wydawały się nie mieć
początku, środka ani końca, rozlewały się po papierze bez celu.

Nic.

Nic nic nicnicnic

Wczoraj szedłem pod wiatrak to się zatrzymałem tam gdzie ta stodoła się spaliła

Jak była wojna. Z tymi, co się tam spalili to może jest tak samo jak z tą bronią co po niej została rdza. Może oni też trochę tu zostali i trochę jeszcze gdzieś tu są?

Nic nie mówię ciągle nic nic nic

A tej rdzy po bronie to do domu wziąłem
trzymam w szklance

Szymek chował je w szufladzie i zabierał do domu. Procedura nie przewidywała tego, że pracownik poczty osobiście może znać nadawcę i adres, na który mógłby list odesłać, więc Szymek nie odsyłał listów Budzika, składował je pomiędzy stronami komiksów. Były bezpieczne w światach bardziej kolorowych niż ten.

Tośka nie potrafiła powiedzieć, kiedy to się zaczęło, ale zaczęło się i trwało, aż zrobił się z tego rytuał.

Budzik przychodził po południu, okrążał dom, siadał na niedokończonym tarasie. Z początku nie wiedziała, czy przychodzi tak wyłącznie do niej, czy do innych również. Nie zawsze miała ochotę z nim rozmawiać – wtedy siedział sam i po paru godzinach wracał tam, skąd przyszedł, jakby nie robiło mu różnicy, czy Tośka wyjdzie w końcu przed drzwi balkonowe, czy nie.

Teraz najczęściej wychodziła. Z herbatą, z kawą, z sokiem. Zaczęła kupować je dla niego. Najbardziej smakował mu grejpfrutowy, tak przynajmniej jej się wydawało. Chodziła z Michałem do sklepu i kazała mu dźwigać całą zgrzewkę, tłumacząc, że polubiła na starość.

Budzik najbardziej przypominał ojca z profilu. Siadała obok niego, rzadko naprzeciw. Kiedy mówiła, patrzył przed siebie i mogła sobie wyobrazić, że rozmawia z Andrzejem. Najpierw opowiadała o tym, co się działo tu i teraz, myślała, że wolałby posłuchać o czymś takim. Opowiadała o tym, jak to jest każdego dnia budzić się coraz słabszą i coraz bardziej zagubioną we własnej głowie. Później zaczęła dryfować w swoich historiach coraz głębiej w przeszłość i sama się dziwiła, co jeszcze można tam znaleźć.

Bombardowanie, ciemność wagonu kolejowego, góry i Stary Góral Kłoda. Siekiera i widok dwóch odrąbanych palców, które jeszcze przed chwilą się czuło, które zawsze przecież były tobą. Majówka we wrześniu. Niewidzialny Człowiek. Bezsensowna śmierć na kawałku sznura. Andrzej Budzikiewicz, jego ojciec, tak, jego ojciec, przystojny i porządny mężczyzna, teraz o takich trudno, teraz u mężczyzn można znaleźć tylko jedno albo drugie. Twój ojciec długo nie chciał mieć dzieci, opowiadała, bo bał się, że one też, tak jak jego rodzice, będą musiały oglądać spadające z nieba bomby i wdychać smród palonych ludzi. Tak, długo nie chciał, ale urodziłeś się ty i zobacz, przecież cię kochał.

Lubiła mówić o Elizie, o jej dziecięcych kapryśkach, o niechęci do ludzi, o wyjeździe do Kijowa, na który nie chciała się zgodzić i na który nie mogła się nie zgodzić, o mężu Elizy, o jego dziwacznym hobby, o synku Elizy, o Szymku, tak, przecież Szymka znasz. Na dźwięk ostatniego imienia chłopak brał głębszy oddech, ale mogło jej się tak tylko wydawać, bo w tym wieku człowiekowi wszystko już się może wydawać.

Zacząła wypatrywać tych wizyt i kiedy się nie pojawiał, chodziła po domu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wanda Budzikiewiczowa odwiedziła ją raz – zapytała, czy jej te wizyty syna nie męczą. Tośka wzruszyła ramionami. Czemu by ją miały męczyć? Jak zawsze próbowała znaleźć na twarzy sąsiadki coś, co potwierdziłoby, że Andrzej powiedział jej o tym jednym zimowym wieczorze sprzed lat, ale tradycyjnie nic takiego nie znalazła.

Na twarzy jej syna dostrzegała jeszcze mniej. Czasami po wypiciu szklanki soku wydobywał z siebie krótkie „bo”, które przypominało bardziej beknięcie niż załączek słowa. Zastanawiała się, czy gdzieś tam wewnątrz jest jeszcze ktokolwiek, czy to tylko ciało porusza się już samo, bez człowieka w środku.

– Ja nie wiem, dlaczego ty do mnie przychodzisz, Jacek, ale jest mi miło – powiedziała któregoś razu, kiedy chłopak otrzepywał już po swojemu spodnie przed odejściem. Odwrócił się do niej plecami i zniknął między jabłoniemi.

Powiedziała mu to, czego nie mówiła nikomu. Serce biło spokojnie, nie ona mówiła, mówiło coś za nią.

– Widzisz tę jabłoń tam, tę suchą? Nic już z niej prawie nie pozostało. Mamusia moja pod koniec życia spacerowała dużo z takim panem Józkiem, co tu dla niej z innego świata zjechał, jeszcze cię wtedy nie było. I po jednym

takim spacerze przyszła do mnie, powiedziała mi, że tam właśnie, pod tą jabłonią, zakopali mojego dziadka, tego, co na Syberii niedźwiedzia gołymi rękami ukatrupił, zapewne słyszałeś. Schorowany był na starość bardzo, a jedyne, czego chciał, to żeby go tutaj, na jego ziemi pochować, nie na cmentarzu. Cmentarzy się bał.

Potarła dłońmi o uda, mówiła dalej:

– Parę miesięcy później przyszedł podobno jakiś urzędnik z miasta, trochę wypytywał, ale jakby mu się nie chciało. Tylko raz przyszedł, potem był już spokój. Tak nas jest na świecie dużo, że jeden człowiek wart jest właściwie niewiele, a jeden martwy człowiek tym bardziej, nawet jeśliby zabił niedźwiedzia.

Rytm kolejnych tygodni wyznaczały listy od Budzika.

Szymek kilka razy dziennie przetrząsał sterty niczyjej korespondencji, czasami zostawał po godzinach, żeby sprawdzić przesyłki segregowane przez innych pracowników. Bał się przegapić któryś z listów, bał się, że któryś już przegapił.

Układał je później w domu po kolei, czytał wszystkie naraz, próbował wydobyć z nich sens. Budzik pisał o wszystkim, co mu przyszło do głowy, zwykle w paru urywanych zdaniach i bez większego ładunku. Opowiadał o tym, jak ludzie na niego patrzą, jak on patrzy na nich, jak chodzi pod wielkie wiatraki budowane na polach aronii pod Miastem i opiera się o nie, słuchając donośnego szumu.

Szymek czuł się, jakby podglądał ten skrawek życia Budzika przez dziurkę od klucza, zbyt małą, by dostrzec coś sensownego, jednak na tyle dużą, by chciało się dalej stać i patrzeć.

Coraz częściej czekał, aż wuj położy się spać, a wtedy wyjmował z szafy plik kart zootechnicznych i cienkim flamastrem kolorował krowy. Wymyślał łaty i wypełniał je starannie, po czym odkładał kartę na spód pliku i więcej nie oglądał. Kolorując krowy, przypominał sobie Bożę krążącą wokół domu i pralkę, w której chował przed tą Bożą zabawkę. Kilka razy pomyślał, że chciałby mieć teraz taką wielką pralkę, do której mógłby wejść.

Gdy zasypiał, śnili mu się rodzice, babcia, Budzik i Wera, najczęściej wszyscy razem, wymieszani i odgrywający nawzajem swoje role. Zdarzało się, że wszyscy oni kopali go obok przystanku autobusowego, zdarzało się, że

i on kopał z nimi.

Nadal nie wiedział, dlaczego tamtego dnia Budzik i inni na niego napadli, i czasami nachodziła go myśl, że być może oni też nie wiedzieli.

Julia Duszna coraz rzadziej śniła o jeździe w koszu motocykla, o fałdach białej sukni upchniętych wszędzie wokół, o oczekiwaniu przed kościołem, o Rochu, o Rochu, o Rochu.

Rano nie pamiętała snów. Wstawała i rozglądała się wokół siebie, nie rozumiejąc, co się stało, bo przecież coś musiało się stać. Ostatnim ważnym wydarzeniem, jakie potrafiła sobie przypomnieć, był tamten deszcz meteorów sprzed czternastu lat. Może to wtedy wszystko zaczęło się zmieniać? A może wcale nie trzeba do tego deszczu meteorów? Może po prostu z czasem wszystko w człowieku blaknie, te największe lęki również? Wiedziała tylko, że częściej rozmawia z ludźmi, a wokół niej dzieje się więcej niż dawniej.

Któregoś dnia siedziała sama za ladą, czytając kolejnego harlequina z biblioteki w Mieście, kiedy usłyszała znajomy dźwięk Naturki. Wesoła, irytująca melodia wlewała się do sklepu przez uchylone okno.

Julia wsunęła książkę do szuflady i wyszła na zewnątrz. Stała na drodze, rozłożyła ręce. Samochód zwolnił, zatrzymał się metr przed nią. Pan Jurek długo patrzył na nią zza kierownicy, widziała jego potężną sylwetkę i zakola wrzynające się głęboko w rudy busz na głowie. W końcu otworzył drzwi.

– Niech pani odejdzie, pani Julio.

Pokręciła głową.

– Sprzedam panu. Sprzedam wszystko. Za darmo dam, tylko niech pan wejdzie.

Siedzieli na zapleczu, na małych składanych krzesłach, otoczeni regałami zapchanymi towarami. Julia rozmawiała z tym człowiekiem po raz pierwszy w życiu. Powiedziała mu o Rochu i o ślubie, którego nie było. Przepraszała, niech mi pan wybaczy, to nie moja wina, ja nie żyłam przez cały ten czas, ale teraz żyję i teraz niech pan przyjeżdża choćby co dzień.

Pan Jurek wiercił się na zbyt małym krześle, niech pani da spokój, to nieważne, przecież ja się nie obrażam, o co tu się obrażać? W końcu wstał, wyłuskał się z ciasnego pomieszczenia, życzył dobrego dnia. Zanim dotarł do

drzwi, dopadła go i wcisnęła mu w rękę to, co zgarnęła z lady: butelkę coca-coli, paczkę ciastek, orzeszki i dwie tabliczki czekolady. Pan Jurek – „Jurek, niech pani nie przesadza” – nie chciał, ale wziął. Zatrąbił, odjeżdżając, a chwilę później rozległa się melodia Naturki.

Wera przyjechała bez zapowiedzi. Czekwała na niego w parku naprzeciw poczty, zamyślona, z niewielką beżową walizką u boku. Odpadła ze studiów, właściwie zrezygnowała, właściwie nieważne: nie studiuje i już. Nie chce wracać do Chojen, pomieszka jeszcze w Warszawie, ale później to nie ma pojęcia. Prawo jej nie interesuje, może chciałaby na coś innego, ale nie wie na co.

Zaczął ją uspokajać, to nie koniec świata, nigdy nie jest koniec świata, wszystko się ułoży, wszystko będzie...

Położyła mu palec na ustach.

– A żeby było śmieszniej, to jestem w ciąży.

Bądź mężczyzną, powtarzał sobie w myślach, bądź mężczyzną, facetem, a choćby i trochę chłopcem bądź, bo tak trochę to chyba można – tylko nie bądź tym, kim właśnie chcesz być.

Babcia przez całe życie mówiła mu, jak to niby u mężczyzn najważniejsza jest odwaga i poczucie humoru, a przecież z poczuciem humoru było nie najlepiej, więc co, jeśli...

– W ciąży? – powtórzył.

Wera obracała w dłoniach jakiś papierek, bilet, opakowanie po czymś, nie wiedział.

– To jest prawie zabawne. – Odetchnęła, spojrzała na niego. – Prawie.

Zanurzył dłoń we włosach, bardzo chciał coś powiedzieć. W głowie szum: Jaszczur, Jaszczur, ojcem będziesz, człowieka będziesz miał swojego, żywego i prawdziwego, życie się zmieni, wszystko się zmieni.

Wstał i wyciągnął ręce, a Wera wlała mu się w nie cała, razem z kurtką, zmierzwioną fryzurą, ciepłymi policzkami i zapachem J'adore. Trzymał ją mocno i wdychał ten zapach, a kiedy wszystko wokół i wszystko w środku trochę się uspokoiło, wyszeptał:

– A Eliza dla dziewczynki podobałoby ci się?

Następnego dnia zabrał ją i wuja na śniadanie.

Następnego dnia odprowadził ją na dworzec, zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia zadzwonił do babci, żeby jej o wszystkim powiedzieć, ale babcia, jak to babcia, akurat nie odebrała.

Następnego dnia przeczytał ostatni list od Budzika.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Szła po peronie, taszcząc ciężką skórzaną torbę. Kupił ją dla niej wuj Michał, który sam sobie, o ile wiedziała, nigdy nie kupił nic.

Rozglądała się, udając, że się nie rozgląda. Ale jak tu się nie rozglądać: kolory, tłum, wszędzie nadmiar wszystkiego. Przeciskała się między obcymi ludźmi, przekonana, że dziewczyna, która wyszła z pociągu, to ktoś inny niż ta, która do niego wsiadała. Wcześniej dziewczyna była Elizą Stawną, urodzoną w Chojnach w roku 1958, córką dziwaczki i człowieka, który powiesił się w oborze. Teraz dziewczyna była daleko, w Kijowie, i była kimś innym. Nie wiedziała kim.

W Kijowie dzień zaczyna się o szóstej – dźwiękiem kołchoźnika i wiadomościami z Ukrainy. Eliza wiadomości nie słucha, pędzi do łazienki, która przypada na dwa dwuosobowe pokoje, tam robi, co musi zrobić – minuta, dwie minuty, dziewczyny już czekają. Później przysiada na łóżku, je ciemny chleb z dżemem lub wczorajszą wędliną, którą ona i Uljana trzymają w wiaderku za oknem. Winda w dół lub w górę, nigdy nie wiadomo, czasem trzeba najpierw na dwunaste i dopiero na parter, na dole biegiem na tramwaj, na drugim przystanku wysiada i dalej biegiem, do metra, w metrze na stojąco – tłok i każdy z książką. Eliza nigdy nie ma ze sobą książki, czyta to, co się dzieje wokół niej: jedna historia przeskakuje w drugą, sceny rozkołysane, zdania urywane na stacjach. Życiorysy, które poznaje w ścisku, nigdy nie dobiegają końca, codziennie odżywają, wszystkie rozciągnięte i podobne do siebie: miłość, śmierć i zdrada wydarzają się w kijowskim metrze codziennie.

Budynek uniwersytetu jest wielki i czerwony. Eliza uczy się w nim, próbuje uczyć, mówią, że idzie jej dobrze, że zdolna jest i ma talent. O trzynastej idzie z nowymi koleżankami do stołówki nauczycielskiej i je ryż, makaron, kaszę z kawałkami tłustego mięsa, wszystko polane olejem, utopione w oleju. Po zajęciach wraca do akademika, po drodze wstępując po zakupy, które wybiera

starannie, sumując w myślach ceny. Stypendium wynosi sto osiemdziesiąt rubli, połowę chciałaby zaoszczędzić, kupić może parę sztuk złota, przywieźć do Polski, to by dopiero było.

Wieczorami uczy się, ogląda telewizję w świetlicy i chodzi na imprezy do sąsiednich pokoi. Imprezy wyprawiane są tylko z jakiejś okazji: rocznica złamania ręki przez brata, pierwszy piątek miesiąca, równy tydzień do urodzin dalekiej ciotki z Moskwy. Eliza pije więc codziennie, codziennie daje się trochę podrywać, codziennie śpiewa rosyjskie szlagiery. Unosząc kolejne kieliszki z koniakiem kupowanym w małych butelkach dwie ulice dalej, czuje czasami, że gdzieś w środku rośnie jej gęsta, ciemna kula, w której brzmią stłumione głosy ludzi z Chojen.

Nocami Tośka słyszała stłumiony głos Elizy.

Biegała po długich korytarzach i przestronnych, identycznych pokojach, ale głos zawsze dobiegał gdzieś zza ściany. Budziła się, szła na palcach do kuchni i siadała przy oknie, wypatrując znajomych konturów domów i drzew. O świcie wychodziła na podwórko, karmiła króliki i przepiórki, a potem budziła Michała i przez cały dzień próbowała nie myśleć o tym, że jej córka tkwi w jakimś olbrzymim mieście, gdzie nawet najbliżsi sąsiedzi podobno nie mówią sobie dzień dobry.

Czasami, schodząc późnym wieczorem z pola, dostrzegła w oddali szczupłą postać na wózku inwalidzkim. Gracjan Knop wyczekiwał nocy, tak jak ona wyczekiwała dni, nocami obserwował gwiazdozbiory, planety i mgławice. Mówili, że zna nazwy tysięcy punkcików na niebie. Machała mu, odpowiadał tym samym. Długie włosy powiewały mu na wietrze.

Kilka tygodni po wyjeździe córki Tośka upiekła drożdżowiec i poszła do Knopów. Gracjan nie chciał z nią rozmawiać, matka krzyczała, żeby był miły, nikt cię przecież nie odwiedza, a pani Stawna ciasto przyniosła, bądź miły!

Gracjan Knop próbował więc być miły, próbował przez parę minut, wreszcie zamknął oczy i próbował przeczekać to wszystko: Tośkę, matkę, zapach drożdżowca, dużo więcej.

– A może byś napisał do Elizki list? – zagadnęła Tośka, pochylając się w jego stronę. – Ucieszyłyby się. Ona tam taka sama jest.

Gracjan popatrzył na nią uważnie, uśmiechnął się i pokręcił głową.

Eliza nie chciała iść na mecz Dynama Kijów – co może być głupszego niż piłka nożna? W soboty i niedziele chodziła z Uljaną na spacer do parku, do cerkwi, na herbatę albo po wodę brzożową do saturatora przy metrze, a potem siadały na ławce i patrzyły na ludzi. Wolałyby już nawet sprzątać w akademiku, jak co miesiąc w subotnik, albo iść na kawę do tego uroczonieporadnego Gruzina, który się kochał w niej, w Uljanie i we wszystkich innych dziewczynach.

Tego wieczoru też najchętniej wyciągnęłyby Uljanę gdziekolwiek, może nawet do restauracji, niech straci, Uljana koniecznie jednak chciała zobaczyć mecz.

Stadion ogromny, oficjele w mundurach jakby jeszcze więksi niż zwykle. Poważni i wyprostowani, rozglądali się dokoła obojętnym wzrokiem. Eliza posłała jednemu z nich całusa i poczuła, jak Uljana dźga ją łokciem w żebra.

Mecz zbytnio ciekawy nie był, za to kanapki z podsuszaną słoniną i kawiozem, które Misza przyniósł w przerwie, jak najbardziej. Po kilku łykach koniaku akcje na boisku też zresztą zaczęły się wydawać bardziej emocjonujące i dopiero kiedy z tyłu zaczęły padać wyzwiska, Uljana pochyliła się do Elizy i powiedziała, że okłaskiwać ataków obydwu drużyn nie należy.

Kilkanaście minut przed końcem spotkania po trybunach przeszedł szmer, przeciągłe westchnienie. Eliza spojrzała tam, gdzie pozostali: w narożniku murawy wysoki blondyn z transparentem w dłoniach wykonywał jakiś neurotyczny taniec z podskokami.

Wywijał piruety i machał transparentem z napisem „To nie tak, jak myślicie. Ja się po prostu założyłem”, w czym nie byłoby może nic przesadnie dziwnego – w Kijowie wszystko przecież było dziwne, a skoro wszystko, to nic – gdyby nie fakt, że napis sporządzono po polsku, a chłopak był nagi. Kiedy trzech mężczyzn w mundurach dopadło go i przewróciło na trawę, zdołał jeszcze złapać pierwszego z nich za kark i pocałować go prosto w usta.

Eliza patrzyła na całą tę scenę z dłońmi zaciśniętymi na skraju siedzenia, z lekko przekrzywioną głową, mrużąc oczy, i jeszcze długo po powrocie do domu widziała przed oczyma tę roześmianą twarz chłopaka, który wydawał się święcie przekonany, że życie to jest coś całkiem zabawnego.

Tośka nigdy nie interesowała się tym, co się dzieje na świecie, bo poza Chojnami świat zwyczajnie nie istniał. Po wyjeździe Elizy do Kijowa straciła apetyt, spała coraz gorzej. Pierwszą „Politykę” kupiła dzień po tym, jak się dowiedziała, że aby trochę zaoszczędzić, córka nie przyjedzie na święta, a dopiero na wakacje. Przeczytała całą, zapamiętała niewiele. Przez kolejne gazety przedzierała się ostrożnie, powoli. Przewracając przed oczami gęsto zadrukowane strony, czuła się jak w jakimś ciemnym, obcym domu, w którym trzeba się poruszać po omacku. Na dużych płachtach „Trybuny Ludu” i tęczyowych stronach „Przekroju” wypatrywała słowa „Kijów”, ale wypatrzyć je było trudno. Miała wrażenie, że czyta o wszystkich miejscach na świecie oprócz tego jednego, o którym chciała. Bonn, Berlin, Paryż. Moskwa, Delhi. Lizbona. Helsinki. Problemy Kościoła w Indiach, walki na Timorze, wichury w RFN, upały w Argentynie. Próba nuklearna w USA. Wielki pożar w Tel Awiwie. Olbrzymie długi Filipin i aż trzy miliony metrów kwadratowych pustostanów w nowojorskich wieżowcach.

Nadzieję dawały wiadomości sportowe i działy poświęcone kulturze. Kijowski napastnik Oleg Błochin siedemnastym laureatem Złotej Piłki. Sztuka *Krakowiaczy i Górale* po raz pierwszy wystawiona w stolicy Ukraińskiej Republiki Radzieckiej – publiczność w zachwytach.

Gromadziła w sobie te strzępki i próbowała wyczytać z nich, kogo po zakończeniu roku szkolnego powinna się spodziewać zamiast dawnej Elizy.

Michał Stawny po raz pierwszy upił się porządnie w swoje trzydzieste ósme urodziny i od tego czasu upijał się porządnie kilka razy w tygodniu. Odkrył świat bez zbędnych myśli i wyrzutów sumienia, a przede wszystkim bez tego silnego, coraz silniejszego przecucia, że zmarnował pół życia.

Po jakimś czasie znalazł towarzysza do picia: Gracjan Knop zawsze był gdzieś w pobliżu – bo gdzie niby miałby być? – i zawsze chętnie uciszał w sobie myśli. Po tym, jak rok wcześniej matka wystarała się dla niego o prywatne lekcje, zdecydował, że do matury nie podejdzie, a na wszystkie jej łyzy, krzyki i błagania odpowiadał, że wszystko i tak już skończone.

Najczęściej szli do sklepu Dusznych, a Julka w milczeniu podawała im wódkę, w milczeniu brała pieniądze, w milczeniu wydawała resztę. Patrzyła

przy tym na Gracjana takim wzrokiem, jakby chciała mu się rzucić na szyję, nigdy jednak tego nie zrobiła.

Pili w rowie za sklepem albo wśród krzaków na tym opuszczonym kawałku ziemi po Ochyrach, gdzie kiedyś spalili się ludzie. Czasami leżeli na ziemi i śmiali się cicho, kiedy Tośka szukała ich, klnąc na Michała pod nosem.

Po zmroku Gracjan pokazywał miejsca na niebie i opowiadał, co się w tych miejscach kryje. Wracając do domów, milczeli. Któregoś razu przy wyjeździe na drogę do Miasta Michał znalazł stetoskop. Leżał w trawie, błyszczący. Nazajutrz, zagłuszając myśli w kącie stodoły, Michał zaczął przykładać głowicę stetoskopu do kolejnych drobiazgów, które zbierał – korzeni, suszonych kwiatów, ziół, mętnych roztworów, sierści królików, słoika pieprzu.

Dopił, co miał do dopicia, i ruszył drogą przez wieś. Pukał do kolejnych domów, chciał słuchać wewnątrz ludzi, przykładając im stetoskop do ust, nosów. Zamierzał sprawdzić, dlaczego jedni czują więcej, a drudzy mniej, i co się dzieje, kiedy zapach w człowieka „wlatuje”. Jak każdy pijany człowiek był o krok od odkrycia Wielkiej Prawdy i jak każdy pijany człowiek nigdy jej nie poznał. Sąsiedzi prosili go, by się nie wygłupiał, jeden zagroził, że rozwali mu to ustrojstwo na głowie. W końcu Michał Stawny położył się w rowie i na kilka godzin zniknął. Nazajutrz, w dniu przyjazdu Elizy z zagranicy, był już w Chojnach kimś innym i kimś innym pozostał.

Wyjechali po nią nową, piętnastoletnią syreną Budzikiewiczów w kolorze kości słoniowej. Tośka, Michał i Andrzej Budzikiewicz, który szybko prowadził. Zakręt przy cmentarzu wojennym wziął z piskiem opon, Tośka i Michał nie odezwali się słowem. Na dworcu byli godzinę przed przyjazdem pociągu: ubrani lepiej niż do kościoła, z oczami zmrużonymi w słońcu. Czekali.

Spóźnienie pięć, dziesięć, dwadzieścia pięć minut, wydawało się, że pociąg nigdy nie przyjedzie, przyjechał. Gdy znieruchomiał przy peronie, Tośka pomyślała nagle, że Elizy w nim nie ma, że Elizy nie ma już nigdzie. Z wagonów wychodzą będą obcy ludzie o obcych twarzach, aż w końcu przestaną, pociąg odjedzie, a ona dalej będzie tu stać, w nadziei, że coś się stanie, choć nic już się nie stanie. Odwróciła się do Michała, a on uśmiechnął się do niej po swojemu. Spojrzał ponad jej głową i coś na twarzy nagle mu się

zmieniło. Chwycił ją za ramiona, obrócił: patrz.

Patrzyła.

Jej córka szła po peronie, dźwigając skórzaną torbę. Włosy spięte, na ustach szminka. Płaszcz – nowy – i sukienka – też nowa. Zobaczyła ją, uniosła wolną rękę, szła dalej tym samym tempem, mijając kolejnych ludzi. Tośka ruszyła w jej stronę. Wyglądały, jakby się chciały sobie rzucić w ramiona, ale przecież tłok, słońce i walizka, więc pocałowały się, objęły i zaraz puściły.

Po drodze pytania: jak podróż, ile to w sumie godzin i czy naprawdę tak dużo. Tośka siedziała obok córki, dotykając jej udem, biodrem i dłonią, wpatrzona w jej profil i nowe ubrania. Wkrótce zapadła cisza, a później Andrzej Budzikiewicz zaczął mówić coś o oleju, oponach, skrzyni biegów.

Zaparkowali przed domem Tośki, wyszli w zapach obornika i trawy. Eliza stała przez chwilę przy samochodzie, z ręką na uchwycie torby, a potem powoli ruszyła przed siebie. Drzewa, droga i łatany dach kurnika. Ukośne pęknięcie na ścianie od południa, takie jak pamiętała. Kwiaty w oknach. Dom jakby trochę mniejszy niż dawniej, mniejsze też inne domy.

Na furtce płachta szarego papieru ze starannie wykaligrafowanym napisem: WITAMY GOŚCIA Z ZAGRANICY. Eliza zatrzymała się przed tą furtką, postawiła torbę na ziemi i się rozplakała. Płakała tak jeszcze długo po tym, jak Tośka wzięła ją w objęcia, mówiąc, że wszystko będzie dobrze.

Pierwsze dni po przyjeździe miały smak racuchów z miodem, w dotyku przypominały koc. Eliza wstawała w południe, snuła się po domu, rozmawiała z matką i wujem, ciągle coś piła lub jadła. Wydawało jej się, że sąsiedzi zaglądają bez przerwy. Z kaszanką po świniobiciu. Po osełkę do kosy. Tak po prostu, zobaczyć, jak leci. Witali się z nią inaczej niż kiedyś, ale nie umiała powiedzieć, na czym polega ta różnica. Pytali, jak w tej Zagranicy i czy widziała coś ciekawego. Opowiadała im historie złożone z tego, co przeżyła naprawdę, i z tego, co chcieli usłyszeć. Wieczorami pomagała mamie przy królikach, piekła ciasta, przeglądała hałdy gazet wuja Michała.

Któregoś wieczoru, wstawiając wodę na herbatę, powiedziała, że na kolejny rok do Kijowa nie wróci.

– Jak to nie wrócisz? – zapytała Tośka zza stołu.

– Normalnie. Nie wrócę.

Tego dnia, kiedy powinna wyruszyć z powrotem, wybrała się na spacer. Szła powoli, rozglądając się wokół siebie. Fabryka, osiedle, stacja benzynowa. Miasto coraz głębiej wgryzało się w pola, powoli zmierzając w stronę Chojen. Minęła komin ciepłowni i ogródki działkowe. Stała na peronie. Kilka osób z walizkami. Wiatr, zimno. Usiadła na ławce, założyła nogę na nogę. Czekła. Chciała zobaczyć, jak pociąg zatrzymuje się przy peronie i odjeżdża bez niej, jak znika za drzewami, a razem z nim jedna z jej możliwych przyszłości.

– Tak mi się pani diabelnie podoba, że bym sobie nie wybaczył.

Eliza podniosła głowę.

Chłopak, który dwa miesiące wcześniej wbiegł nagi na stadion w Kijowie, uśmiechnął się i usiadł obok.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

2016

Biegł przez korytarz, przez parking, przez duszne wnętrza dworca. Potknął się, kogoś potrącił. Nie zdąży.

W głowie kłęb myśli: samochodem byłoby szybciej, ale wuj Roch na objeździe, daleko, więc jednak pociąg, odjazd właściwie już, z pociągu zadzwoni, może do Wery, choć Wera nic nie poradzi, prędzej babcia, ale z nią nigdy nie wiadomo, może sąsiedzi, do żadnych nie ma numeru, najlepiej byłoby do Budzika, tylko Budzik raczej nie odbierze, w taki dzień się telefonów chyba nie odbiera.

Wpadł na peron, zamachał maszyniście, krzyknął. Jeszcze drzwi i schodki. Zdążył. Od chwili, kiedy, siedząc za biurkiem, przeczytał list Budzika, minęły najwyżej trzy minuty, ale zdążył. Zdążył, choć pewnie nic to nie da.

Stał w przejściu pomiędzy przedziałami, wsłuchany w miarowy sygnał telefonu: Budzik nie odbierał, babcia też. Wera najpierw nie rozumiała, wolniej, Szymek, wolniej, w końcu obiecała, tak, zadzwoni do rodziców, ale co rodzice? Przecież w pracy, nie pomogą.

Rzeczywistość wokół niego uparcie trwała: podróżni, przepraszam, w tę i w drugą stronę, torby i gwizdy, bilet u konduktora, reszty nie trzeba, stukot kół, smród z toalety i pola za oknem. Odsuwał się od tego wszystkiego, z telefonem przy uchu, jedna kreska baterii, w ustach wiór.

Bateria rozładowała się po dziewiętnastu minutach jazdy. Szymon żadnego numeru nie znał na pamięć. Wszedł do pustego przedziału, usiadł, zasunął za sobą drzwi.

Wygrzebał z kieszeni kartkę i wygładził na kolanach.

20 kwietnia będzie rocznica jak umarłeś. Taka okazja

Jak z Szymkiem żeśmy na torach rozkładali monety, to je spłaszczają tak, że ani orła nie było widać ani nic, to że mnie też dużo nie zostanie, flaki jakieś raz dwa
Topola zostanie
i Matce będzie smutno
co ja poradzę mi też jest smutno i czy ktoś coś robi
Nie
Nikt nic nie robi
boję się kurewsko boję się
do zobaczenia!

Nie wiedział, kiedy list nadano, wiedział jedynie, że jest czwartek, 20 kwietnia, godzina czternasta trzydzieści dziewięć i raczej już za późno.

Śledził wzrokiem linie na obiciu foteli.

Dwie godziny i dziewięć minut, przesiadka w Łodzi Widzew. Nie licząc dworca, nigdy nie był w Łodzi – babcia była. Pamiętał opowieści o czarnym wagonie i o sikaniu do kubłów, które opowiadała mu wiele razy i które wydawały mu się równie nieważne jak stare, czarno-białe filmy. Teraz to wszystko, cała ta przeszłość i cała przyszłość, było nieważne, liczyło się wyłącznie to, co teraz, i żeby zdążyć, żeby tylko zdążyć.

Przesiadka. Osiem minut jak zgrzyt, jak rwanie zęba. Chodził tam i z powrotem, patrzył na okrągły zegar, czas kapał nierówno, powoli.

W kolejnym pociągu tłoczno. Stał w przejściu, oparty o szybę. Świat śmigał mu przed oczami. Słupy, dworce, domy. Drzewa, beton, szkło.

W głowie słyszał głos Jaszczura, który przypominał mu to, co poprzedniego dnia powiedziała Wera – tak, to wszystko prawda, masz dwadzieścia jeden lat i tysiąc czterysta złotych oszczędności, masz mnóstwo komiksów i pracę na pocztę, a teraz będziesz jeszcze miał dziecko, prawdziwe, żywe dziecko, którego później już się nie da nie mieć.

Próbował nie słuchać i patrzył za okno, czytał nazwy stacji na peronach. Zastanawiał się, ile takich połączeń pomiędzy miastem, które opuścił, i miastem, do którego jechał, znajdowało się w wyrzuconych zeszytach jego taty. W tych światach, wymyślanych przy kawie i papierosach, musiało być kilka pociągów, które dowiozłyby go na czas. Miał tylko ten jeden świat i to

jedno połączenie; czekał, pocił się, klął sam do siebie.

Zegary na każdej stacji. Pięćdziesiąt minut, czterdzieści pięć, czterdzieści. Czas zwalniał na łukach i podczas postojów.

Trzydzieści pięć.

Szymek stał już przy drzwiach, gotowy wyskoczyć i popędzić wzdłuż torów w stronę Chojen. Budzik nie napisał, gdzie chce zrobić to, co chce zrobić, ale miejsce wydawało się oczywiste.

Trzydzieści.

Latarnie, wiadukty, dworzec w Kutnie zżarty rdzą.

Dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem, wciąż dworzec, wciąż postój, dwadzieścia siedem, widok za oknem wreszcie przesuwa się w prawo i wtedy myśl jak cios:

Budzik rzuci się pod ten właśnie pociąg.

Rzuci się pod ten pociąg, a Szymek poczuje pod stopami delikatne drgania, kiedy koła będą miażdżyć czaszkę i kości jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał. Przez następne dwie, trzy godziny będzie chodził po korytarzu, jak inni, czekając, aż prokurator, aż procedura, aż puszcza. Przez cały ten czas pracownicy kolei będą przeczesywać zarośla w poszukiwaniu kawałków tego, co kiedyś mówiło, śmiało się, strzelało z nim z procy do ptaków.

Przyłożył głowę do szyby, zamknął oczy. Lewo, prawo, kołysał się razem z pociągiem. Zaczynało padać. Jeszcze kilkanaście minut i będą mijać miejsce, gdzie w dzieciństwie, w zupełnie innym życiu, on i Budzik układali na torach gwoździe, monety i śruby. W tym samym innym życiu zapytał kiedyś mamę, jak wygląda niebo, a ona w odpowiedzi popatrzyła na niego po swojemu i sama zapytała:

– A ty jak myślisz?

Był niedzielny poranek, a oni leżeli zawinięci w czerwony koc z frędzelkami, on rozespany, ona z kubkiem kakao. Z zamkniętej łazienki dochodził szum elektrycznej maszynki do golenia. Szymek nie do końca wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć – podejrzewał, że chodzi o miejsce, które mu się podoba najbardziej ze wszystkich, powiedział więc:

– Tam, gdzie z Budzikiem chodzimy na tory.

Teraz, starszy o trzynaście lat i oparty o szybę, powtórzył to zdanie, nie

wiedząc, dlaczego to robi. Pociąg sunął wzdłuż znajomych obrazów: kościół, obwodnica i wiadukt, wiatraki przy polu aronii. Deszcz ściekał po szybie. Szymek patrzył.

Jeszcze, jeszcze kawałek.

Tutaj.

Wydawało mu się, że widzi ciemną sylwetkę przycupniętą w krzakach, ciemną sylwetkę wychodzącą na drogę, ciemną sylwetkę zbliżającą się... nie, nic, cienie, żadnej sylwetki, jedynie cienie. Napięty, czekał na bezdechu, czy na pewno, czy to na pewno tylko cienie i czy to na pewno nie Jacek Budzikiewicz. Czekał, wyobrażając sobie trzask, kiedy koła kolejnych wagonów będą kroić Jacka Budzikiewicza na coraz mniejsze kawałki, ale żaden trzask nie wybrzmiał.

W oddali widać już było dworzec.

Dalej, dalej, dłoń na klamce, dalej, ciało jak struna, dalej, nareszcie pociąg zwalnia, do dworca jeszcze kawałek, tylko bocznica i ogródki działkowe, wolniej, coraz wolniej, teraz.

Szymek Stawny otworzył drzwi i wyskoczył w deszcz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

TRZYDZIEŚCI OSIEM LAT WCZEŚNIEJ

Nazywał się Telesfor Brzyziak i pachniał szamponem pokrzywowym. Tamtego pierwszego dnia siedzieli na peronie, obserwując odjazd pociągu, którym Eliza miała wrócić do Kijowa. Ostatnie wagony zniknęły pośród drzew i budynków, a ona nie poczuła nic, jakby to był pociąg taki, jak każdy inny.

Później on zmyślał jej kolejne życiorysy, a ona przytakiwała w miejscach, w których udawało mu się trafić. Dzieciństwo, młodość, pierwsze przygody, pierwsze randki. W tych coraz bardziej fantastycznych opowieściach wysyłał ją do pałaców, do klasztorów, do więziennych cel. Ubierał w łachmany, w mundury i w suknie księżniczki. Wydawało jej się przy tym, że wcale go nie obchodzi, co dotychczas w życiu robiła naprawdę, że z całych tych dwudziestu lat interesuje go wyłącznie ta jedna chwila, to jedno Teraz, z nim i z budynkiem dworca za plecami.

Stwierdziła, że musi już wracać, on stwierdził, że odprowadzi ją do domu. Szli okreśną drogą. Powiedziała mu, że nie ma pojęcia, dlaczego zamiast Kijowa i wielkich szans wybrała Chojny, pola, to wszystko – zatoczyła ręką półokrąg, wzruszyła ramionami. On w długim wywodzie usiłował jej udowodnić, że nosi najgłupsze imię na świecie. Jej się podobało. Telesfor. Jak coś z książek Stanisława Lema. Jak z innej planety.

Mieszkał w Mieście, niedaleko dworca, i najbardziej na świecie uwielbiał pociągi. Studiował rozkłady jazdy i zwiedzał kraj, podróżując na gapę. Płacił, kiedy go łapali. W Kijowie był z kolegami, założył się o dużą sumę i stąd cały ten wybryk na stadionie, tłumaczył, zaznaczając przy tym, że wcale nie żałuje. Sprawiał wrażenie, jakby w życiu żałował tylko tego, czego zrobić mu się nie udało.

Przyjeżdżał do Chojen junakiem i zabierał ją nad jezioro, do ruin zamku, do lasu. Opalali się, spali na kocu, pili wino. Tańczyli na ambonie strzelniczej, ścigali się wzdłuż Warty, wchodzili na drzewa. Pytał ją, z kim zamieniłaby się na jeden dzień życia, czy ma jakiś sekret, którego nikomu nie zdradziła, i co by zrobiła, gdyby wiedziała, że jutro ma się

skończyć świat. Za każdym razem, kiedy żegnali się pod jej domem, wyglądał, jakby było mu obojętne, czy jeszcze się kiedyś spotkają.

Po długim, cichym lecie przyszła jesień, roztopiając wreszcie gniew matki, która nadal nie potrafiła zrozumieć decyzji Elizy o porzuceniu studiów. Sama Eliza też jej nie rozumiała, ale dawno już pogodziła się z tym, że nie wszystko o sobie można wiedzieć.

Coraz częściej śnił jej się jeden sen. Chodziła ulicami Kijowa, zdenerwowana, spóźniona na coś ważnego, a tłum rozbawionych przechodniów blokował jej drogę. Próbowwała przeciskać się między ludźmi, odpychać ich, roztrącać. W którymś momencie starsza kobieta – jedna z tych, które tak często widywała w metrze, ciasno opatulonych i z nieodłączną torbą pomiędzy grubymi nogami – chwyciła ją za przedramię i szeptała, że jak się odrzuciło wielkie szanse i wielką przyszłość, to nie należy się spodziewać już niczego.

Budziła się z ulgą, z ulgą zasypiała znowu. Rano najczęściej nic już nie pamiętała.

Telek nie chciał pracować z ludźmi, ciągnęło go do zwierząt. Kilka lat wcześniej wymyślił, że zostanie zootechnikiem, więc nim został. Twierdził, że na świecie nie ma lepszej pracy.

– Taka na przykład krowa – tłumaczył, kiedy spacerowali nad Wartą. – Krowa jak jest głodna, to jest głodna. A jak szczęśliwa, to szczęśliwa. I z krową nie ma tak, że na przykład udaje zadowoloną, a tak naprawdę to jest wkurwiona na coś sprzed dwóch dni, albo że za dwa tygodnie kopnie cię z powodu czegoś, co jej się przywidziało dzisiaj. Krowa jak jest wkurwiona, to jest wkurwiona. A jak nie, to nie. I to mi się w krowach podoba.

Pobrali się w grudniu. Biały puch błyszczał na dachu kościoła. Ślubu udzielił im ten sam ksiądz, który odprawiał pogrzeb Niewidzialnego Człowieka i który niewiele się od tamtego czasu zmienił. Na prośbę mamy Eliza zostawiła sobie panięńskie nazwisko, Telek twierdził, że nie robi mu to różnicy.

Tośka siedziała pomiędzy rodzicami Telką a Michałem i gryzła się w język, żeby nie beczeć. Dzień wcześniej Eliza powiedziała jej, że jeśli zacznie, odwróci się do niej sprzed ołtarza i zrobi awanturę.

Tośka powstrzymała się przez całe pięćdziesiąt sześć minut mszy i przez całe skromne wesele – dopiero nocą, leżąc w pościeli, ryknęła bezsilnie, a potem śmiała się przez łzy.

Zamieszkali w Mieście, zarabiał tylko on. Codziennie rano zakładał spodnie na kant, koszulę i kaszkiet. Odpalał junaka i objeżdżał okoliczne wsie. Oznaczał, ewidencjonował, doradzał i wypalał rogi. Czasami inseminował, czasami pomagał w odbieraniu porodów. Po pracy wnosił ze sobą do małego mieszkania zapach obornika, a ona co jakiś czas pytała, czy nie mógłby się ubierać do tych krów jakoś mniej odświętnie, na co zawsze odpowiadał, że nie.

Eliza snuła się po niewielkim rynku, rozmawiała z zaczepiającymi ją pijakami, czytała w parku powieści. Wymyślała potrawy, które wydawały się niemożliwe do zjedzenia, a potem ślęczała nad nimi, aż dawały się zjeść. Wspominając zamiłowanie wuja Michała do zapachów, zrywała nad Wartą kwiaty i układała je w szerokim wazonie na stole. Po kilku miesiącach dostała pracę w Urzędzie Miasta: Wydział Komunikacji, drugie piętro, fikus w rogu pokoju i okna na południe. Nienawidziła swojej pracy i pielęgnowała w sobie tę nienawiść, obawiając się, że bez niej stanie się przezroczyście.

W każdą niedzielę szli do Chojen drogą wzdłuż torów kolejowych, przez pola. Dom miał już wtedy drugie piętro, dobudowane nie wiadomo po co, a wuj Michał mieszkał już w przyczepie kupionej od sąsiada, też nie wiadomo po co. Tośka czekała z obiadem, z kawą, z górą słodczy, choć wciąż powtarzali, że się przecież zmarnuje. Szykowała i tak.

Raz w miesiącu na obiedzie pojawiał się Roch z Koluszek, który do Chojen przyjeżdżał piaszczystą, okrężną drogą, zawsze trochę wystraszony, trochę spięty. Tośka tłumaczyła go, że nie chciałby spotkać po drodze Julii Duszej, bo bardzo ją kiedyś... no, zresztą sami wiecie.

Roch zjadał pierwsze i drugie danie, poruszał właściwe tematy, odpowiadał na pytania i sam pytania zadawał, a potem zerkał na zegarek i ruszał do wyjścia. Kiedy zamykał za sobą drzwi, na jego twarzy widać było coś w rodzaju ulgi.

Wuj Michał, nazywany teraz we wsi Doktorem, też najczęściej przychodził i wbrew temu, co o nim mawiano, wydawał się normalny. Opowiadał o tym, co się dzieje na świecie, daleko poza granicami jego miniaturowej działki i Chojen. Eliza i Telek słuchali kolejnych opowieści o wielkich inwestycjach, starciach zbrojnych, aferach i romansach, gubiąc się w gąszczu obcych imion i nazw.

Po walce z deserem rozkładali się senni w fotelach i na kanapie, Tośka włączała telewizor, oglądali, co było. Któregoś razu Telek ściszył do zera, a Eliza z nudów podkładała głos postaciom z ekranu.

Rozmawiali z Michałem o cenach zboża, o sąsiadach, o filmach i o polityce. O nowym księdzu w Grzegorzewie, o wystawnym weselu Andrzeja Budzikiewicza i o tym, jakie to musi być dziwne czytać niechciane listy za pieniądze.

Wieczorami Telek tworzył światy. Siadał przy małym stole w kuchni, pod półką z rzędem kompotów i konfitur, kładł przed sobą zeszyt, zapalał papierosa. Najpierw nazwy pociągów, od góry. Cisy, Bóbr, Jagiełło, Skarbek, Kumczok i Śnieżka, Witkacy, Krakus, Błękitna Fala. Pod każdym trzy równe rubryki: nazwa stacji, przyjazd, odjazd. Litery zaokrąglone, lekko pochylone w lewo. Trzy, cztery strony dziennie. Pracował wolno, nigdy się nie mylił.

Na pierwszej i ostatniej stronie każdego zeszytu rysował gęste pajęczyny torowisk, a potem, rozpisując kolejne rozkłady, wracał do nich i pochylony wodził palcem po mapach światów, które istniały tylko tam, tylko w tej małej kuchni, pod półką z kompotami.

Nie potrafił powiedzieć, po co to robi ani jak w ogóle wpadł na pomysł, by poświęcać część życia na coś tak bezużytecznego – wiedział jedynie, że bezużyteczne zajęcia zawsze wydawały mu się najciekawsze.

Eliza najczęściej krzątała się w tym czasie po kuchni albo leżała w pokoju, słuchając płyt z adaptera. Czasami pochylała się nad Telkiem i próbowała zrozumieć, co w tych równych rzędach cyfr i liter przykuwa go do stołu na całe godziny.

W tym pierwszym roku małżeństwa Telek jedenaście razy przyniósł jej kwiaty i dwukrotnie wspinał się po piorunochronie, kiedy zatrzasnęli drzwi, zapomniawszy kluczy. Eliza trzy razy zmieniała fryzurę i raz dotkliwie poparzyła się na słońcu. Jeździli

na koncerty. Oglądali telewizję bez dźwięku, podkładając głosy postaciom z filmów i seriali, wymyślając najżałośniejsze dialogi i intrygi miłosne. W tym pierwszym roku małżeństwa obiecali sobie trzy rzeczy. Że okłamywać się będą wyłącznie w sprawach nieistotnych. Że sadzone smażyć będą zawsze z jednej strony. I że nigdy nie będą mieć dzieci.

Kolejne piętnaście lat minęło zbyt nagle, zbyt szybko. W dzień wybuchu stanu wojennego Eliza oświadczyła, że to pierdoli, założyła najbardziej krzykliwą sukienkę i trzęsąc się z zimna, wyszła wieczorem na spacer – Telek musiał ganiać ją przez ponad pół godziny, zanim wykończona i przemarznięta dała mu się zaprowadzić do domu. Później było wielkie Nic, przerwane na moment wakacjami w Bułgarii, gdzie całymi nocami kochali się albo tańczyli pijani na plaży. Po upadku PRL-u Telek kupił malucha, a Eliza w tajemnicy wyrwała sobie przed lustrem pierwszą siwą brew. Kiedy Lech Wałęsa został prezydentem, obcięła włosy na bombkę, a kiedy zmarł Kurt Cobain, znowu miała je do połowy pleców. Telek w tym czasie przytył, schudł i przytył. Zapełnił rozkładami jazdy jednaście zeszytów, rozpoczął dwunasty. Wydawało mu się, że w życiu przygotowany jest na wiele – na rok 1994 nie był. Najpierw wypadek na junaku i złamana noga. W kolejnym miesiącu operacja wycięcia wyrostka. Problemy ze snem, a potem śmierć rodziców jak kończące prawy i lewy od losu: ojciec w lutym na zawał, matka w kwietniu na wylew.

Wziął tydzień urlopu, wyjechał nad morze. Sam, pociągami, z małą torbą, do której nic prawie nie spakował. Spał do południa, chodził po plaży, dużo palił. Rozmawiał z nieznajomymi, czytał *Władcę Pierścieni* i jadł prawie tylko gofry. Wrócił opalony, życie wróciło do normy: motocykl, krowy, rozkłady jazdy. Wieczorna muzyka z adaptera, niedzielne spacerunki do Chojen. Którejś lipcowej niedzieli Eliza upiekła swoją pierwszą w życiu pizzę i kiedy siedzieli później nad herbatą, zbierając palcami okruszki z talerzy, powiedział jej, że życie nie może być tak do końca złe, skoro można zjeść coś takiego. Trąciła go barkiem i nie patrząc na niego, mruknęła, że ma się nie wygłupiać.

Niedługo później złamali swoją trzecią obietnicę sprzed lat.

– No i, kurwa, jestem w ciąży – powiedziała, siadając na taborecie

w łazience. Linoleum ziębiło ją w nagie stopy. Zza okna dobiegały okrzyki chłopaków ustalających za blokiem zasady gry w gałę.

– Aha. – Telek oparł ręce na biodrach, westchnął.

Zjedli kolację i długo patrzyli w wyłączony telewizor, w końcu on powiedział, że może to nie tak najgorzej, a ona nie powiedziała nic. Położyła mu głowę na kolanach i bawiła się rogiem obrusa. W nocy, nie mogąc zasnąć i wiedząc, że on też nie może, wyszeptła w ciemność:

– No może nie.

Marzyła o dziewczynce, urodził się chłopiec. Trzy kilogramy dwadzieścia, mocno owłosiony. Darł się pięknie, salowa dwa razy pochwaliła. Połowa odwiedzających zapewniała, że podobny jest do Telka, druga połowa twierdziła, że wykapaną ona. Eliza nie powiedziała tego na głos, ale wydawało jej się, że nie jest zbyt ładny. Że twarz ma jakby trochę... gadzią.

Po porodzie wrócił sen sprzed lat: chodziła ulicami Kijowa, zgniatana przez rozweselony tłum. Brakowało jej powietrza, dusił smród ciał. Co jakiś czas ktoś pochylał się bliżej i z uśmiechem szeptał jej do ucha, że jak się odrzuciło wielkie szanse, to niczego już nie wolno się...

Budziła się i podchodziła do małego drewnianego łóżka, w którym sama leżała trzydzieści siedem lat wcześniej, przyzwyczajając się do świata, i w którym teraz przyzwyczajają się do świata ten mały, ciepły kawałek życia zaczętego przez nią. Tak samo jak wtedy Tośka, bała się zasnąć i siadała przy ścianie, żeby patrzeć na poruszenia małej piersi w ciemnościach.

Niecałe pół roku po narodzinach Szymka w wieku lat pięćdziesięciu ośmiu narodził się również Michał Stawny. Narodził się we własnym łóżku, w nocy, zmęczony.

Zaczął się od tego, że Tośka podarowała mu książkę.

– Telek bardzo mi polecał, to kupiłam. Dużo tu jest podobnie o zapachach, powinno ci się spodobać. Nawet tytuł zupełnie jakby pod ciebie. *Pachnidło!*

Przeczytał na jednym oddechu, dokończył o świcie. Bolał go kręgosłup i piekły oczy. Kręcił głową, wpatrując się w czarną okładkę z wizerunkiem półnagiej kobiety. Na zmianę śmiał się i szeptał do siebie. Podejrzewał, że właśnie tak musieli się czuć ci ludzie, którzy siedem lat wcześniej przeżyli

katastrofę lotniczą w Białobrzegach. Że tak muszą czuć się wszyscy ci, którzy po wybudzeniu z narkozy słyszą, że operacja przebiegła pomyślnie. Ci, którzy prawie utonęli, ale udało im się wynurzyć na powierzchnię i biorą właśnie pierwszy oddech.

Następnego dnia zrobił dwie rzeczy: przeczytał *Pachnidło* raz jeszcze i pojechał do Miasta po bombonierkę. Wręczając ją Tośce na progu, motał się w słowach i kręcił, dziękował za prezent, tłumaczył, że chciał z ajerkoniakiem, ale nie było, no więc wziął orzechowe, choć wolał z ajerkoniakiem, bo przecież ona tak lubi, no, zresztą, to będzie już leciał, i dopiero odwracając się, zwrócony do siostry ni to jeszcze twarzą, ni to już plecami, wymamrotał, że ją w sumie kocha.

Od tamtej pory czytał historię francuskiego szaleńca dwa, trzy razy w tygodniu. Grzął w smrodzie Paryża, odurzał się zapachem kwiatów i kobiecych ciał. Powtarzał fragmenty na głos, wyobrażał sobie kolejne postacie i sceny. Odczytał zapisany drobnym drukiem tytuł oryginału: *Das Parfum. Die Geschichte eines Mörders*. Szeptał do siebie te egzotyczne słowa, próbując sobie wyobrazić, jakby to było czytać powieść tego całego Patricka Süskinda w języku, w którym ją napisał. Poznawać dokładnie te słowa, które miesiącami, może latami, nanosił na papier.

Następnego dnia pożyczył od Elizy jej stare podręczniki do niemieckiego i zaczął mozolnie przedzierać się przez podstawy gramatyki. Nic nie rozumiał i gubił się w kolejnych zasadach, a im bardziej się gubił, tym bardziej parł do przodu, przekonany, że prędzej czy później coś mu się w głowie otworzy. Pił rzadziej, częściej rozmawiał z ludźmi. Po raz pierwszy od dawna poczuł, że życie się jeszcze nie skończyło.

Gracjan Knop wiedział o narodzinach syna Elizy, tak jak wiedzieli o tym wszyscy. Powiedziała mu matka, z tą samą niepewnością, z jaką ostatnio coraz częściej mówiła mu cokolwiek, jakby się bała, że na wieść o budowie obwodnicy, zmianie listonosza czy dziecku koleżanki z dzieciństwa jeszcze bardziej zapadnie się w siebie. Ostatnio pił jakby mniej, na pewno mniej widywał się z Doktorem, rzadziej znajdowała go rano nieprzytomnego na podwórku, na schodach, w ogrodzie. Zdarzało się, że sam zaczynał rozmowę:

jak się czuje, czy była na targu i kogo spotkała w Mieście. Najczęściej siedział w wózku przed domem, z psem wyciągniętym zawsze obok prawego koła, albo kładł się na wersalce w pokoju i po raz setny, tysięczny, przeglądał atlasy nieba, które kazał sobie zamawiać w księgarni.

Z Elizą raczej nie rozmawiał. Widząc ją z daleka, zawracał albo skręcał między domy, czasem kiwał do niej, jak już nie było wyjścia. Od kiedy po raz pierwszy zobaczył przed furką Stawnych jej wesołego, trochę dziwnego męża o dziwnym imieniu, postanowił, że go znienawidzi, i od tamtej pory konsekwentnie próbował ten zamiar zrealizować, co mu się jednak nie udało. Widząc Gracjana w Chojnach, Telek zawsze podchodził, zawsze pytał, co słyhać. Nie uciekał po jednym, po dwóch zdaniach. Co najgorsze, wydawało się przy tym, że w przeciwieństwie do wszystkich innych ludzi, kiedy pytał, co u niego słyhać, rzeczywiście był tego ciekaw.

Ich syna Gracjan po raz pierwszy zobaczył w niedzielę, w sklepie Julii Duszej. Płacił już za zakupy, kiedy wparowali do środka: Eliza, Telek, Tośka i rozwrzeszczany on. Gracjan próbował przemknąć do drzwi, wykręcić się uśmiechem, ale nie dali, poczekaj, Gracjan, widziałeś? Pytali, do kogo jego zdaniem malec jest podobny, a on miał ochotę odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że do nikogo, za to jest paskudny. Twarz miał brzydką, nos krótki, oczy małe.

Wyglądał jak gad.

Gracjan nie powiedział nic, uśmiechał się, przytakiwał, pogłaskał to brzydkie, niewinne stworzenie, w końcu dotarł do drzwi. Za próg wyjechał spokojnie, ale na zewnątrz ruszył tak szybko, jak umiał, szarpiąc koła, byle tylko znaleźć się już na własnym podwórku, we własnym łóżku, pod kołdrą. Pod sklepem dwóch młodych chłopaków, których imion nie znał, dyskutowało przy winie o tym, że cała ta denominacja była po chuju, bo ani się teraz w tym połapać, ani nic.

Mijając ich, spocony i ze wzrokiem utkwionym w asfalcie, usłyszał za sobą głos jednego z nich:

– Ty, popatrz gościa. Ciśnie jak Hołowczyc.

ROZDZIAŁ PIETNASTY

2016

Szymek Stawny otworzył drzwi i wyskoczył w deszcz.

Prawie skręcił nogę. Jedną stopą trafił na trawę, drugą na kamień. Peron zaczynał się kilka metrów dalej.

Zachwiał się i przez sekundę był przekonany, że wpadnie pod koła. Zamachał ramionami i odbił w lewo, a z otwartych drzwi dobiegł go ryk konduktora, który pytał, czy go, na litość boską, kurwa, pojebało. Szymek nie słuchał, biegł już wzdłuż torów, omijając wysokie kępy traw.

Od miejsca, w którym w dzieciństwie układał z Budzikiem monety na szynach, dzieliły go dwa kilometry, może dwa i pół, za kilkanaście minut tam będzie, ale wiedział, że w kilkanaście minut może wydarzyć się wszystko. W kilkanaście minut może spalić się stodoła pełna ludzi, samochód może owinąć się wokół drzewa, w kilkanaście minut można przestać być dzieckiem albo przestać być kimkolwiek.

Po prawej stronie z szarości wyłaniały się ogródki działkowe, dalej komin ciepłowni i bloki. Nad nimi, kawałek dalej, chmury się przerzedzały, przepuszczając snopy światła. Szymek wbiegł z nasypu na ubitą drogę.

W tym samym czasie, kiedy Szymek wyskakiwał z pociągu, cztery kilometry dalej Tośka wyjmowała pistolet z pudełka po kawie. Stała przy oknie i pomyślała, że powinna je jeszcze umyć, to okno, ale nie umyje. Patrzyła na drzewa, szczególnie na jedno z nich, i zastanawiała się, czy jej wystarczy odwagi.

Dwa lata wcześniej było jeszcze nieźle, rok temu dało się jakoś wytrzymać. Teraz każdego ranka czuła się jak po bitwie, a przecież o poranku bitwa dopiero się zaczynała. Reumatyzm potrafił tak ją poturbować, że nie mogła udźwignąć w palcach brzegu kołdry. Wzrok beznadziejny, pamięć jak sito o nierównych okach, gdzieniegdzie zatrzymujące wierszyk z dzieciństwa, w innym miejscu przepuszczające w otchłań całe miesiące i lata.

Króliki musiała sprzedać, przepiórki w większości pozdychały. W sadzie

chwasty, w domu syf. Wiedziała, że trzeba działać, póki ramię jakoś jej słucha, bo jeszcze tydzień, dwa i skończy jak dziadek Lucjan – w łóżku, oszalała, pożarta przez samą siebie.

Godzinę wcześniej nie miała nawet siły wstać. Ktoś wydzwaniał do niej na komórkę, jakby się paliło – bank, operator komórkowy i ci od kablówki, im się zawsze pali. Teraz to już nieważne, niech dzwonią do woli i niech się wszystko dzieje dalej, jak chce.

Chyba przestało padać. Odwróciła się od okna, pistolet wsunęła do kieszeni. Pieniądze i biżuterię schowała dzień wcześniej do starej pralki, która od lat rdzewiała w kotłowni. Teraz podeszła do telewizora i wyłączyła go z gniazdka. Nakręciła zegar. W rogu pokoju leżało kilka kotów kurzu, zgarnęła je kapciem i wsunęła pod szafkę.

W przedpokoju przystanęła, chciała się odwrócić. Nabrała powietrza i nie odwróciła się.

– Tylko się nie wygłupiaj.

Nad drzwiami wisiał stary krzyż po dziadkach, trochę krzywo. Poprawiła go. Wątpiła w to wszystko, w co wierzyły zazwyczaj kobiety w jej wieku, ale obiecała sobie, że jeśli się myli, to po tej drugiej stronie jak najszybciej znajdzie Niewidzialnego Człowieka i bez pytania da mu w pysk.

Drzwi zamknęła na klucz, klucze powiesiła na kłamce.

– Tylko się nie wygłupiaj – szepnęła w kołnierz kurtki i ruszyła przez sad, rozgarniając czółenkami trawę sięgającą prawie do kolan.

W tym samym czasie, kiedy Tośka szła przez sad, rozgarniając czółenkami trawę, czterysta kilometrów dalej Doktor wysiadał z pociągu. Wysiadał ostrożnie, powoli. Miał na sobie spodnie na kant i marynarkę, która wydawała mu się trochę za długa. Koszula biała. Z krawata zrezygnował. Przez całą drogę zastanawiał się, czy dobrze – krawat to jednak krawat.

Na sześciu kartkach wydrukowane miał mapy, które poznaczał dodatkowo czerwonym cienkopisem, w portfelu bilet powrotny i dwieście euro – na wszelki wypadek. Próbował się nie rozglądać i udawać stałego bywalca takich dworców, ale udawać się nie dało. Hałas, zapachy i światła waliły mu się na głowę, powietrza brakowało, ktoś potrącił go i obrócił, entschuldigung i już go nie było.

Doktor miał siedemdziesiąt dziewięć lat i po raz pierwszy w życiu był za

granicą. Hotel zarezerwował mu Hołowczyc, który miał w domu internet i który wszystko dokładnie mu zapisał. Będiesz spał zaraz przy księgarni, tylko przez ulicę przejdiesz, tłumaczył, i już.

Księgarnia znajdowała się przy ulicy Linienstraße 100, otwarta do godziny dziewiętnastej, wiedział, jak dostać się tam metrem, wiedział też, że zdąży pieszo. Po kilku minutach kluczenia betonowymi korytarzami wy dostał się z dworca i spokojnie ruszył przed siebie.

Tośka stanęła pod drzewem, w mokrej trawie, nad głową miała uschniętą gałąź, przed oczami sad. Sięgnęła do starej, podłużnej dziupli o wygładzonych brzegach i wyjęła stamtąd spłaszczony, lekko przerdzewiały łańcuszek przypominający trochę wstążkę, trochę może jaszczurkę. Pamiętała, że w tamtym odległym, zapomnianym życiu, w które nie chciało jej się już wierzyć, Szymek nazywał te rzeczy zlepkami. Zastanawiała się, dlaczego on o nich zapomniał, a ona nie zapomniała. Obracała chropowatą zlepkę w palcach, przyglądała jej się z bliska, włożyła ją do kieszeni.

Usiadła. Workowate spodnie przesiąkły, ciemniejac. Pistolet położyła na kolanach. Był dziwnie ciężki, cięższy niż zazwyczaj, dawno nie miała go w dłoni. Sama schudła ostatnio, wszystko było teraz cięższe i trudniejsze.

Takie powietrze zawsze lubiła najbardziej. Tuż po deszczu i tuż przed zachodem, pachniało ziemią, a trawa błyszcziała, gdzie nie spojrzeć. Burzowe chmury przetaczały się wolno na południe.

Oparła głowę o wilgotny pień, zamknęła oczy, oddychała głęboko. Palce lewej dłoni zanurzyła w trawie i zmierzwiła ją, jak czasami mierzwiła włosy Szymka, kiedy jeszcze na to pozwalał. Gdzieś tam, gdzieś głęboko pod ziemią, zakopane tak, żeby nikt tego nie znalazł, tkwiło podobno to, co zostało z jej dziadka Lucjana. Człowiek, o którym mówili, że gołymi rękoma zabił na Syberii niedźwiedzia, leżał w tej ziemi, a może w ogóle już go tam nie było. Dla nikogo na świecie nie miało to żadnego znaczenia.

Tośka podniosła pistolet i na próbę włożyła sobie lufę do ust.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

DWADZIEŚCIA JEDEN LAT WCZEŚNIEJ

Wyglądał jak jaszczur. Nie dało się tego nie widzieć, a jednak inni nie widzieli – widziała tylko ona. Pochylała się nad tym nie wiadomo czym, bo przecież jeszcze nie człowiekiem, i obiecywała sobie, że zrobi wszystko, żeby ochronić to przed światem.

Telek sprawiał wrażenie szczęśliwego i chyba był szczęśliwy. Nocami posiekanymi niemowlęcym krzykiem to on zawsze wstawał i brał syna na ręce, chodził z nim po mieszkaniu, szeptał do niego słowa, których ona nie mogła usłyszeć. Patrzyła na kontur ich połączonych sylwetek na tle okna i z powrotem zapadała w sen.

Po pracy Telek spacerował z wózkiem wokół osiedla, w huku młotów i w szumie betoniarek, a nad głową sunęły mu ramiona dźwigów. Rozmawiał z sąsiadkami, ze starym sprzedawcą z kiosku Ruchu, z listonoszem. Kiedy patrzyła na niego przez okno, miała wrażenie, jakby ciągle się uśmiechał.

Odprowadzała go wzrokiem, a potem wpełzała w ubraniu pod kołdrę i zamykała oczy. Pod powiekami miała Chojny, Kijów i wszystkie możliwe życia, które nie były tym życiem. Budził ją chrobot klucza w zamku, wstawała jak pijana. Rozglądała się, zdziwiona upływem czasu.

W jednej chwili karmiła jeszcze piersią, w następnej Szymek już chodził.

Skończyła czterdziestkę, zaraz potem zdmuchiwała o pięć świeczek więcej.

Spoglądała przez okno: zagajnik, boisko i wielki plac budowy. Spoglądała raz jeszcze: rzędy bloków, supermarket.

Przyglądała się tej pędzącej rzeczywistości i tylko czasami, podczas bezsennej nocy albo długiej podróży pociągiem, przypominała sobie, że żadnego miesiąca ani żadnego roku nie będzie mogła powtórzyć.

Szymek codziennie czytał komiksy o Asteriksie, codziennie kolorował krowy. Był drobny, niewysoki, Telek strzygł go na pazia.

Miał kilku kolegów, z którymi bawił się w power rangers albo budował

w krzakach kryjówki. Kochał nutellę, nienawidził buraczków. Czasami, kiedy spał, z rękoma rozrzuconymi najszerszej jak się dało, Eliza przyglądała mu się, próbując przekonać samą siebie, że z wiekiem wyładniał.

W niedziele wciąż chodzili do Chojen, spacer trwał nieraz dwie godziny. Pośród bezkresnych pól, widząc odległe bloki i ciemny fragment lasu, Szymek szalał. Biegał, skakał, wywracał się i biegał dalej. Wszystko musiał zobaczyć, wszystkiego musiał dotknąć. Powtarzał, że kiedy dorośnie, będzie jeździł traktorem.

Któregoś razu zobaczył na drodze zgarbioną, zarośniętą istotę na wózku inwalidzkim. Wpił się wtedy w Elizę, głowę ukrył w fałdach swetra. Ocierała mu łzy i szeptała do ucha:

– Nie bój się, Szymciu, no co ty, nie poznajesz? To przecież pan Gracjan.

Od tamtej pory bał się pana Gracjana, to znaczy pana Hołowczyca, który nic prawie nie mówił, a jeśli już mówił, to właściwie raczej burczał. Podobno kiedyś był normalny, ale Szymek w to nie wierzył.

Doktor od siedmiu lat uczył się niemieckiego, od siedmiu lat wszyscy powtarzali mu, że to najgłupszy pomysł na świecie. Zakładał, że zajmie mu to dwa, najwyżej trzy lata: był sumienny, codziennie spędzał czas z książkami. Po trzech latach potrafił przeczytać proste teksty w podręcznikach, rok później pokonał trzydziestostronicową wersję *Księgi dżungli* dla dzieci. Co jakiś czas dochodził do wniosku, że nie da rady, że nie sposób nauczyć się obcego języka w przyczepie, ze starych książek i gazet, mając sześć dekad na karku.

Tośka przepytywała go ze słówek i powtarzała, że teraz już nie wolno mu się poddawać. Nie poddawał się: bajki, komiksy, artykuły z „Der Spiegla”. Zbiór opowiadań o Sherlocku Holmesie. Wreszcie pierwsza powieść, *Winnetou*, załatwiona przez koleżankę znajomej.

Z pomocą Hołowczyca zamawiał później kolejne książki przez internet, którego nie rozumiał i którego trochę jednak się bał – tej jednej nie zamawiał, tę jedną kupi sobie sam, po tę jedną przejedzie czterysta kilometrów do innego kraju. Wyobrażał sobie, jak będzie wyglądać wewnątrz księgarni i co powie, kiedy znajdzie się przy ladzie. Powtarzał w głowie kolejne wersje dialogu ze sprzedawczynią. Czytał coraz płynniej, z coraz większą łatwością i pewnego dnia, zasypiając nad jedną z przygodowych powieści Clive’a Cusslera, zorientował się, że nie wie, w jakim ją czyta języku. Rozbudził się, wyszedł

przed przyczepę. Chłodny wiatr zaczesał mu włosy do tyłu. Był rok dwa tysiące drugi – nauka zajęła mu siedem lat.

Postanowił, że pojedzie w najbliższą sobotę. Od razu dostał rozwolnienia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jechał pociągiem. Za granicą nie był nigdy. Po co mu to właściwie? To wszystko przecież bez sensu.

Miał ochotę upić się i wymazać z głowy wszystkie te obce słowa, które wgniał tam na siłę przez ostatnie lata. Miał ochotę zrobić to, co zawsze w takich sytuacjach robił: odpuścić i pozwolić, żeby wszystko działo się obok niego.

Powiedział o swoich wątpliwościach Tośce, a Tośka rąbnęła go w ucho. Stał w przedpokoju, nie zdążył nawet zdjąć butów. Uderzyła go lewą ręką, jakby trzepała dywan.

– W tej popieprzonej rodzinie najlepiej nam wychodzi marnowanie okazji – powiedziała, podchodząc jeszcze bliżej. – Nawet mnie, Michał, nie wkurwiał.

Eliza i Telek starali się jak najmniej rzeczy robić w życiu regularnie. Koncerty były wyjątkiem, jeździli raz, czasem dwa razy w miesiącu. Widzieli Metallicę na stadionie warszawskiej Gwardii, rok później Scorpionsów w Krakowie. Na Stingu w 2001 roku Telek złamał sobie żebro w tłumie. Kolejne wyjazdy wyznaczały rytm miesięcy i lat.

7 czerwca 2002 roku w Warszawie grał Roger Waters. Telek trochę się wahał, Eliza bardzo chciała. Bilety kupili na ostatnią chwilę. Był piątek, on zdążył już objechać teren, ona wzięła wolne. Biegała po mieszkaniu, sprawdzając wszystko jak te stare baby, z których się przez całe życie śmiała. Kwiaty? Podlane. Gaz? Zakręcony. Okna? Zamknięte. Bilety? Są, są, do cholery, tak jak były pięć i dziesięć minut wcześniej.

Odwieźli Szymka do Chojen, podjechali pod bramę. Tośka siedziała w sadzie z wujem Michałem, który jutro miał wreszcie wyruszyć w tę swoją tajemniczą podróż do Berlina, która tajemnicą dla nikogo nie była. Po drodze Szymek kilka razy przypominał Elizie tytuł komiksu, który obiecała mu kupić w Warszawie, teraz powtórzyła ten tytuł na głos, a on skinął głową: poprawnie.

Pocałował ich, wyskoczył z auta i zaraz był za furtką: drobny, z fryzurą,

która żyła własnym życiem. Tośka szła już ku niemu, mówiła coś uśmiechnięta. Uśmiechała się tak już tylko na jego widok, wszystko inne wydawało się nie robić na niej wrażenia.

Telek zawracał, a Eliza wołała do Szymka przez okno: nad staw nie chodź, zęby umyj wieczorem, nie czytaj do późna. I Jacka pozdrów.

– Pozdrowię – rzucił przez ramię, poprawiając plecak.

Telek zatrąbił trzy razy, Szymek obrócił się i uniósł ręce, nieobecny, myślami dawno już w swoim świecie, o którym, uświadomiła sobie, wiedziała chyba niewiele. Pomachał im po raz ostatni w życiu, a potem poszedł do Budzika, żeby obejrzeć nowe *Gwiezdne wojny*.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tamtego dnia, kiedy wszystko się zaczęło, Doktor pochylał się nad stołem. Wstał o trzeciej nad ranem, nie spał chyba w ogóle. Pociąg miał o piątej jedenaście, później przesiadka w Koninie, na miejscu będzie przed trzynastą, spokojnie powinien zdążyć. Spakowany był od dwóch dni, gotowy też od dwóch, a tak naprawdę w ogóle. Chodził po przyczepie, po działce i między drzewami. Wyszedł na drogę, tam też spacerował, aż rozboleło go biodro. W domu zaparzył kawę i siedział przy małym, zatłuszczonym oknie, wyobrażając sobie, co może pójść nie tak.

Wszystko mogło pójść nie tak.

Wracali z Warszawy, Telek prowadził. Zapach kawy z Orlenu mieszał się z lawendowym smrodem odświeżacza, z wywietrzników dochodził jednostajny szum.

Eliza czuła na całym ciele wczorajszy koncert i noc w hotelu po koncercie, noc z winem, z Telkiem, z długą rozmową, prawie bez snu.

Próbowała usadowić się jakoś wygodnie w niewygodnym fotelu pasażera i przeżywała to wszystko od nowa. Czekanie, pięć, dziesięć minut, głos spikera z radiowej Trójki, zacznie się już zaraz, w końcu wychodzą na scenę, po kolei, gitarzyści, perkusista, syn Watersa i trzy czarnoskóre wokalistki, schodami zbiega wreszcie on, wreszcie ryczą głośniki, kolejne kawałki przenoszą ją coraz głębiej w tę miękką i ciepłą przestrzeń, którą dobrze zna: nie widzi i nie czuje już nic, basy dudnią jej w kościach, cała jest głosem Rogera Watersa, tak jak dwadzieścia tysięcy pozostałych ludzi, którzy może i są, ale gdzieś daleko.

Teraz, jak po każdym koncercie, zastanawiała się, po co w ogóle na nie jeździ, skoro czuje się po nich właśnie tak – jakby na moment wynurzyła się z jakichś ciemnych odmętów, żeby potem opaść jeszcze głębiej. Po każdym koncercie, zanim zdążyła ochłonać, planowała kolejny, o kolejnym zaczynała myśleć, wyobrażała sobie samą siebie pośrodku falującego tłumu, obraną ze wszystkiego, czym bywała na co dzień. Telek położył jej rękę na kolanie: znowu była teraz i tu.

Słońce grzało przez przednią szybę, rozmawiali o niczym, temat spychał

temat. Premiera *Dnia świra* w kinie (mówią, że rewelacja), warszawskie korki (nie dałabym rady tam żyć), zbliżający się finał *Idola* (wygra Ewelina Flinta) i Polska na mistrzostwach świata (raczej nie wyjdą z grupy). Ostatecznie zeszło na Szymka, jak zawsze podczas długich podróży, podczas wielogodzinnych rozmów, po koncertach.

Telek powtórzył to, co powtarzał od dawna: byłby spokojny, gdyby wiedział, że Szymkowi uda się niczego w życiu nie żałować. Albo przynajmniej żałować jak najmniej. On najbardziej w życiu żałował, że tydzień przed śmiercią taty poważnie pokłócił się z nim podczas meczu Lecha z Legią, czy powinien być karny, czy nie. Eliza żałowała, że nic nie zrobiła, kiedy Gracjan Knop zmienił się w to, w co się zmienił. Po raz pierwszy powiedziała to na głos. Odchrząknęła, wbiła wzrok za okno. Siedzieli tak w milczeniu, wsłuchując się w pracę silnika i szmer uciekającego spod kół asfaltu. Od Chojen dzieliło ich czterdzieści kilometrów, może mniej. W końcu odezwał się Telek. On już z ojcem porozmawiać nie zdoła, ale Hołowczyca, znaczy Gracjana, mogliby przecież zaprosić do siebie. Na kolację, na kawę, na wino. Posiedzą, pogadają, może to coś zmieni. Co im szkodzi.

– Ja go przecież chyba nawet lubię – dodał, spoglądając na nią.

Eliza w milczeniu pokiwała głową. Oparła się o szybę, podłożyła pod skroń zwinięty szal i zamknęła oczy. Myślała o Gracjanie Knopie, o Kijowie i o chłopaku biegnącym nago przez stadion. Myślała o tym nieznośnym, nieprzerwanym strachu, który czuła od chwili narodzin Szymona i który, z tego, co czytała w gazetach, towarzyszył każdej matce na świecie. Myślała o swoim niewyspaniu, o głosie Rogera Watersa i o wszystkich tych koncertach, na które jeszcze pojedą. Zasnęła pomiędzy Chodowem a Kłodawą.

Kilka minut później za kierownicą zasnął również Telek.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

2016

Szymek słyszał wyłącznie własny oddech i uderzenia butów o drogę. Minął osiedle kolorowych bloków i długie hale producenta maszyn tartacznych. Przed nim powoli kroili powietrze długie ramiona wiatraków. Dziesięć, piętnaście? Nie miał pojęcia, kiedy je tu postavili, miasto na dobre zrosło się już z otaczającymi je wsiami, wszystko złane ze sobą, wymieszane, trzęsące się w rytm jego kroków. Przełknął ślinę i jeszcze przyspieszył.

Po lewej pola aronii, po prawej skrawek starej trasy na Warszawę. Wiedział, że zaraz będzie, jeszcze tylko wzdłuż rzędu wysokich krzaków, dwieście, może trzysta metrów. Przyszło mu nagle do głowy, że robi z siebie idiotę, że nie będzie tu żadnego Budzika, że Budzik wcale nie chce rzucić się pod pociąg, a nawet jeśli chce, to wcale nie tutaj. Mógł zrobić to przy przejeździe w Grzegorzewie, pod lasem w Boguszyńcu, gdziekolwiek, mógł zrobić to wieczorem, w nocy, mógł się w ogóle rozmyślić.

Szymek sam się sobie dziwił, że dał się ponieść swojej paranoi aż tutaj, w miejsce, które miało znaczenie widocznie tylko dla niego i o którym Jacek Budzikiewicz, niemowa, być może już dawno zapomniał.

Wybiegł zza krzaków, zwolnił. Przed sobą zobaczył światła lokomotywy i szczupłą postać.

Budzik wszedł na tory i zamknął oczy.

Czuł chłodny powiew wiatru na policzku i drzenie szyny, której dotykał butem. Ciemny świat wokół niego grzmiał znajomo. Uderzenie poczuł w tej samej chwili, kiedy do huku dołączył wiercący gwizd lokomotywy. Uderzenie z boku, twarde i miękkie jednocześnie. Upadł w trawę. Gdy otworzył oczy, świat był bladą twarzą przerażonego Szymka.

Poczuł cios. W policzek, pięścią, niedokładnie. Szymek trafił go jeszcze w ucho i w łuk brwiowy, potem wstał, ale zaraz skulił się w podmuchu huczącego pociągu. Dyszał bezgłośnie i zaciskał pięści.

Pociąg przejechał, zniknął. Budzik kulił się w trawie, obolały, poparzony przez pokrzywy. Patrzył na leżący obok cień Szymka. Wczołgał się w ten cień,

obrócił twarzą do ziemi i zaczął głośno płakać.

Doktor stał przed półką w księgarni, kręciło mu się w głowie. Usta zupełnie mu wyschły. Za pierwszym razem, czternaście lat wcześniej, wszystko poszło nie tak, i teraz spodziewał się tego samego.

Czternaście lat wcześniej po raz pierwszy próbował wyjechać: wyszedł z przyczepy z walizką w ręku i ruszył w stronę drogi, ale szybko zawrócił. Siedział na łóżku, czekając, aż będzie za późno. Podarł bilet. Powoli rozpakował walizkę i wyszedł do sklepu, żeby zrobić to, do czego naprawdę był stworzony, czyli porządnie się napić. Po drodze usłyszał o wypadku. Świat runął mu nagle na głowę: Eliza i Telek martwi na drodze tuż przed Chojnami, odrętwiała Tośka i mały Szymek, który tamtego dnia potrafił być wyłącznie zdziwiony.

Michał wrócił wtedy do przyczepy i robił wszystko, żeby nie urznąć się w trupa. Był pewien, że to koniec, że nic już nigdy nie będzie, a jednak wszystko było: wszystko oprócz Elizy Stawnej i Telesfora Brzyziaka.

Tamtego dnia doszedł do wniosku, że wszystko to jest karą za jego tchórzostwo. Gdyby nie zawrócił o świcie, gdyby wsiadł do pociągu i stawiał czoło własnemu marzeniu, nic by się nie stało.

Czternaście lat później, stary i z endoprotezą biodra, z drętwiejącą dłonią i bólami w krzyżu, odważył się spróbować raz jeszcze. Odważył się i oto jest tutaj, w Berlinie, a kilkanaście egzemplarzy prawdziwego *Pachnidła* stoi przed nim w rzędzie. Wyciągnął jeden z nich i obrócił w dłoniach.

– Ja pierdolę – szepnął do siebie i szybko odchrząknął: nie wolno ci się rozkleić.

Za chwilę kupi dwie albo trzy kopie, wróci do hotelu obok i całą noc będzie czytał. Niech mu teraz coś zrobią.

Podszedł do lady i uśmiechnął się do sprzedawczynie, która nie przypominała żadnej z jego snów. Odezwał się w obcym języku, jego głos był zupełnie inny i on był kimś innym. Dotychczas nie był nikim, był tylko Michałem Stawnym albo tylko Doktorem, czyli nikim, dodatkiem do innych – do matki, do Tośki, nawet do Hołowczyca. Teraz czuł, że zaczyna być kimś prawdziwym, że po raz pierwszy w życiu zrobił coś, do czego nie popchnęło go samo życie.

Tośka patrzyła w stronę gospodarstwa, gdzie kiedyś śniła o szkole i gdzie, słysząc nadlatujące samoloty, zerwała się z łóżka. Nie miała już żadnego wcześniejszego wspomnienia, tylko tamto: biegła po wielkiej, miękkiej pierzynie, przez pokój i pachnącą racuchami kuchnię, dalej po schodach i po trawie, przecinając cień domu Nagórnych. Stała obok studni, zadzierając głowę. Zaraz potem jechała pociągiem, a później chodziła ze Starym Góralem Kłodą po wielkich, pofałdowanych lasach. Przyglądała się ludziom tańczącym na wrześniowej majówce, przyglądała się Niewidzialnemu Człowiekowi i z Niewidzialnym Człowiekiem kochała się w ciemnościach. Zacisnęła powieki, nie chciała tego widzieć: nie chciała widzieć Elizy, wiecznie naburmuszonej, i Michała, wiecznie w jakimś swoim świecie. Nie chciała widzieć Julki Duszej, Rocha, Andrzeja Budzikiewicza i jego syna niemowy. Przycisnęła pięść mocno do ziemi, zacisnęła zęby.

– Tylko się nie wygłupiaj – powiedziała do siebie.

Kiedy Budzik przestał płakać, dał się podnieść i otrzepać z trawy. Stał bez ruchu, trzymając ręce wzdłuż tułowia. Szymek trząsł się chyba bardziej niż on.

– Chodź – powiedział, chwytając go pod pachę.

Szli jak pijani, Budzik co chwilę się chwiał. Usiedli pod jednym z wiatraków, pod ramionami krojącymi prawie bezchmurne już niebo. Z wnętrza blaszanego pnia dobiegał głośny szum.

Nie patrzyli na siebie: Budzik zamknął oczy, Szymek przesuwiał wzrokiem po torach. Palce miał brudne od rdzy. Siedzieli tak pięć, dziesięć minut, wreszcie Szymek podniósł się, kucnął przed Budzikiem.

– Jak chcesz, pomogę ci ją ściąć. Nie wiem po co, ale... jak chcesz.

Budzik skulił się, objął kolana. Wykonał ruch, jakby chciał wzruszyć ramionami i w trakcie się rozmyślił. Wiatrak szumiał, zagłuszając świat dookoła.

Resztką słońca roztopiała się szybko nad czerwoną linią horyzontu. Budzik przyciskał plecy do wiatraka, oczy miał zamknięte, dłonie splecione na udach. Wyglądał jak ktoś, kto ze wszystkich sił stara się wsiąknąć w ziemię. Szymek

pochylił się bliżej i chwycił go za nadgarstek.

– Możesz iść?

Budzik skrzywił się, uniósł rękę. Przedramię miał dziwnie chude, jak nie on. Szymek objął go i podtrzymał. Czuł jego pot, sam też był spocony. Oparł głowę na ramieniu Budzika i wybuchnął śmiechem, nie mógł się powstrzymać, śmiech dudnił w nim, po chwili śmiali się już obaj. Potem, kiedy się uspokoili, wytarł sobie twarz i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Niebo czerniało. W oddali rozległ się strzał i zginął w szumie wiatraków.

Szymon Stawny i Jacek Budzikiewicz powoli ruszyli przed siebie.

Rdza

Copyright © by Jakub Małecki 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Marta Pustuła

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Cristina Mitchell / Trevillion Images

Książka powstała dzięki wsparciu finansowemu, które Jakub Małecki otrzymał w Programie Młoda Polska w 2017 roku.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.













Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-8129-055-5

ISBN MOBI: 978-83-8129-056-2



-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Eheu, fugaces labuntur anni](#)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

2002

sześćdziesiąt trzy lata wcześniej

2002

sześćdziesiąt dwa lata wcześniej

2002

sześćdziesiąt jeden lat wcześniej

2002–2014

pięćdziesiąt siedem lat wcześniej

2014–2016

czterdzieści jeden lat wcześniej

2016

trzydzieści dziewięć lat wcześniej

2016

trzydzieści osiem lat wcześniej

2016

dwadzieścia jeden lat wcześniej

.

2016

POSŁUCHAJ "RDZY" JAKUBA MAŁECKIEGO
W INTERPRETACJI ANDRZEJA FERENCA



Najnowszy audiobook Jakuba Małeckiego i wiele innych tytułów Wydawnictwa SQN znajdziesz na:

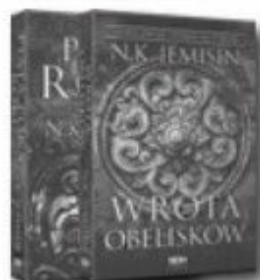
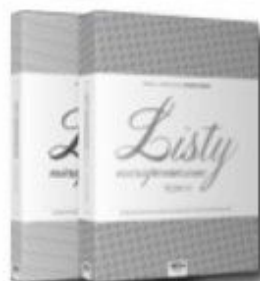

storytel.pl

sqn

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

-  WydawnictwoSQN
 -  SQNPublishing
 -  wydawnictwosqn
 -  wydawnictwosqn
 -  WydawnictwoSQN
- www.wsqn.pl



W-11